

MIEŚCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 Zł (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

www.slaskgtl.pl

Nr 7 (260) • ROK XXII • LIPIEC 2017



Żegnamy Tadeusza Kijonkę

ISSN 1425-3917



07



4 lipca w archikatedrze Chrystusa Króla w Katowicach podczas Mszy św. pogrzebowej pożegnaliśmy Tadeusza Kijonkę – poetę, pisarza, wieloletniego kierownika literackiego Opery Śląskiej, parlamentarzystę, założyciela naszego miesięcznika i Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Mszę żałobną odprawił arcybiskup senior Damian Zimoń a koncelebrowali: ks. prof. Jerzy Szymik i ks. Rafał Kilianek (na zdjęciu po lewej). Wielkiemu Ślązakowi w ostatniej drodze towarzyszyli: Rodzina, Przyjaciele, współpracownicy i tłum pogrążonych w żałobie wdzięcznych mieszkańców regionu. Chór Opery Śląskiej pożegnał Poetę „Va, pensiero” Giuseppe Verdiego.

Nasz partner



RYBNIK

Nr 7 (260). Rok XXII. LIPIEC 2017 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNY
prezes
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
tel. 32 258 07 56
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓŁWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bs1@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:
WIESŁAWA KONOPELSKA
Redaktor naczelna

MARIAN KISIEL
Zastępca redaktora naczelnego
Dział krytyki i esejów

Redakcja w Opolu:
JANUSZ IRENEUSZ WÓJCİK

MARIA KORUSIEWICZ
Dział poezji i prozy

MARIA SZTUKA
Sekretarz redakcji
Dział kultury

BOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
Dział graficzny

ANNA SOŃTA
Korekta

ADRES REDAKCJI:
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
e-mail: redakcjask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrowski 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECIE CYFROWEJ

W NUMERZE:

2. ŻEGNAMY TADEUSZA KIJONKĘ
6. Ks. Jerzy Szymik JAK ISKRA PO ŚCIERNISKU. Homilia ks. prof. Jerzego Szymika wygłoszona podczas Mszy św. pogrzebowej w intencji śp. Tadeusza Kijonki
8. Tadeusz Kijonka FLOTYLLA
10. WSPOMNIENIA SERDECZNE: Ernest Bryll, Jan Cofalka, Hary Duda, Marta Fox, Łukasz Goik, Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Marian Kisiel, Wiesława Konopelska, Alojzy Lysko, Jan Miodek, Stanisław Sławomir Nicieja, Sławomir Pietras, Józefina Rebeś, Tadeusz Serafin, Tadeusz Sierny, Dorota Simonides, Florian Śmieja, Janusz Ireneusz Wójcik.
18. Katarzyna Niesporek ŚLĄSKIE WZGÓRZE. Obraz hałdy w poemacie *Siódma północ* Tadeusza Kijonki
22. Edyta Antoniak-Kiedos ZAPISKI PAMIĘCI TADEUSZA KIJONKI
25. TADEUSZ KIJONKA (1936 – 2017)
26. Piotr Szalsza „A KTÓŻ TO TAKI, TEN HUBERMAN?...”
31. Marek Skocza JEST Z NAM!
46. BLASK ARCYDZIEŁ
Jerzy Peszek BLASK BENIOWSKIEGO
48. Witold Turant NEWSROOM, CZYLI DZIEDZINIEC CUDÓW
55. Tadeusz Musioł KRUCHA POTĘGA
58. SPORTOWE ŻYCIORYSY ŚLĄZAKÓW
Henryk Marzec GRAŁEM Z GERARDEM
60. Jerzy Machura SPRINTEM ZE LWOWA DO BYTOMIA
62. Rozmowa z Bogdanem Toszą REŻYSER „INTERDYSCYPLINARNY”

FELIETONY

24. KAMIEŃ DROGOCENNY
Jacek Kurek „...WŚRÓD WĄTLYCH BADYLKÓW...”
66. NOTATNIK SPÓŻNIONEGO PRZYBYŚZA
Marek S. Szczepański BIEDA I BOGACTWO NARODÓW A WĘDRÓWKI LUDÓW
71. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek ORGANY I SMYCZKI
77. ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA
Jan Miodek W STRZEGOMIU
86. Z ZAPISKÓW EMERYTA
Jarosław Starzyk PANIENKA Z DOBREGO DOMU

PLASTYKA I FOTOGRAFIA

32. Andrzej Kozieł MALARSTWO BARKOWE NA ŚLĄSKU NA NOWO ODKRYTE
33. MALARSTWO BAROKOWE NA ŚLĄSKU. Muzeum w Gliwicach
38. Michalina Wawrzyczek-Klasik CICHE KADRY. O grafikach Jana Szmatocha
50. Karina Cicha RAFAŁ OLBINSKI I RZECZYWISTA WYOBRAŹNIA
67. Agnieszka Sikora NOSTALGICZNY SPACER
69. MIĘDZY MONTMARTRE’EM A MONTPARNASSE’EM. MUZEUM ŚLĄSKIE
86. MISTRZOWIE FOTOGRAFII. KRZYSZTOF LISIAK

KSIĄŻKI

72. Ewa Bartos OGIEŃ OPOWIEŚCI
73. Anna Zaczekowska MISTERIUM FASCINANS
74. Mirosława Michalska-Suchanek ROSYJSCY NEOPOGANIE
75. Magdalena Piotrowska-Grot NIE TAKI BIEDNY, SKORO CZYTA
76. Bogdan Widera KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA

4. Z OSTATNICH WERSZY TADEUSZA KIJONKI. AUTOGRAFY
37. Andrzej Szuba WERSZE
41. Witold Turant OPOWIEŚCI EDYNBURSKIE. INSTYTUT GAWĘDZIARSTWA
44. Zbigniew Chojnowski WERSZE

STAŁE RUBRYKI

70. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE
X MIĘDZYNARODOWY KONKURS DYRYGENTÓW
IM. GRZEGORZA FITELBERA. POZNALIŚMY UCZESTNIKÓW
78. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Sylvia Tomczyk LITERACKO-KULTURALNE SERCE MIASTA
80. NOTATNIKI KULTURALNE
84. ŚLĄSKI MIESIĄC

NA OKŁADCE:

Wojtek Łuka, grafika

Pismo wspierane
finansowo przez:Projekt objęty
mecenatem
MIASTA KATOWICEKATOWICE
dla odmianyMinisterstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.Śląskie.
Pozytywna energiaCHORZÓW
wprawia w ruch

ŻEGNAMY TADEUSZA KIJONKĘ

30 czerwca 2017 roku umarł Poeta...

*Tadeusz Kijonka w listopadzie skończyłby 81 lat. Pamiętamy,
jak cieszyły Go „dwie kosy” czyli 77. urodziny naznaczone spotkaniami literackimi
z okazji wydania wyboru Jego wierszy pt. „Czas, miejsca i słowa”,
a potem jeszcze rozmowy i dysputy z Poetą o kolejnych tomach „44 sonety brynowskie”
oraz „Słowo w słowo”. Pozostały po Nim rękopisy – innego sposobu zapisu wierszy nie uznawał.
Prowadzone ręką pióro nadawało nowy sens każdemu słowu...*

**...niestrudzony, wspaniały redaktor,
wizjoner, uparty Ślązak – Polak...**

*17 lat poświęcił na utworzenie, redagowanie i utrzymywanie przy życiu
ukochanego pisma – miesięcznika „Śląsk”.
Tytuł był dla Niego czymś więcej niż tylko winietą. Był filozofią i wypadkową Jego życia.
Od pierwszego numeru, wszystkim, którzy pojawili się w zasięgu „Śląska”, więc także i nam,
wpajał krótką, ale jakże dobitnie sformułowaną myśl: „Po pierwsze Śląsk”.
Miał jeszcze tyle do napisania – jako poeta i publicysta, i do powiedzenia
– jako komentator naszej codzienności, nieustannie zabiegający o prestiż Śląska,
o jego historię, ludzi tu żyjących.*

...wielki admirator sztuki operowej.

*Był dobrym duchem i chodzącą encyklopedią Opery Śląskiej w Bytomiu, przyjacielem artystów,
a także twórcą dzieł, które stały się ważną pozycją w repertuarze tego teatru.
„Co na to powie Kijonka?” – przez 47 sezonów zastanawiano się w Operze Śląskiej,
w której był kierownikiem literackim.
Nie było spektaklu bez Jego udziału i obecności na widowni – od lat w tym samym fotelu.
Tu biło jedno z Jego serc, tu miał ukochane miejsce na ziemi.*

*Tadeuszu, Przyjacielu,
przy naszym redakcyjnym stole masz swoje miejsce. Pamiętamy...
Ten numer „Śląska” dedykujemy Tobie...
Żegnamy Cię.... Pilnuj nas tam z góry...*

*Wiesława Konopelska
redaktor naczelna miesięcznika „Śląsk”
oraz Zespół Redakcyjny:*

Maria Korusiewicz, Maria Sztuka, Marian Kisiel, Wojtek Łuka, Bogdan Widera



TADEUSZ KIJONKA

(1936 – 2017)

~~Przed dom~~

PSIAK

To boskie przenie
w głąb nocy
szed wstąpił i woli
pod moimi oknami

I szed w, że ~~był~~ ^{był}

siem ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem}
właśnie ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem}
właśnie ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem}

Pymach u niego ~~siem~~ ^{siem}
głuch co ~~siem~~ ^{siem}
właśnie ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem}
a ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem}

~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem}
i do ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem}
Co ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem}
Ja ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem}
Ja ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem} ~~siem~~ ^{siem}

M.V. 2017, w ~~siem~~ ^{siem}

W BŁYSKU | ~~W BŁYSKU~~

Zostadziatem już w pięciu od jakiego czasu?

Na przykład: Białe-Czerwone pole przedwiośnie.

Aż nagle błysk chłopaka i wybieg: szlachetny

Bo adreś, już nie więcej, one będą się zmieniać.

Nie, nie możesz uciec - chwila, jeden miesiąc;

Bo wiesz, że jeśli w końcu nie zagrozi ci życie.

Skoro nie ma odwrotu, to przed tobą, mój.

Czy to już jest koniec, czy pobojowisko?

(Tę noc ci do śniadego podparcia słonka
Ciepło tobie do pierwszego twojego pokonania).

20 V. 2017. godz. 3.00

Jak iskra po ściernisku

Homilia ks. prof. Jerzego Szymika
wygłoszona podczas Mszy św. pogrzebowej w intencji
śp. Tadeusza Kijonki

Czytanie z Księgi Mądrości 3,1-9

Dusze sprawiedliwych są w ręku Boga i nie dosięgnie ich męka. Zdało się oczom głupich, że pomarli, zejście ich poczytano za nieszczęście i odejście od nas za unicestwienie, a oni trwają w pokoju.

Choć nawet w ludzkim rozumieniu doznali kaźni, nadzieja ich pełna jest nieśmiertelności.

Po nieznacznym skarceniu dostąpią dóbr wielkich, Bóg ich bowiem doświadczył i znalazł ich godnymi siebie.

Doświadczył ich jak złoto w tyglu i przyjął ich jak całopalną ofiarę.

W dzień nawiedzenia swego zajaśnieją i rozbiegną się jak iskry po ściernisku. Będą sądzić ludy, zapanują nad narodami, a Pan królować będzie nad nimi na wieki.

Ci, którzy Mu zaufali, zrozumieją prawdę, wierni w miłości będą przy Nim trwali: łaska bowiem i miłosierdzie dla Jego wybranych.

„Pan mnie ocalił, gdyż mnie miłuje” – kilkakrotnie przed chwilą śpiewaliśmy ten psalmiczny refren.

To odważne słowa. Zawsze, ale zwłaszcza, kiedy się je śpiewa nad trumną człowieka, którego kochaliśmy, w apogeum straty i bólu, wydaje się, że zawierają zgrzyt, że są religijnym banałem, który nie ma nic wspólnego z nieubłaganą prawdą śmierci. W wielu scenach Biblii słowa te są przedmiotem szyderstwa. Ciebie ocali Bóg? – pytają słudzy śmierci wszystkich epok. Boga nie ma albo jest zajęty sobą, On cię nie miłuje, boś Mu obojętny, daleki jest od twojego cierpienia i klęski. Blisko jest tylko moja przemoc i twoja śmierć, powiadają. „Twoje ciało oddam ptakom i dzikim zwierzętom” (1 Sam 17,44b) – wołał Goliat do Dawida. „Niech zejdzie z krzyża, a uwierzymy w Niego. Zaufał Bogu: niechże Go teraz wybawi, jeśli Go miłuje” (Mt 27,42b-43a) – tymi słowami był łżony umierający Jezus.

„Pan mnie ocalił, gdyż mnie miłuje” – powtarza swój refren wierzący, ginący psalmista. Na przekór realizmowi śmierci. I dopiero Chrystus w Ewangelii, tej, którą słyszeliśmy, rzuca na te słowa potężny, prawdziwie Boski snop światła, dając nam klucz do tajemnicy owej sprzeczności: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki”.

Słyszac, rozumiemy: jesteśmy w samym sercu tego dzisiejszego wydarzenia – pogrzebu; w samej istocie tajemnicy życia, śmierci i znów życia – Tadeusza.

Właściwie wszyscy tu obecni, całe nasze wielkie środowisko rodziny, przyjaciół, współpracowników i czytelników Tadeusza, jesteśmy ludźmi – też dzięki Niemu – o niemałej wrażliwości na siłę i piękno słowa. Dla nas, czy to w sensie biblijnym, czy kulturowym, „Słowo jest na początku”, *en Arche* – „*en Arche en ho Logos*” (J 1,1). Dlatego – to mój gorący apel do nas wszystkich – doceniemy wagę, siłę, piękno i przenikliwość dzisiejszych czytań, które wiedzą o nas wiele, znacznie więcej niż my o nich. Tadeusz mówił o takich tekstach, że są „światne”. Mówił na przykład: „ten wiersz należy do najświetniejszych”. Posłuchajmy raz jeszcze, jak świetny jest fragment z Księgi Mądrości, właściwie to już komentarz do życia i śmierci Tadeusza, komentarz z wysoka, z głębi wieczności: „Dusze sprawiedliwych są w ręku Boga i nie dosięgnie ich męka. Zdało się oczom głupich, że pomarli, zejście ich poczytano za nieszczęście i odejście od nas za unicestwienie, a oni trwają w pokoju. Choć na-

wet w ludzkim rozumieniu doznali kaźni, nadzieja ich pełna jest nieśmiertelności. Po nieznacznym skarceniu dostąpią dóbr wielkich, Bóg ich bowiem doświadczył i znalazł ich godnymi siebie. Doświadczył ich jak złoto w tyglu i przyjął ich jak całopalną ofiarę. W dzień nawiedzenia swego zajaśnieją i rozbiegną się jak iskry po ściernisku”. Tadeusz zajaśnieje i rozbiegnie się jak iskra po ściernisku... Bóg obiecuje owocowanie jego sprawiedliwości. W Katowicach, na Śląsku, w Polsce. W nas. Po naszych ścierniskach. Skąd, dlaczego? Bo „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki”. Najświetniejsze...

Profesor Kisiel napisał, że w poezji Kijonki „o Bogu mówię się tak, jak się powinno: cicho, po ludzku i na miarę własnej wrażliwości”. W wierszu *Wygnanie* brzmi to tak:

Bóg się objawia pierwszą raną,
Gdy miecz przecina pępowninę.

[...]

Bóg się nie goi: pierwsza rana
Póki krew – nie da się zaleczyć.

A kiedy kona...

drży Bóg na kolanach,

W śmiertelnym lęku człowieczym.

Sprawa z Bogiem sięga w jego wierszach otchłani radlińskiego dzieciństwa, samych korzeni jego życia – to tam „Bóg się objawia pierwszą raną./ Gdy miecz przecina pępowninę”, dosłownie. Mówi o tym znakomity, baśniowo-mistyczny wiersz *Jordan* (radlińska Leśnica jako osobisty biblijny Jordan? A czemuż by nie? Wcielony Bóg chrześcijaństwa ma moc mówić do nas przez miejsca i fakty wcielone w konkret naszego życia. A rzeczą wiersza jest mowę tę nazwać – to stara tradycja mistycznej poezji), gdzie małemu Tadeuszowi w cudzie dzieciństwa objawia się Bóg-Trójca:

Jak to było, że wtedy rozmawiałeś z Bogiem
Wcale nie na kolanach. Pamiętasz jak biegł
Bóg Ojciec na wyścigi przez łąkę w kaczeńcach,
I zdyszany jak starzyk padł na pniu u źródła.
A Syn Boży – ten znikąd pomnożony chleb

Na pastwisku, a potem mleko wprost z wymiona
Najmędrszej kozy świata. Ba, nawet Duch Święty
Nawiedzał cię co echo, by poświadczać sobą,
Że jak głos czuwa wszędzie, nic – tylko zawołać.

Ale to tylko i aż – wiersze, których tonacja, wyzbyta jakiejś
kolwiek agresji wobec życia i jego Stwórcy, pogodzona z ni-
mi, jest znakiem czegoś jeszcze. Bo właśnie tu – w sferze zgo-
dy bądź buntu wobec kształtu naszego losu rozstrzyga się nasza
Sprawa z Bogiem: Bóg nie jest jedynie zbędnym w istocie *de-
corum* egzystencji, dodatkiem do życia istoty. Jest dokładnie
odwrotnie: to w najgłębszych arteriach i zaułkach życia mó-
wimy Mu i Jego z nami Sprawie nasze „tak” lub „nie”.

W ostatnim ćwierćwieczu rozmawiałem z Tadeuszem setki
razy. Telefony to był jeden z wielu jego ważnych światów, jak
wie wielu z nas. W jego słowach i postawie była zgoda na ży-
cie jakie było i jest – słyszeliśmy ją, bo przecież nie tylko ja, wy-
raźnie. Ten rodzaj dzielności z jego ostatnich lat, i wielu wcze-
śniejszych, nie był tylko uporem społecznika, męską siłą, śląską
twardością czy paliwem artysty. Był czymś znacznie głębszym
jeszcze, czymś z Wysoka... Tadeusz przebił się do Sprawy z Bo-
giem poprzez dramaty i tragedie życia: śmierć bliskich, zbrod-
nie demonów historii, ogień miłości, samotność szpitali i nie tyl-
ko ich. Ale właśnie ta zgoda była zgodą na Boga – wiarą.

To był, jak sądzę, zasadniczy, wewnętrzny napęd Tadeusza.

Nie mam zamiaru ani jemu, ani nam, niczego wmawiać, ale
sądzę, że wiara – „cicha, ludzka i na miarę własnej wrażliwo-
ści”, powtarzając słowa prof. Kisiela, jest lekcją Tadeusza, któ-
rej nam udziela zwłaszcza swoimi ostatnimi latami. Za różne
dary jesteśmy mu wdzięczni i za wiele z nich będziemy mu jesz-
cze dziękowali. Zawsze nas gromadził, to był jego ge-
nius – wokół słowa, wokół kultury, wokół Śląska, wokół przy-
jaźni. Teraz zgromadził nas wokół ołtarza, wokół wiary – tak
tłumnie, tak głęboko.

I już wyjaśniam, jak rozumiem tę Tadeuszową lekcję wiary.

Wiara jest w swej istocie nawróceniem. Wymaga decyzji
i zwrotu, zgody na zasadniczo inną niż powierzchowna posta-
wę wobec świata. Przyznaniem prymatu tego, co niewidzialne.
Zgody na to, że bezwarunkowa miłość będzie odtąd „miejscem”
rozumienia i przeżywania życia, jego punktem ciężkości. „In-
ną niż powierzchowna” – to znaczy nie łudząc się, że rzeczy-
wistość sięga jedynie do granic tego, co uchwytne (zmysłowo,
wyłącznie „rozumowo”) i mierzalne; mało tego: opowiadając

się za tym, że to, co niewidzialne, jest właściwą rzeczywisto-
ścią, która utrzymuje i umożliwia wszelką rzeczywistość.

A zarazem wiara jest czymś istotnie praktycznym, bo jest naj-
głębiej powiązana z rozumem i rozumieniem. Sama w sobie
jest rozumieniem i nigdy nie „skreśla” rozumu ani odeń czło-
wieka nie „uwalnia”. Wręcz przeciwnie: wiara daje rozumo-
wi oparcie, wyzwała go od grozących mu fobii i miałości (po-
chodzącej z zapatrzenia w samego siebie), jest dlań stałym
zadaniem bycia sobą. Rozum z kolei dba o to, by wiara spro-
stała zadaniu odpowiedzialnej racjonalności, by nie osunęła się
w irracjonalizm.

Najważniejsze tu: wiara nie jest ciałem obcym we wnętrzu
człowieczeństwa, ale spaja, integruje i oczyszcza poszczegól-
ne władze i elementy; prawdziwa, nie podtruwana (agnosty-
cyzmem, ateizmem), nie zatruta (grzechem, zwątpieniem)
– nigdy ich (władz i elementów człowieczeństwa) wzajemnie
nie izoluje ani ich nie rozbija. Nie niszczy człowieka, ale
rozwija. Jeden z najbardziej wstrząsających wierszy Tadeusza,
wiersz-błyskawica, czterowersowy, nosi tytuł *Z wiarą*
i brzmi tak:

Jak zawleczkę granatu
wyrwę cię zębami
w ostatniej sekundzie:
wierzę.

Najważniejszym owocem wiary jest nadzieja. Kiedyś,
gdzieś w połowie lat 90., na Koszutce, przed moim wystąpie-
niem w ramach bodajże spotkania GTL, opowiadałem Tade-
uszowi przy kawie o tezie ks. Pasierba, który twierdził, że na-
dzieja jest głównym towarem eksportowym chrześcijaństwa.
Że ją jako chrześcijanie jesteśmy naszemu światu winni. Że świat
jest w stanie w wielu kwestiach sobie bez chrześcijaństwa po-
radzić, ale nie w kwestii nadziei, która nie jest do „wyprodu-
kowania” bez wiary chrześcijańskiej. Powiedz to za chwilę nam
wszystkim – poprosił Tadeusz.

Więc spełniam tamten jego testament i mówię: „Ja jestem
zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby
i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze
na wieki”.

Archikatedra Chrystusa Króla, 4 lipca 2017 r.



Fot. Jan Mieńciuk

FLOTYLLA

Karawele, korwety, brygi i fregaty
Pod żaglami obłoków w odmętach błękitu.
Co dnia na oślepie w oknie szpitalnym od świtu –
Serce, co z nami będzie?... Nikt nie zna tej daty?

Dokąd flotyllo lotna nad światem w zaświaty,
A ja – bo ile jeszcze dni pisanych mi tu?
Serce, co będzie z nami?... Choć ty się ulituj
I trwaj wierne do końca dramatu zatraty.

Błędne żaglowce w locie gdzie je wiatr poniesie –
Bezpowrotne, dzień po dniu, gdy w pościeli tonę.
To pełnia lata jeszcze, czy ostatnia jesień?

Już pora spisać życie adres po adresie.
A co gdy końca wiersz nie dotrwa ten sonet –
Serce, co z nami będzie?... Nic, życie skończone.

Z tomu Czas, miejsce i słowa, 2013

*Tym wierszem Tadeusza Kijonki żegnała Poetę Anna
Kadulska – aktorka Teatru Śląskiego podczas ceremonii
pogrzebowej w Archikatedrze Chrystusa Króla.*



*Kto we mnie wierzy, choćby umarł, żyć będzie.
Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie,
nie umrze na wieki.*

Szanowna Pani Zofio! Pograżona w smutku Rodzino!

W trudnych chwilach, związanych ze śmiercią śp. Tadeusza, jednoczę się w modlitwie z całą pograżoną w smutku Rodziną oraz przyjaciółmi i znajomymi Zmarłego.

Pragnę przekazać Wam wszystkim słowa współczucia i chrześcijańskiego pocieszenia. Śmierć bliskiej, ukochanej osoby zawsze łączy się z poczuciem smutku i straty. Chrześcijańska wiara daje nam jednak nadzieję, że Dawca Życia obdarzy Zmarłego łaską zmartwychwstania.

Śp. Tadeusz Kijonka gorliwie przeżywał swoje życie. Dawał dobre świadectwo swego człowieczeństwa, oddany Ojczyźnie i naszej Ojcowiznie, jako poeta, publicysta i działacz społeczny. Propagował śląską kulturę m.in. na łamach założonego przez siebie miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”. Aktywnie uczestniczył w życiu naszego regionu, wzbogacał jego kulturę i wzmacniał tożsamość!

Niech Miłosierny Pan wynagrodzi Zmarłemu wszelkie dobro, jakie po sobie pozostawił, każdy gest troski, miłości, dobroci i życzliwości uczyniony wobec swojej rodziny i najbliższych oraz całej naszej lokalnej wspólnoty. Niech zatem Bóg, Pan życia i śmierci, który zna nasze serca, przyjmie śp. Tadeusza w swoim Domu, na ucztę w swoim Królestwie.

Powierzam Bogu bogatemu w miłosierdzie śp. Tadeusza za wstawiennictwem Najświętszej Maryi Panny – Matki Bolesnej.

W tych pełnych bólu chwilach chcemy także odnaleźć pociechę i nadzieję w słowie Bożym, które zapewnia: *Kto we Mnie wierzy, choćby umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki* (J 11,25n). Ufam, że śp. Tadeusz cieszy się radością życia wiecznego wraz ze swoimi przodkami i tymi wszystkimi, którzy odeszli ze znakiem wiary i śpią w pokoju.

Całą Rodzinę zapewniam o bliskości, a na czas bolesnego rozstania – przeżywanego w świetle chrześcijańskiej nadziei – z sercem błogostawię.

Jezu Dobry Pasterzu, Ty pozwoliłeś swojemu stłusze gorliwie przeżyć czas ziemskiej wędrówki, spraw, aby Ciebie chwalił na wieki.

+Wiktor Skworc

ARCYBISKUP METROPOLITA KATOWICKI

PREZIDENT MIASTA
KATOWICE

Katowice, 4.07.2017 r.



Kondolencje

Na ręce Rodziny i Przyjaciół pragnę złożyć wyrazy najszczerzego współczucia z powodu śmierci Pana Tadeusza. Słowa żalu chciałbym wypowiedzieć w imieniu całej katowickiej społeczności, jestem bowiem głęboko przekonany, że w sercach wielu katowiczian buduje się dziś serdeczne wspomnienie śp. Tadeusza Kijonki. Nie sposób przecież zapomnieć o człowieku, który w życie miasta wniósł swoją energię, talent, czas; po prostu wniósł siebie.

Nie obawiałbym się więc odpowiedzi na pytania stawiane przez Pana Tadeusza w wierszu „Co sen”, gdy mierzymy się z trudem kwestii ostatecznych: „Co tutaj po nas pozostanie./ Czy czarne skrzydło zamknie anioł?”. Mimo iż autor swoje egzystencjalne rozważania kontynuuje w sposób, który dziś wybrzmiewa jakże dotkliwie: „Przeżminie nawet przemijanie./ I wszelki ślad/ Po przemijaniu./ Jakby nas tu nie było wcale./ Nikogo, wcześniej ani później (...)”, to jednak ufam, iż w naszych sercach pozostanie wdzięczna pamięć o człowieku szczególnie zaangażowanym w sprawy swojej małej ojczyzny.

Łączę wyrazy współczucia

Prezydent Miasta Katowice
Marcin Krupa

Serdeczne podziękowania

kierujemy do Wszystkich, którzy byli z nami
w tych trudnych chwilach
i uczestniczyli w ostatniej drodze

śp. TADEUSZA KIJONKI

W szczególności dziękujemy: Arcybiskupowi Metropolice Katowickiemu Wiktorowi Skworcowi za słowa współczucia i chrześcijańskiego pocieszenia, Arcybiskupowi Katowickiemu Seniorowi Damianowi Zimoniowi za przewodniczenie Mszy Świętej Żałobnej koncelebrowanej, ks. prof. Jerzemu Szymikowi za wygłoszoną homilię i współcelebrującemu Duchowieństwu;

Marszałkowi Wojciechowi Sałudze i Zarządowi Województwa Śląskiego, Przewodniczącemu Sejmiku Województwa Śląskiego Stanisławowi Gmitrukowi oraz Radnym Sejmiku Województwa, Prezydentowi Miasta Katowice Marcinowi Krupie, Przewodniczącej Rady Miasta Katowice Krystynie Siejnej, Burmistrz Radlina Barbarze Magierze, Przewodniczącej Rady Miejskiej w Radlinie Gabrieli Chromik, Dyrektorowi Łukaszowi Goikowi oraz Zespołom Opery Śląskiej w Bytomiu i Henrykowi Konwińskiemu, Prezesowi Tadeuszowi Siernemu oraz Wiceprezesowi prof. Marianowi Kisielowi i Zarządowi Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach, Redaktor Naczelnej Wiesławie Konopelskiej i Zespołowi miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”, Zarządowi i Załodze Wydawnictwa Naukowego „Śląsk”, Prezesowi Polska Press Śląsk Zenonowi Nowakowi, Redaktorowi Naczelnemu „Dziennika Zachodniego” Markowi Twarogowi oraz redaktor Teresie Semik, Redaktorowi Naczelnemu katowickiej „Gazety Wyborczej” Dariuszowi Kortce oraz redaktor Beacie Netz, Barbarze Szmatloch i Józefowi Krzykowi, Rektorowi Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach prof. Andrzejowi Kowalczykowi, Instytutowi Socjologii Uniwersytetu Śląskiego, Dyrektorowi prof. Janowi Malickiemu i Pracownikom Biblioteki Śląskiej, Dyrekcji i Zespołowi Teatru Śląskiego oraz Annie Kadulskiej, Polskiemu Radiu Katowice, Telewizji Polskiej Oddział Katowice, Dyrekcji i Pracownikom Muzeum Śląskiego, Prezesowi Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie Józefowi Musiołowi, Dyrekcji oraz Wicedyrektorowi Tomaszowi Janikowskiemu i artystom Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, redaktor Marii Pańczyk i „Po naszymu – Czelodce”, prof. Krystynie Heskiej-Kwaśniewicz, Przewodniczącemu Rady Regionalnej Izby Gospodarczej w Katowicach Januszowi Steinhoffowi i Prezesowi Izby Tadeuszowi Donocikowi, Polskiemu Towarzystwu Ewangelickiemu – Oddział w Katowicach, Stowarzyszeniu im. Wilhelma Szewczyka, Hospicjum domowemu św. Franciszka w Katowicach, Kolegom z Technikum Budowy Maszyn Górniczych w Rybniku oraz Przyjaciołom i Znajomym.

Żona, Córka i Syn



W przydomowym zaciszu ogrodu, 2017

Wspomnienia serdeczne

ERNEST BRYLL

poeta

Poeta najszczerzy

Tak umiem wspominać o moim przyjacielu, jednym z najszczerzych we „Współczesności” Poecie – o Tadku Kijonce. To pamięć wieczoru, kiedy byliśmy w domu rodzinnym Tadka, śpiewaliśmy pieśni. Był Zbigniew Bieńkowski, Małgosia Hillar... I jasne się stało nam, spoza Śląska, dlaczego tu *Bytomskich Strzelców* śpiewa się jak hymn. Na baczność.

Po latach Tadek napisał piękną piosenkę. Pamiętam ją – jak niejedną z jego piosenek i niejeden świetny wiersz. Chyba było tak:

Puść mnie mamo, bo wyrusza
Pułk w dalekie strony
Do Bytomskich Strzelców muszę [śpiewano według dialektu „mu-sza”]
Bo to pułk sławiony

Pamiętam o Nim w coraz dłuższych modlitwach za dawnych przyjaciół z dawnych już czasów.

W Radlinie u Kijonków śpiewaliśmy sobie
Najważniejsze śpiewanie. Bo niebo pogodne
Chmurami zawiąło. Więc się Zaciągało

Do Bytomskich Strzelców twardo chłopcy szli
Tak się znów stało. Trzeba było iść
Szereg za szeregiem
Pod niebem

Pod ziemią
Bronić tej ziemi bo znowu ciemno
Chmurno, durno przed nami

Tak wyprostowani
Na baczność – Śpiewaliśmy pieśń – A się śpiewało
Od głębokości Śląska do samego nieba
Choć tyle ubywało w nas – Jeszcze została
Granica uczciwości

A za tą granicą
Dziewczyny zaklinały życia tajemnice
O zabitych chłopcach. Niech wreszcie zawrócą
Do swej jedynej – Ze śmiercią pokłóć
I staną przy nas...

Jako powiedziane
W słowach piosenki trochę zapomnianej
Ale w pamięci zachowanej – Tak
Że się przywróć – Gdy nadejdzie znak:
„Do Bytomskich Strzelców chłopcy zaciągają”

Skończyliśmy – A ojciec Tadka nie siadając
Długo stał na baczność. I Tadek jak struna
Napięty – trwał przy ojcu
– Tak widzicie u nas
Tak ze mną
Przygarbiony, nieraz kark poddaję
A łeb podnoszę gdy tę pieśń śpiewają

W Radlinie u Kijonków śpiewaliśmy Strzelców
– Bier się. Odetchnij wolnością serce

Ślązak z Radlina, Polak ze Śląska

Tadeusza Kijonkę poznałem bliżej, gdy pojawił się 32 lata temu przy ul. Wiejskiej w Warszawie jako poseł z Rybnika w Sejmie IX kadencji (1985-1989), a potem z Bytomia w przełomowej dla Polski X kadencji (1989-1991). Wtedy zapisał się ważnymi, dyskutowanymi i ciągle obecnymi w pamięci wielu Ślązaków wystąpieniami i inicjatywami. W mej pamięci szczególnie utrwaliły się dwie sprawy.

W 1988 r. przemawiając z trybuny sejmowej, jako pierwszy użył oskarżycielskiego określenia o Śląsku jako obolałej „kolonii wewnętrznej Polski”, wyrażającej się „w krzywdzie śląskiej”, bo stałe więcej dawał Polsce niż otrzymywał w zamian.

Natomiast w Sejmie nazywanym „kontraktowym”, jako pierwszy, wystąpił do premiera Tadeusza Mazowieckiego z udokumentowaną interpelacją podejmującą problem wywózek Ślązaków do niewolniczej pracy w ZSRR i powojennych prześladowań Ślązaków, na odpowiedział minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski podczas posiedzenia Sejmu.

Tadeusz, co u niego bardzo ceniłem, był – jak mówił – Ślązakiem z Radlina i Polakiem ze Śląska, dlatego, jako Ślązak o polskich korzeniach, źle znosił wywoływane spory o Śląsk z atakowaniem jego polskości oraz próbami zaliczania Ślązaków do obywateli niższej kategorii. Nigdy też swej polskości nie stawiał w opozycji do śląskości. Upominanie się o Śląsk i jego mieszkańców wymagało uporczywości i odwagi, tej Mu nie brakowało, ale konieczność stałego zebrania o minimalne środki finansowe na wydawanie miesięcznika „Śląsk” zabierały mu siły, które mógł przecież lepiej spożytkować.

Jako poseł znalazł się w gronie 18 zacnych Ślązaków, którzy w 1989 r. podpisali się pod wnioskiem o rejestrację Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie, w którym przyszło mi działać. Kiedy Tadeusz założył i zaczął wydawać w 1995 r. Miesięcznik Społeczno-Kulturalny „Śląsk”, także mnie zachęcił do współpracy. Z jego inspiracji i stałej zachęty powstało wiele moich artykułów o pogmatwanych dziejach Śląska i losach Ślązaków drukowanych na łamach miesięcznika, z których sporo potem weszło do mojego pięcioksięgu śląskiego: *Ślązaków w Warszawie* (2008), *Księgi Ślązaków* (2009), *Ślązaków i Kresowiaków* (2011), *Ślązaków w świecie* (2015) i znajdujących się w druku *Legend sportu śląskiego* (2017).

Gdyby nie Tadeusz nie byłoby tych książek. Mam więc za co Mu dziękować, żałując że zabraknie Jego mądrej zachęty i inspiracji.

HARRY DUDA

poeta, dziennikarz, publicysta

Pięć razy „nie”, czyli wspomnienie-nie-wspomnienie

Tadeusz Kijonka... Ręka się waha nad pisaniem zdaniem, w którym trzeba użyć czasu przeszłego. Dlatego czasu przeszłego nie użyję. Człowiek gorącego serca i chłodnego umysłu, jasno sprecyzowanych celów i konsekwentnej woli ich osiągania. Harmonijnie łączący cele własne ze społecznymi, bo te własne to u niego społeczne – jako wypełnianie czynem miłości do Śląska i Polski; a społeczne własnymi – jakimi dla wielkiego artysty słowa są kultura, a z nią sztuka. Człowiek służby słowu. A zarazem niezwykle w skuteczności organizator tej służby nie tylko artystycznej, lecz i publicystycznej. Odnowiciel pięknej tradycji Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego, twórcą miesięcznika „Śląsk” – bodaj najwybitniejszego czasopisma na mapie regionów Polski. Patriotą i w skuteczności polityk, a zarazem subtelny liryczny, twórca poezji, którą docenia, jak myślę, dopiero przyszłe pokolenia. Zarazem niezawodny przyjaciel, a nie codziennie serdeczny kolega. Człowiek jednoczący, a nie dzielący; przyciągający do siebie, a nie odstręczający; zasadniczy, ale i tolerancyjny, intelektualista i erudyta. Miękki w obyciu, lecz niezłomny w sferze wartości. W sprzyjających warunkach – wulkan humoru i zdrowej zabawy. Wielowymiarowy i równocześnie skromny, rzec można – nie rzucający się w oczy. Jeden z ostatnich Tadeuszów, jakich znam, związanych ze mną przyjaźnią – z liczby ponad dwudziestu. Po prostu trudno przyjąć, że Ciebie już nie ma. Łatwiej, że niby Cię nie ma, Tadeuszu; że to smutne i uroczyste „dziś” dzieje się na niby. Jesteś zatem i nadal bądź z nami, Przyjacielu, tak jak są Twoje jakże licznie i wszechstronnie zapisane słowa. Nie chcę Cię żegnać. Bywaj!

Opole, 1.07.2017

MARTA FOX

poetka, autorka powieści dla młodzieży

Żegnaj, Poeto

Czytał kiedyś swoje wiersze na lekcji polskiego, w klasie, którą uczyłam w V LO. Czytał dobrze, jak mało który poeta, wystukiwał ich rytm własnym głosem. Był majowy dziołek, okna otwarte, za nimi zaczął ujażdżać pies. Tadeusza to nie rozproszyło. Po spotkaniu, zadowolony, powiedział: „Zauważyłaś, jak przyszedłem mu w sukurs, jak dostosowałem rytm wiersza do jego szczekania? Wyszedł ciekawy duet”.

To prawda, miał wrażliwe ucho i serce, otwarte na potrzeby środowiska literackiego, które próbował scalać na różne sposoby. Współpracowałam z Tadeuszem w „Tak i Nie”, w klubie literackim na Misjonarzy Oblatów, w miesięczniku „Śląsk”, w Górnos Śląskim Towarzystwie Literackim. Pamiętał, kto kiedy debiutował, organizował zjazdy, rocznice. Pisał najdłuższe dedykacje, z których każda była ciekawym tekstem literackim. Gdyby tak je zebrać, wyszłaby z tego opowieść zaświadczaająca o jego poczuciu humoru, wrażliwości na człowieka i ciekawości jego świata.

Cierpiał po cichu, chorował dzielnie, aktywnie i twórczo. Każde pytanie o zdrowie zamieniał w poetkę przypowieść, aforyzm lub żart, jak ten z ostatnich dni: „Twoje śledzie z majerankiem na pewno by mi pomogły”. Lubiłam jego kwieciste frazy, kurtuazję, konsekwencję, z jaką dbał o swoje idee. Najbardziej jego wiersze, na pisanie których wykradał czas. Będę uboższa o te nienapisane. Bardzo mi Ciebie brakuje, Tadeuszu, bardzo. Kto mnie teraz będzie głaskał słowami, kto we mnie będzie wierzył i czynił reprimendy. Niech bogowie mówią o Tobie szeptem, Tadeuszu Kijonko, Poeto.

ŁUKASZ GOIK

p.o. dyrektora Opery Śląskiej w Bytomiu

Już Go brakuje...

W imieniu pracowników, zespołów artystycznych i kierownictwa Opery Śląskiej w Bytomiu chciałbym wyrazić nasze najszczerze podziękowanie śp. Tadeuszowi Kijonce – zasłużonemu twórcy i wieloletniemu kierownikowi literackiemu. Niespodziewanie przyszło nam pożegnać Człowieka wielkiej uczciwości, wielu talentów, pasji i niezwykłych zasług, stale obecnego w życiu artystycznym naszej Opery i bez reszty jej oddanej. Miał ogromny udział nie tylko w ważnych wydarzeniach, ale i w stabilizacji naszej codziennej działalności, tym bardziej bolesne jest dla nas Jego odejście. Za wcześniej na dystans i podsumowania, Jego śmierć przyszła tak nagle... Jeszcze kilka tygodni temu mieliśmy zaszczyt gościć Go na widowni naszego teatru podczas kończącej sezon „Aidy”. Ale tak naprawdę Pan Tadeusz nigdy nie był tu gościem, był od zawsze nierozdzielnie związany z bytomską sceną i dla większości z nas, gdy mówimy o historii i legendarnych postaciach Opery Śląskiej, od razu pojawia się w naszej pamięci właśnie On – człowiek niezwyklej wiedzy i talentu, strażnik pamięci przywołujący wszystkie fakty z dziejów naszego teatru z niemal kalendarzową dokładnością; obsady, spektakle, premie... A wszystko okraszone stosownym, inteligentnym, czasem dwuznacznym dowcipem. Autor niezliczonych publikacji, programów operowych, wielki admirał muzyki Verdiego. Osoba, na której rady, wiedzę i zaufanie zawsze mogliśmy liczyć. Będzie nam Go bardzo brakowało. Już brakuje...

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

literaturoznawczyni, profesor zwyczajna Uniwersytetu Śląskiego

Ja was tak nie zostawię.

O jeszcze jednej miłości Tadeusza Kijonki

Z Tadeuszem łączyło nas bardzo wiele: polonistyka z pasji i umiłowania literatury jako sposobu przeżywania świata, Jan Lechoń i Krzysztof Kamil Baczyński, wrażliwość na pejzaż, fascynacja przeszłością Śląska (On najlepiej rozumiał moją walkę o „Wieżę spadochronową”), harcerstwo (u Niego głównie harcerki), ukołowanie rodziny, wiele innych spraw i ta jedna, dość sekretna – psy.

O naszych psach rozmawialiśmy godzinami, czasem się licytując, czyje mądrzejsze, czyje czulsze, czyje piękniejsze. W jednej z dedykacji dla mnie napisał: „...zawsze ten sam z uczuciem przyjaźni, równie oddany Stworzeniom z rodowodem kynologicznym”. One były członkami Jego Rodziny, tak je traktował i tak żegnał, jak najbliższych. Od domu rodzinnego w Radlinie, aż po dom

przy ul. Środkowej w Katowicach. Trochę się wywyższał w tych rozmowach, bo u nas od pokoleń były jamniki – on wołał większe psiska.

Nie był psim snobem, brał psy po przejściach, często z azylu i po tem twierdził, że ten wybór był przeczcuciem i przeznaczeniem. W stosunku do zwierząt był franciszkański, to byli Bracia, wcale nie Mniejsi!

Bardzo dobrze służyła Mu dogoterapia, zmęczony, zraniony przez ludzi, chory, lubił głaskanie, czułe muskanie kłami, lizanie po rękach, oglądał telewizję z psem leżącym na nogach, a psy bardzo lubiły z Nim gotować, bo dzielił się z nimi wszystkim. Lubiał, gdy na powitanie pies kładł mu łapy na ramionach i trochę się z sobą siłując, patrzyli w siebie „twarzą w twarz”. Pamiętał wszystkie, by wymienić tylko: Donę (wziętą z portierni operowej), Gamę (ze schroniska), Boniego – najpiękniejszego na świecie, a Elmo był z Nim do końca i teraz jest smutny. W wierszu *Jeszcze nie czas* wyznawał:

Co pies mojego życia –
To miłość pierwsza,
Od spojrzenia w oczy
Do ostatniego tchu.

Gamie – czarnej, podpalanej wilczycy, po jej odejściu poświęcił czuły i bolesny tren, w którym wyliczał:

Twe radosne mlaśnięcia jęzora o świecie,
Migotliwe spojrzenia w pajęczynie blasku,
Tkliwe dotknięcia pyska, muśnięcia oddechu,
Twoje łapy na barkach, głowa na kolanach,
Radość rzutkich powitań – skoki, młyńce, susy,
Frazy nocnych zawodzeń, crescendo litanii,
Inwokacje pomruków i kadencje westchnień,
Arie żarliwych spazmów, wylewne skomlenia,
Przedsenne gaworzenia, chichoty i szepty,
Twe tkliwe kły i zwarcia pieśczętliwe szczęk,
Gdy do stóp przywieriałaś złakniona czułości
A bicie psiego serca wypełniało wieczór –

Któż by tak potrafił opisać psie karesy, przetłumaczyć na słowa muzykę psich dźwięków? Na to trzeba było być poetą!

W wielu jego wierszach są motywy animalistyczne, to temat osobny i zupełnie nieopisany, psy były najważniejszym elementem tego świata. Czulego świata drzew, kwiatów, ptaków i motyli, tego co najpiękniej komponowało się z muzyką i poezją. Gdy już było bardzo źle, w te dni przedostatnie w przydomowym ogrodzie zadomowiła się śliczna „ptaszyna” – sikorka i zaglądała w okna poety.

A jeden z tych tekstów wciąż jednak mnie wzrusza, a teraz i boli, ten o powracających wszystkich psach jego życia, o których pisze... *Kolejne psy mojej pierwszej miłości...*, co przeszły już przez „tęczowy most” teraz czekają na swego pana....

Spokojnie, spokojnie...
Bez pośpiechu –
Jeszcze nie czas.

Ja was tak nie zostawię
Wpatrujących ufnie
Na moje przybycie.

Spotkamy się tam na pewno,
Gdziekolwiek jest to „tam”

Już się z nimi spotkał. Tylko, że teraz nas zostawił!

MARIAN KISIEL

wiceprezes Górnśląskiego Towarzystwa Literackiego
w Katowicach, literaturoznawca, profesor zwyczajny
Uniwersytetu Śląskiego

Epitafium

Kiedy sześćdziesiąt jeden lat temu Kazimierz Wierzyński żegnał swojego przyjaciela – Jana Lechonia, powiedział, że zmarły poeta kochał Polskę, jak kocha się Boga i wierzył w nią, jak wierzy się w Boga. Dzisiaj te słowa możemy odnieść do Tadeusza Kijonki. Kochał Polskę i Śląsk jak Boga i wierzył w Polskę i Śląsk jak wierzy się w Boga. Uczył nas tej miłości. Bolało go, kiedy z lekceważeniem mówiono o obu Ojczyznach – wielkiej i małej.

Ten subtelny liryk, mistrz słowa, spalał się w wielu działaniach: był świetnym organizatorem życia kulturalnego, twórcą Górnśląskiego Towarzystwa Literackiego i miesięcznika „Śląsk”, kierownikiem literackim Opery Śląskiej, stale angażował się życie publiczne, miał więcej pomysłów niż mógł realizować. Dzisiaj, kiedy odszedł, wiemy, że już nic nie będzie takie, jak dawniej.

Dzieło jego nie jest zamknięte. Pozostawił nam – oprócz swoich przejmujących wierszy i diagnoz społecznych – ważne przesłanie na przyszłość. Że trzeba trwać przy swoich przekonaniach i nie ustawać w pracy na rzecz społeczności, z którą się tworzy wspólnotę. Nawet jeśli nasza praca nie spotka się z docenieniem, należy budować dobro ogólne.

Nie wiemy, czy wystarczy nam sił, by kontynuować jego dzieło. To, co możemy, zrobimy. Ale dzisiaj jest nam ciężiej niż zwykle.

Żegnaj, Przyjacielu.

WIESŁAWA KONOPELSKA

redaktor naczelna miesięcznika „Śląsk”

Ostatni dzwonek

Nie było łatwo. Był nauczycielem skrupulatnym i wymagającym. Śląsk dla Niego był powietrzem, którym oddychał od urodzenia, był krwią płynącą w Jego żyłach. Zawsze swój Śląsk widział ogromny. O miłości Tadeusza Kijonki do tej trudnej, mąjącej za sobą pogmatwaną historię krainy, chyba napisano i powiedziano już prawie wszystko. Jedno jest pewne: potrafił z całą stanowczością egzekwować to, co należało się tej ziemi.

W pamięci mojej pozostaną długie, najczęściej wieczorne rozmowy telefoniczne, często okraszane dowcipami, prowadzone dla niech samych, nie dla załatwiania spraw. Kiedy schodziły na bliższe nam tematy muzyczne, albo na kwiaty i ptaki, które miał w ogrodzie, albo psa, często leżącego właśnie u Jego stóp, stawał się, jak w swoich wierszach, romantykiem.

Nasze spotkania w Operze Śląskiej rozpoczynały się nie od refleksji o spektaklu, ale od najważniejszych w świecie spraw, które omawiane były na ostatnim kolegium redakcyjnym, albo którym koniecznie trzeba poświęcić chwilę uwagi w kolejnym tygodniu. Redagowanie pisma było dla Niego czynnością nieustanną – pozostawił ją naszemu, „Śląskowemu” zespołowi w testamentcie.

Ostatni raz rozmawialiśmy 11 czerwca tego roku – właściwie wymieniliśmy dwa, trzy krótkie zdania, bo za chwilę miał rozleć się dzwonek oznajmiający rozpoczęcie spektaklu. Wkrótce okazało się, że dla Niego ostatni.

W tamtej chwili było w Nim tyle skrywanego cierpienia...

A 10 listopada 2016 roku, po dedykowanym Mu spektaklu „Toski” z okazji 80. urodzin, ze sceny tego teatru padało tyle ciepłych i pełnych otuchy słów oraz serdecznych życzeń. Wtedy, wzruszeni, mówiliśmy kim dla nas jest. Teraz staramy się zrozumieć kim był...

ALOJZY LYSKO

regionalista, pisarz

Pożegnanie Tadeusza Kijonki

Juliuszu Słowacki! Wieszczu! Przyjdź nam z pomocą, abyśmy mogli godnie pożegnać naszego Mistrza – śp. Tadeusza.

Żył z nami, cierpiał z nami,
Nikt, kto szlachetny nie był mu obojętny,
Dziś nas rzuca i dalej idzie w cień z duchami.
Nie zostawił tutaj żadnego dziedzica
Dla swej poetyckiej lutni,
Jednak zostawił ślad dobrego imienia,
I nie będzie pustym dźwiękiem w kolejnych pokoleniach.
My, cośmy go znali, w podaniach przekazemy,
Że dla śląskiej ojczyzny sterał życie młode,
A póki okręt walczył – siedział na maszcie,
A gdy tonał – z okrętem szedł pod wodę.
Zawsze o smutnych losach Górnego Śląska zadumany,
Dla swej ojczyzny, przyzna kto szlachetny,
Że płaszczył na jego duchu nie był wyżebrany,
Lecz świetnościami swoich przodków świetny.
Zostawiłeś tu, Tadeuszu, jedną ważną drużbę,
Nam, co pokochali Twe serce dumne,
Spełniłeś srogą, twardą, bożą służbę,
I masz tu – zgodzisz się – nieplakaną trumnę.



Przed kościołem św. Michała: Zofia i Tadeusz Kijonkowie po mszy św. z okazji 50-lecia małżeństwa w towarzystwie ks. prof. Jerzego Szymika

Kto drugi tak bez oklasków świata się zgodzi
Iść. Taką nieobojętność mieć dla świata:
Być sternikiem ducha napelnionej łodzi,
A tak cicho odlecieć – jak duch, gdy odlata.
My, przyjaciele zasiądziemy przy pucharze
I zapijemy Twój pogrzeb oraz własną biedę,
A Ty, jeśli duchem będziesz – to nam się pokażesz,
A jeśli Bóg Cię uwolni od męki – nie przychodź wcale.
Jako żywi nie będziemy tracić nadziei,
By dalej nieść przed narodem oświaty kaganiec,
A jeśli będzie trzeba – na śmierć pójdziemy po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec.
I nie pozostanie po Tobie na pewno żadna siła fatalna –
Pozostanie chwała i pamięć o dobrym, żarliwym i tytanicznie
pracowitym Człowieku-Twórcy.

Katowice, 4 lipca 2017 roku, w dzień pogrzebu

JAN MIODEK

językoznawca, profesor zwyczajny nauk humanistycznych,
popularyzator wiedzy o języku polskim

Zaiste, Ślązak Honorowy

Wydaną z okazji Jego 70. urodzin księgę zadedykował mi „z mo-
nym, górnośląskim uściskiem”. Sama księga nosiła znamienity ty-
tuł: *Po pierwsze: Śląsk*. Znamienity, bo oddający właściwą hierar-
chię Jego odczuć oraz odsłaniający istotę Jego pracy literackiej
i działalności społecznej: poświęcił ją Śląskowi, swej ukochanej
rodzinnej krainie, i miesięcznikowi „Śląsk”, redaktorskiemu dzie-
łu swego życia. Kochał swą małą ojczyznę miłością mądrą, wy-
ważoną, otwartą na ludzi, na świat. Był wielkim Ślązakiem, Po-
lakiem i Europejczykiem, a nosił w sobie tyle ciepła, że mógłby
nim obdarzyć tysiące.

Czuję się Jego wielkim dłużnikiem uczuciowym. To On wpro-
wadził mnie do kręgu Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego,
to On zaprosił mnie do redagowania „Śląskiej ojczyzny polszczy-
zny”, którą wiodę w „Śląsku” od 13 lat, a rubryka ta przynosi mi
nie tylko przeogromną satysfakcję intelektualną, ale i wielkie po-
żytki naukowe, ściśle zawodowe. Takie duchowe radości przyno-
siło każde z Nim spotkanie, wewnętrzną równowagę dawała każ-
da rozmowa.

W ostatnich tygodniach przeżywaliśmy bardzo spadek z piłkar-
skiej ekstraklasy chorzowskiego Ruchu, łączyła nas bowiem tak-
że miłość do tego samego klubu sportowego. W księdze wydanej

na moje 70. urodziny napisał Tadzio, że „na początku był zwyrt-
ny Janek, któremu długo bliżej było do piłki nożnej niż do labi-
ryntów gramatyki historycznej”!

Uściskaliśmy się ostatni raz bardzo serdecznie w Domu Muzy-
ki i Tańca w Zabrze, gdzie w listopadzie ubiegłego roku odbierał
Tadeusz Kijonka tytuł Honorowego Ślązaka Roku. Doczekawszy
momentu tej dekoracji, poczułem uspokojenie. Czy coś przeczu-
wałem?...

STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA

historyk, profesor nauk humanistycznych,
były długoletni rektor Uniwersytetu Opolskiego

Potrafił twardo stąpać po ziemi

Podziwiałem Tadeusza Kijonkę za to, że potrafił połączyć w swo-
jej bogatej działalności społecznej niezwykle talenty: wybitnego
poety, znakomitego redaktora i organizatora życia kulturalnego i li-
terackiego. Zazwyczaj poeci jako osoby szczególnej wrażliwości,
pozostające myślami w świecie fantazji, wyobraźni, abstrak-
cji – nie radzą sobie ze sprawami organizacyjnymi, dotyczącymi
finansowania i funkcjonowania sfery kultury. Natomiast poeta Ta-
deusz Kijonka, potrafił twardo stąpać po ziemi, znakomicie wy-
pełniając funkcje zawodowe i społeczne – kreatora i organizato-
ra działalności środowisk twórczych. Dzięki temu zdołał tak wiele
uczynić dla innych twórców, przede wszystkim promując dokona-
nia śląskich literatów. Zamieszczał regularnie ich utwory w Mie-
sięczniku Społeczno-Kulturalnym „Śląsk”, wspierał publikacje
książkowe, organizował spotkania autorskie i występował o uho-
norowanie zasłużonych twórców i animatorów kultury z okazji ju-
bileuszy oraz szczególnych dokonań. Warto również pamiętać, że
te działania Tadeusz Kijonka podejmował w trudnych czasach gwał-
townych przemian społeczno-gospodarczych i politycznych,
na przełomie lat 80. i 90., kiedy państwo wycofało się z roli me-
cenasa kultury, co w sposób szczególny dotyczyło twórców i cza-
sopisma kulturalne. Dlatego jednym z największych dokonań Ta-
deusza Kijonki było utworzenie miesięcznika „Śląsk” i zapewnienie
długoletniej edycji pisma, stanowiącego fenomen kulturowy
na tle innych pism a w szczególności tych poświęconych tematy-
ce regionalnej. Pełniąc funkcję redaktora naczelnego, zapewnił mie-
sięcznikowi wysoki poziom merytoryczny i skupił wokół niego gro-
no znakomitych autorów i współpracowników. Miesięcznik
„Śląsk” jest i będzie po latach nieocenionym źródłem wiedzy o ży-
ciu artystycznym i społeczno-kulturalnym Śląska.

(tytuł pochodzi od redakcji)

Odszedł poeta opery

W końcu lat pięćdziesiątych prof. Irena Tabaczyńska, córka Adama Błażejewicza, przedwojennego dyrektora Liceum Kopernika w Będzinie, przysłała do naszej szkoły kilku swych najzdolniejszych studentów na praktyki pedagogiczne u naszej prof. Kazimiery Duryńskiej, wybitnej polonistki. W grupie tej był Tadeusz Kijonka, już wtedy wybijający się polonista, poza tym poeta i organizator spotkań literackich w środowisku literackim.

Przepadalśmy za prowadzonymi przez niego zajęciami lekcyjnymi, a On najaktywniejszych z nas zabierał na wieczory z interesującymi twórcami. Szczególnie zapamiętałem dyskusję w gronie studenckim z Julianem Przybosiem, który przyjechał do Katowic na zaproszenie Kijonki, prowadzonego z nim spotkanie w atmosferze ostrego i fascynującego sporu.

Na początku lat sześćdziesiątych Tadeusz Kijonka jako kierownik literacki pojawił się w Operze Śląskiej u boku Napoleona Siesza. Jego dwa okresy dyrektorskie – pierwszy krótki, drugi na szczęście znacznie dłuższy – to wysoki poziom artystyczny, starannie skonstruowane zespoły solistów, chóru, baletu i orkiestry oraz świetnie zaprogramowany i realizowany repertuar. W tej ostatniej dziedzinie coraz bardziej znacząco było kompetencje, oprawę literacką, interesującą redakcję programów do poszczególnych spektakli i dobrą współpracę z mediami młodego, pełnego energii i dobrych pomysłów kierownika literackiego.

W roku 1970 odbyło się prawykonywanie opery *Magnus* z librettem Tadeusza Kijonki i muzyką Józefa Świdra. Kilka sezonów później, ci sami twórcy, dali prapremierę *Wita Stwosza*, dzieła znacznie dojrzałego, piękniejszego i teatralnie doskonalszego. Powinno ono powrócić do polskiego repertuaru i nie popadać w niesłuszne zapomnienie.

Najdłużej na scenie bytomskiej – praktycznie do dnia dzisiejszego – utrzymał się spektakl Tadeusza Kijonki dla dzieci *Bal baśni* z muzyką Katarzyny Gaertner, grany również z olbrzymim powodzeniem pt. *Krasnoludki, krasnoludki...* za mojej dyktacji w Operze Wrocławskiej, a potem w Teatrze Wielkim w Poznaniu.

Swemu długoletniemu kierownikowi literackiemu Opera Śląska zawdzięcza cenne wydawnictwa opisujące, dokumentujące i utrwalające jej bogatą historię, biografie czołowych postaci oraz ozdabianie nazwiskami wybitnych artystów historycznych pomieszczeń bytomskiej siedziby (sale Adama Didura, Bogdana Paprockiego, Andrzeja Hiolskiego, Wiesława Ochmana, Natalii Stokowackiej i Henryka Konwińskiego).

Przez wszystkie dziesięciolecia swej operowej służby Tadeusz Kijonka był niezłomnym bojownikiem o dobre imię śląskiego teatru operowego. Publikował eseje poświęcone jego przeszłości i walczył (niestety, jak dotąd, bezskutecznie) o budowę opery w Katowicach. Kiedy trzeba, zawzięcie polemizował z poglądami na temat dorobku swego ukochanego teatru. Pewnego razu wdał się nawet w spór z moimi zapatrywaniami w tej sprawie. Polemika ta, zakończona po latach przyjacielską ugodą, pozostaje dla mnie do dziś zaszczytem i przedmiotem osobliwego sentymentu.

W piękny lipcowy dzień siedłem w tłumie żegnających go katowiczanie, bytomianie, rybniczanie (skąd pochodził), Ślązaków, Zagłębiaków i przybyszów z całego kraju od katedry po cmentarz przy ulicy Francuskiej. Tam są groby Adama Didura, Bolesława Fotygi-Folańskiego, Napoleona Siesza, Tadeusza Burkego, Stanisławy Marciniak.

Po swym wspnianiu, pracowitym, pełnym pasji i talentu życiu dołączył do nich Tadeusz Kijonka, postać równie ważna cennie i niezapomniana, jak niedysięsje gwiazdy, kreatorzy i budowniczości świetności śląskiego przybytku operowego.

JÓZEFINA REBES

lat 88, twórczyni Klubu Literackiego Pałacu Młodzieży
w Katowicach

Takim go zapamiętam

Lata sześćdziesiąte. Pałac Młodzieży. W czytelni, w której pełnię dyżury, zaczytana młodzież. Co chwilę podchodzi ktoś z czytających, niby to pogadać o książkę, którą właśnie czyta, ale dyskretnie podsuwa mi swoje wiersze. Coś z tym trzeba zrobić. A może by jakiś konkurs?

Idę z tym do Wilhelma Szewczyka. Szewczyk, naczelny „Pogłódów”, bez namysłu poleca mi Tadeusza Kijonkę, młodego, utalentowanego poetę. Ogłaszamy Turniej Jednego Wiersza. Przewodniczącym jury zostaje Tadeusz Kijonka. Jurorami są też Tadeusz Nowak i Tadeusz Śliwiak. Sukces był ogromny. Spośród tysiąca wierszy jurorzy wybrali około pięćdziesiąt utworów. Niemal wszyscy zaproszeni przyjechali. Radość była jeszcze większa, kiedy wiersze ukazały się w „Poglądach”. W kolejnych latach w jury zasiadali: Feliks Netz, Ernest Bryll, Michał Sprusiński. Turnieje odbywały się raz w roku, a młodzież zainteresowana literaturą chciała się spotykać częściej. I tak oto w Pałacu Młodzieży powstał Klub Literacki, któremu patronował Tadeusz Kijonka. Potrafił wytworzyć wokół siebie i poezji niezwykle klimat. Młodzi twórcy podziwiali poetę, dyskutowali z nim, śledzili jego działalność, a z czasem się nawet zaprzyjaźnili, jak na przykład Marian Kisiel, laureat któregoś z turniejów, obecnie naukowiec, profesor (Uniwersytet Śląski), poeta, krytyk literacki. Także przyjaciel Tadeusza Kijonki, który kontynuuje dzieło jego życia, miesięcznik „Śląsk”.

Wspominam czasy najdawniejsze, które zanikają w pamięci. Ale chcę wspomnieć też o nowszych.

Pod koniec lat 80. Tadeusz Kijonka i Feliks Netz zaproponowali mi prowadzenie Klubu Literackiego przy ZLP, w Domu Literatury, przy ul. Misjonarzy Oblatów. Trochę się bałam. Do tej pory pracowałam wyłącznie z młodzieżą, a teraz... z najprawdziwszymi twórcami, artystami. Ale udało się. Stworzyliśmy najprawdziwszy salon literacki. To były ciekawe czasy, początki transformacji ustrojowej. W tym klimacie odbywały się spotkania i niekończące się dyskusje.

Duszą towarzystwa był oczywiście Tadeusz. Błyskotliwy gawędziarz z ogromnym poczuciem humoru. Dzielił się z nami swoimi wierszami, które świetnie czytał. Potrafił też improwizować i robił to znakomicie. Takim go zapamiętam.

(tytuł pochodzi od redakcji)

TADEUSZ SERAFIN

dyrektor Opery Śląskiej w Bytomiu w latach 1989 – 2016,
legenda Opery Śląskiej

Tadeusz to prawdziwa legenda Opery Śląskiej. Osoba, która budziła zawsze duże uznanie i szacunek ze względu na osiągnięcia dla kultury polskiej, śląskiej, głębokiej znajomości tajemnic teatru muzycznego oraz specyfiki naszej instytucji. To był nie tylko wielki patriota Śląska w bardzo szerokim pojęciu tego słowa, ale również znany poeta, literat, założyciel i redaktor naczelny cennego miesięcznika „Śląsk”, długoletni kierownik literacki naszego teatru, poseł ziemi śląskiej, animator życia kulturalnego regionu, człowiek o wielu zainteresowaniach i talentach... Miał szczęśliwe życie rodzinne, wspomagał wiele inicjatyw społecznych. A ja osobiście jestem mu wdzięczny szczególnie za początkowy okres kierowania teatrem, kiedy to poznawałem ten skomplikowany organizm. Trzeba przyznać, że miał charakter i umiał postawić na swoim. Można powiedzieć, iż czasami poszukiwaliśmy kompromisu – oczywiście dla dobra ogólnego. Jego odejście to strata ogromna dla wszystkich.

(tytuł pochodzi od redakcji)

TADEUSZ SIERNY

prezes Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
w Katowicach,
prezes zarządu Wydawnictwa Naukowego „Śląsk”

Poeta osamotniony

Już nie zadzwoni wieczorową porą, by przeczytać swój ostatni wiersz, zapytać o rozwiązanie trapiącego go problemu lub przypomnieć o konieczności zorganizowania spotkania w siedzibie GTL.

Tadeusz jako poeta wierzył w Opatrzność, Rodzinę, Polskę, Śląsk, Poezję i Muzykę. Dla tych wartości gotów był apodyktycznie, bez pardonowo polemizować ze swoimi adwersarzami. W sporach często pozostawał osamotniony, a bywało, że i odrzucany przez niechętnych jego ideom – ludzi. Owo odrzucenie źle znosił, ale nie był skory do kompromisu, wybierał świadomie osobność dla zachowania wierności uznanym przez siebie za istotne wartościom. W wielu kwestiach był pragmatykiem, efektywnie poruszał się w mechanizmach władzy, chociaż skuteczność jego działań malała z upływem lat i zachodzących w otocze politycznej świata kultury zmian. Pomimo, iż system organizacji instytucji kultury i polityki kulturalnej starał się – szczególnie w ostatnich latach Jego

życia – marginalizować lub wręcz niwelować efekty Jego wysiłków, stanowczo domagał się szacunku dla twórczości, ludzi kultury i ich potrzeb.

W 1992 roku zwołał w – istniejącym jeszcze wówczas – Domu Literatury w Katowicach zgromadzenie osiemdziesięciu osób – ludzi pióra, naukowców, działaczy kultury z Katowic, Opola, Białej, Warszawy i Zaolzia oraz innych miast, by powołać – zarejestrowane w marcu 1993 roku – Górnośląskie Towarzystwo Literackie. W latach marginalizacji znaczenia organizacji środowisk twórczych, było to przedsięwzięcie bardzo ryzykowne w skonfliktowanym śląskim środowisku kultury. Setki animowanych później przez Niego, do 2013 roku, imprez, gromadziły i integrowały w GTL-u osoby zainteresowane literaturą a także bieżącym życiem kulturalnym. Tworzył uparcie, z tą piękną naiwnością człowieka wierzącego w sens swoich, nie zawsze przecież skutecznych działań, kontynuując starania poprzedników np. Wilhelma Szewczyka, a na przekór wielu władzom – zręby systemu organizacji środowiska i życia literackiego. GTL było formą instytucjonalizacji tej grupy twórców, poprzez system nagród i wyróżnień GTL-u zbudował strukturę hierarchii preferowanych przez Niego wartości, wyróżniając wiele osób tytułem Przyjaciół „Śląska”, medalami GTL-u, Śląskimi Orłami, statuetkami Śląskiego Skarbnika, nagrodą „Ikara”, występując także do władz o liczne medale, odznaczenia lub ordery oraz nagrody dla ludzi z kręgu literatury, ale nie tylko.

Hasło *Po pierwsze Śląsk* nie było dla Niego pustym frazesem. Ukoronowaniem tej dziedziny Jego działalności było powołanie medium społecznego – miesięcznika „Śląsk”, wpisanego do rejestru dzienników i czasopism – już 30 czerwca 1993 roku. W założeniach programowych czasopisma pisał: „Śląsk” ma stać się w zamierzeniu pismem integrującym życie kulturalne Górnego Śląska, (...) stając się instytucją o poważnym prestiżu, opiniotwórczą i promocyjną, nobilitującą fakty i zjawiska o istotnym znaczeniu dla kultury w skali regionalnej i ogólnopolskiej”. Jego pokolenie już odeszło lub odchodzi, Jego następcy na „śląskim parnasie” pewnie nie zapomną o niezrealizowanych Pana Tadeuszowych ideach, takich jak: restytucja Śląskiego Instytutu Naukowego, powołanie Muzeum Literatury w Katowicach, budowa pomnika Walentego Roździeńskiego, ustanowienie śląskiej nagrody literackiej i wielu innych pomysłów.

Nie opublikujemy Jego nie napisanych pamiętników, (do napisania, których wielokrotnie go namawiałem), miał fenomenalną pamięć do: nazwisk, treści rozmów – tych dobrych i tych nie najlepszych; wraz z Jego śmiercią odeszła w zapomnienie, nie do odtworzenia wiedza o atmosferze panującej w środowisku kultury w latach 60. i następnych, nie napisana księga anegdot, sporów, porażek i sukcesów środowiska pisarzy i ludzi kultury. Był poetą i takim pozostanie w historii literatury, jednak gorzko brzmią słowa napisane przez Niego w 2013 roku we *Wstępie* do monumentalnej, opublikowanej w Wydawnictwie Śląsk księgi Jego poezji pt. „Czas, miejsca i słowa”: „*A tylko poezja nigdy mnie nie zawiodła i stawała się schronieniem w trudnych okresach męskiego wieku, gdy sam często skazywałem się na niepowodzenia, rozterki, kryzysy i nieuchronne klęski*”.

DOROTA SIMONIDES

folklorystka, profesor nauk filologicznych, doktor honoris causa Uniwersytetu Opolskiego, w latach 1990-2005 senator Ziemi Opolskiej

Ślązak-Polak-Europejczyk

Z prawdziwym smutkiem przyjęłam wiadomość o śmierci Tadeusza Kijonki. Wiedziałam o jego chorobie, podziwiałam Jego walkę z nią, wiem, że miał świadomość zanikających sił, ale mimo to wszyscy odsuwaliśmy myśl, o tym, że nastąpi to tak szybko.

Tadeusz Kijonka był Człowiekiem niezłomnych zasad, skupiał wokół Siebie osoby wartościowe, dobre i mądre. Swą skromnością i pracowitością zdumiewał nie tylko przyjaciół, ale i wrogów. Swą działalnością społeczną, wrażliwością na potrzeby innych stał się przykładem dla otoczenia.

Kiedy pod koniec listopada 2016 r. otrzymał w ramach imprezy: „Po naszymu, czyli po śląsku” tytuł Honorowego Ślązaka 2016, wszyscy goście zabrzańskiego „Domu Pieśni i Tańca” śpiewali Mu na stojąco „sto lat” i oklaskiwali bardzo gorąco. Odniosłam wrażenie, że cała sala zdała sobie sprawę z tego, że na scenie stoi Osoba, która dla Śląska jest nie tylko Ikoną, ale też Instytucją wiedzy o nim, symbolem jego wartości, tożsamości i bogactwa kulturowego. Wszak opiewał i ukazywał je we

wszystkich swych działaniach, czynach, a nade wszystko w wieloletnim czasopiśmie, którego był redaktorem i które nazwał „Śląsk”. Wiedzieliśmy, że tego dnia obchodził wraz z rodziną Jego „Złote wesele” i nie spodziewaliśmy się Go w Zabrze. To też gdy Tadeusz Kijonka wszedł na scenę i wspominał o „Złotym Weselu”, to na scenę zaraz po tym wywołano głośno Jego Małżonkę. Atmosfera stała się nagle tak serdeczna i tak niezwykła, że odniosłam wrażenie, iż cała sala dziękuje Laureatowi za wszystkie Jego osiągnięcia. Wówczas Tadeusz Kijonka wygłosił przemówienie, które stało się zarazem ostatnim przesłaniem współczesnego Ślązaka, który nigdy nie miał wątpliwości co do hierarchii swojej tożsamości, bowiem uważał, że jest Ślązakiem – a więc POLAKIEM i Europejczykiem.

(tytuł pochodzi od redakcji)

FLORIAN ŚMIEJA

poeta, tłumacz, badacz literatury hiszpańskiej

44 SONETÓW KIJONKI

Leży przede mną książka cacko. Owoc introligatorskiego wypieszczenia kunsztu i smaku. Towarzyszy mu cykl reprodukcji obrazów Dudy Gracza fantazyjnej inspiracji muzycznej. W takiej oprawie poeta sonetów zaprezentował swoje arcywiersze misternie nanizane celne słowa wielkiej urody i dramatu życia sięgnął po laury wielkiego sztukmistrza i stał się godny najwyższej nagrody.

Ontario, 5 lipca 2017

JANUSZ IRENEUSZ WÓJCİK

poeta, animator i menadżer kultury

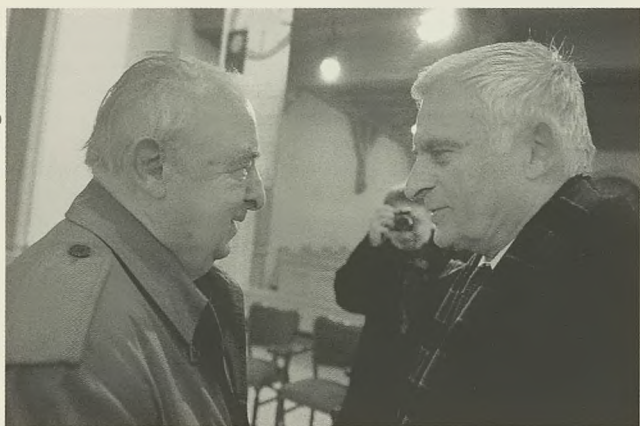
Pielęgnujący pamięć Ikarów z Cierlicka

Na długie lata zapamiętałem słowa Tadeusza Kijonki: „Mniej gadać, więcej robić”, wypowiedziane na początku lat 90., na przełomie epok i systemów politycznych, podczas gwałtownych zmian ustrojowych i przewartościowań zachodzących na niwie kultury. Były one zdominowane przez klótnie i jałowe spory środowisk twórczych, głęboko podzielonych na skutek stanu wojennego i które nagle stanęły wobec „koszmaru spełnionego snu o wolności” – znikającej cenzury i jednocześnie znikającego mecenatu państwa oraz braku zainteresowania sprawami kultury oraz losem inteligencji twórczej ze strony władz publicznych oraz szerszych kręgów społeczeństwa. Tadeusz Kijonka – romantyk w poezji i pozytywista w działaniu, podjął wówczas udaną próbę scalenia rozbitego środowiska, tworząc Górnośląskie Towarzystwo Literackie obejmujące województwo opolski i śląskie wraz z Zaolziem. Kolejnym Jego sukcesem było utworzenie miesięcznika „Śląsk”. Narodzinom tego pisma towarzyszyła jednoznaczna deklaracja programowa redaktora Kijonki: „Po pierwsze Śląsk”, która nadal przyświeca redakcji i wydawcy tego miesięcznika. W działalności misyjnej, społecznej łączył znakomite talenty poety i menedżera, przejawiając głęboką troskę o uniwersalne wartości i sprawę polską na Śląsku, stając w jednym szeregu obok tak wybitnych poprzedników jak m.in. Stanisław Wasylewski autor *Na Śląsku Opolskim*: (Katowice, 1937) i Edmund Osmańczyk autor *Sprawy Polaków* (Katowice, 1947). Pamiętam nasze spotkanie przy grobie Osmańczyka w Opolu obok kościoła Na Górze: pan Tadeusz stał przez chwilę nieruchomo zapatrzony na znak Rodła, wykuty na płycie epitafium. Jestem szczególnie wdzięczny Tadeuszowi Kijonce za to, że na łamach „Śląska” zawsze szeroko prezentował tematykę polską, poprzez spojrzenie na bogatą historię i dzień współczesny regionu z uwzględnieniem jego najważniejszych literatów, naukowców i twórców kultury. Przed odejściem pozostawił nam testament wierszami zapisany w tomach niezwyklej urody: *Czas, miejsca i słowa; 44 sonety brynnowskie; Słowo w słowo* – stanowiących testament, credo i kodę życia koryfeusza i luminarza kultury – europejskiego formatu, któremu latami towarzyszył mit Ikara-Poety, szybującego na wysokościach, aby sięgnąć ideału dobra i piękna, a także Ikara-Kustosza, pielęgnującego pamięć Ikarów z Cierlicka na Zaolziu, legendarnych lotników – Żwirki i Wigury.

(tytuł pochodzi od redakcji)



Wieczór przyjaciół. W pierwszym rzędzie (od lewej): Tadeusz Kijonka, Kazimierz Kutz, Feliks Netz, z tyłu: prof. Florian Śmieja i prof. Stanisław Nicieja



W serdecznej rozmowie z prof. Jerzym Buzkiem



Podczas wizyty redakcji „Śląska” w Uniwersytecie Opolskim. Od lewej: Janusz I. Wójcik, Tadeusz Kijonka, rektor prof. Stanisław Nicieja



Przed spotkaniem autorskim w Uniwersytecie Opolskim z prof. Dorotą Simonides



Z rąk bp. Tadeusza Szurmana przyjmuje nagrodę „Śląskie Szmaragdy”



Opole, członkowie GTL i redakcji „Śląska” nad grobem Edmunda Osmańczyka



Nie tylko sprawy opolskie zajmowały prof. Stanisława Nicieję



Redakcja „Śląska” w komplecie, 2012 r. Od lewej: Feliks Netz, Tadeusz Kijonka, Wiesława Konopelska, Wojtek Łuka, Maria Sztuka, Bogdan Widera



Henryk Mikołaj Górecki został laureatem Orlów Śląskich



Zdjęcia: Zbigniew Sawicz

Dwóch słynnych mieszkańców Brynowa: Wojciech Kilar i Tadeusz Kijonka



Józef Musiol prezes Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie był częstym gościem uroczystości przygotowywanych przez GTL



Serdeczny uścisk dłoni z prof. Janem Miodkiem



Dobry żart Tadeusza Kijonki skomentowany przez Lecha Majewskiego



Zrelaksowany Kazimierz Kutz wystuchujący wykładu, którego tematem był zapewne Śląsk



Tadeusz Różewicz gościem redakcji „Śląska”, 2006 r.



Fot. Tomasz Griessgraber/Opera Śląska

Opera Śląska w Bytomiu: podziękowania dyrektora Tadeusza Serafina za blisko 50-letnią pracę na stanowisku kierownika literackiego, 2016

Śląskie wzgórze

Obraz hałdy w poemacie *Siódma północ* Tadeusza Kijonki

KATARZYNA NIESPOREK

Hałda w twórczości poetyckiej Tadeusza Kijonki występuje po raz pierwszy w wierszu *Imię ziemi*. Utwór ten został zadedykowany Wilhelmowi Szewczykowi oraz umieszczony w tomie *Rzeźba w czarnym drzewie*. Opisana w liryku ziemia jest tym, co wspólne dla autora *Witraży* urodzonego w Radlinie, którego lata młodości upłynęły na ziemi rybnickiej, jak również dla śląskiego twórcy i wielkiej osobowości z Czerwionki-Leszczyń. Wspólna geografia narodzin i dzieciństwa, następnie działalność społeczna i dziennikarska w Katowicach pozwala Kijonce zobaczyć i zrozumieć to wszystko, co doceniał oraz odzwierciedlał w swojej twórczości także Szewczyk. Imię ziemi, do której przynależą obaj poeci, to Śląsk.

*

Przedstawienie hałd w twórczości Tadeusza Kijonki pełniej odśłania tom *Kamień i dzwony* z 1975 roku. Poeta w ostatniej jego części umieścił obszerny poemat *Siódma północ* upamiętniający wydarzenia, o których zostaje wspomniane w krótkiej otwierającej cykl utworów notatce: „23 marca 1971 roku w kopalni «Rokitnica» nastąpił wielki zawał. Z jedenastu zasypanych górników po stu pięćdziesięciu ośmiu godzinach akcji ratowniczej wydobyto Alojzego Piontka. Odcięty od powietrza, pozbawiony wody i pokarmu, przetrwał w skalnej szczelinie”.

Autor *Witraży* w utworze oddaje głos samemu ocalałemu górnikowi: „wybranego spośród wszystkich, by świadczyć i przeczytać”, „jedyną ocalałą – opokę węglową / podziemnego zakonu”, „człowieka kopalnianego”, „ociemniałego trwogą / Najdłuższej nocy”, „pogrzebanego na dnie / Sejsmicznych wichur w wirach trzeciorzędu”, „już oplakanego”,

„pod pieczęcią głazów / urodzonego powtórnie”, „syna węgla i ziemi”.

Bohater liryczny *Siódmej północy* przywołuje kolejno wydarzenia sprzed katastrofy. Wśród nich znajduje się jedno z najbardziej prywatnych wspomnień. Można odnaleźć je w szóstej części poematu, w której podziemna przestrzeń kopalni zostaje połączona ze sferą zmysłową

Zwał zostaje przedstawiony nie tylko jako przestrzeń wybrana przez kobietę i mężczyznę, ale także osamotnienia. Położona w ustronnym miejscu, na uboczu miasta, daje zakochanym szansę na prywatność, na bycie „sam na sam”.

człowieka. Węgiel nie pojawia się tutaj w roli tylko kamienia – twardego, milczącego, niechącego odkryć przed drugim swojej tajemnicy. Przeciwnie: poeta nadaje mu cechy fizjologiczne. „Unerwiony” stanowi część żywego ciała, organizmu, którym jest ziemia. Tętni on energią, szkli się blaskiem spalającego go żaru, drży, poci się, dyszy. To materia uwalniająca swoje emocje i pożądanie.

Poeta tworzy obraz podszyty erotyką. Węgiel zostaje wyobrażony jako czarny ogień poszukujący klaczy. Więcej: przedstawienie to rozbudza zmysły i pragnienia człowieka: „i nam wysychały krtanie z podniecenia”. Ale to nie tylko obraz cielesnego pożądania, ale ukazanie tęsknoty za życiem, która wzrasta w gorącej atmosferze panującej w podziemiach, w przeczuciu zbliżającej się śmierci. Z jednej strony uwięzionym górnikiem dośkwiera wysoka temperatura powietrza, z drugiej coraz bardziej niestabilna konstrukcja, którą są otoczeni, która w każdej chwili może runąć. „Żebra stropu” zostają określone jako „sypkie” – są zatem kruche, niewytrzymałe. Ich niestabilność wzbudza lęk o człowieka także samej ziemi, która „jeży się” we „spazmie”.

Ziemia łączy się z człowiekiem w strachu i w lamencie. Uwięziony w kopalni, liczy na ratunek przed śmiercią. Pragnienie życia i wolności zostaje połączone z niezaspokojonymi w podziemiach fizjologicznymi potrzebami ciała, które przysuwają na myśl ukochane osoby. Zasypanego Piontka utrzymuje przy życiu wspomnienie o Teresie. Towarzyszące mu cierpienie i głód łagodzi scena dostąpienia inicjacji seksualnej. Ból ciała i wszystkie inne jego potrzeby zostają w ten sposób zastąpione dotykiem kobiety.

Atmosfera panująca w podziemiach kopalni, otaczający bohatera lirycznego rozżarzony węgiel, jak również nieużyte kamienie czy grudy ziemi przypominają scenierię hałdy. Kijonka wybrał ją na miejsce najbardziej intymnego spotkania kochanków. Zwał zostaje przedstawiony nie tylko jako przestrzeń wybrana przez kobietę i mężczyznę, ale także osamotnienia. Położona w ustronnym miejscu, na uboczu miasta, daje zakochanym szansę na prywatność, na bycie „sam na sam”. Śląskie wzgórze kryje ich w swoich zakamarkach i w wydobywającym się z niej dymie. Tym razem nie cuchnie, ale stanowi jeden z elementów rozkoszy. To dar hałdy dla kochanków.

Podmiot nazywa zapach dymu „narkotycznym śladem”. Posiada on właściwości odurzające, wprowadzające w stan jesz-

cze większego uniesienia, zapomnienia. Usypisko, które wspomina „ja” liryczne tli się – pali się zatem słabym płomieniem, rozgrzewa kamienne łóżce, na którym dokonuje się akt miłosny. Hałda wykorzystując wszystkie dane jej możliwości, tworzy atmosferę dla spotkania ciał zakochanych. Śląskie wzgórze tylko żarząc się, jest aż „czadu pełne”. W obrazie tym zachodzi sprzeczność. Poeta ukazuje w ten sposób przebiegłość, ale też wdzięczność hałdy. W dymie, który ma zniechęcić do niej innych, próbuje ona utulić tych, którzy poszukują na niej schronienia i czynią z niej miejsce swoich najważniejszych spotkań, zakątek bliskości.

Uwięzionego Piontka ocalają kolejne wizje. Przygniatające go ciężkie kamienie wyobraża sobie jako ogarniające go kobiece ciało. W jego głowie snują się obrazy pełne namietności. Żądza miesza się tutaj z kopalnianymi realiami, władza mężczyzny nad kobietą z dominacją śmierci nad człowiekiem, nadchodzący moment odejścia z tego świata ze zbliżającym się apogeum rozkoszy, ustronna przestrzeń hałdy z niebezpiecznymi podziemi kopalni. Obraz osuwających się kamieni to nie tylko przedstawienie zawalenia się

stropu szybu. Przywodzi także na myśl górską lawinę. Kochankowie swoimi ciałami i namiętnością wprawiają w ruch hałdę. Traci ona swoją stabilność do tego stopnia, że materiał na niej zgromadzony przemieszcza się, ześlizguje, spada. „Runęły stada głazów...”. Słowo „runąć” nie oznacza tylko rozpadnięcia się kamieni na kawałki, osunięcia się ziemi z góry na dół. „Runąć” to także gwałtowne

po wielkim zawale w kopalni celowo zostaje umieszczona na drugim planie. Pragnienie zmysłów jest tym, co ułatwia bohaterowi poematu dramatyczną walkę o przetrwanie. Kamienne łoże śmierci podziemia zostaje zastąpione miłosnym, „przekrwawionym” łożem hałdy. Pragnienie „ja” lirycznego skierowane jest przede wszystkim w stronę drugiego. To ono rodzi w nim „przedślubną pokusę”,

Hałda wykorzystując wszystkie dane jej możliwości, tworzy atmosferę dla spotkania ciał zakochanych. Śląskie wzgórze tylko żarząc się, jest aż „czadu pełne”.

„rzucenie się na kogoś, na coś”. Kijonka, posługując się znaczeniem podszytym namiętnością, łączy w wierszu obraz lawiny kamieni z cielesnością.

Dudnienie, hałas, łomot spowodowane zawaleniem się stropu w kopalni, ustają po zaledwie chwili. „Tętent” (oznaczający również „odgłos uderzających o ziemię kopyt biegnącego zwierzęcia”, nawiązujący do pierwszej strofy wiersza, w której – przypomnijmy – pojawia się obraz wyczuwającego przez ścianę kłacz czarnego ogiera) wycisza się. Kiedy w kopalni nastaje spokój oraz kiedy w jej ciemnościach pojawia się przynoszące górnikowi nadzieję na ocalenie światło, na hałdzie zaczyna odradzać się życie w postaci przyrody. Zmienia się nagle sceneria śląskiego wzgórza: „zzeliniwałe zielska podnoszą się z kolan”. Na hałdzie dokonuje się cud natury: obumarłe za sprawą właściwości zwału rośliny rozkwitają na nowo. Ale nie tylko to zjawisko przemienia przestrzeń hałdy. Estetycznych walorów dodaje jej dochodząca z oświetlonej kopalni zorza. To światło, które rozszerza swój zasięg na całą okolicę. Dzięki niemu „kupa kamieni pustych i ziem płonnych” staje się inną materią. To, co było dotąd szorstkie, chropowate, nieciekawie, teraz błyszczące. Skały nieużyteczne przemieniają się w cenne skały.

Przestrzeń hałdy ożywia się wraz z pojawiającą się w podziemiach kopalni nadzieją na przeżycie zasypanego górnika. Kiedy trwając pod lawiną kamieni, zauważa on blask światła, dokładnie w tym samym momencie na śląskim wzgórzu, o którym myśli bohater liryczny, odradza się *bios*. Zwał pozostaje tutaj w ścisłej łączności z ziemią. Usypany z wydobytych z jej wnętrza kamieni, podtrzymując związek z nią, swoim podłożem dotyka na powierzchni *Magna Mater*. Zarówno kopalniana rzeczywistość, w której znajduje się Alojzy Piontek, jak i oniryczna sceneria hałdy, gdzie przeżywa on pierwsze miłosne uniesienia z przyszłą żoną Teresą, przynoszą mu nadzieję na ocalenie istnienia.

Sfera wyobrażona jest w wierszu silniejsza od realnej. Rzeczywistość

staje się miejscem cielesnego spełnienia, pierwszych intymnych doświadczeń kobiety i mężczyzny.

*

Ale hałda nie tylko dlatego odgrywa jedną z najważniejszych ról w życiu Alojzego Piontki. W części ósmej poematu *Siódma północ* bohater wspomina powrót do domu z kopalni w swoim pierwszym dniu pracy. W tej drodze osoba mówiąca, chociaż idzie sama, odczuwa obok siebie obecność dwóch postaci. Pierwszą z nich jest podążający za swoim synem krok w krok ojciec. Wdaje się on w rozmowę na temat pracy pod ziemią, zostawia dobre rady i przestrzega młodego, jeszcze niedoświadczonego górnika: „Niżej, niepomny, niżej, wierz prawom ciężenia. / Jeszcze nikt w sobie węgla całego nie uniósł”. Piontek, słysząc te rady, parafrazując słowa z ust ukrzyżowanego Chrystusa, odpowiada dramatycznym pytaniem, będącym jednocześnie rozpaczliwym

Hałda staje się w pewnym sensie miejscem kultu. Podmiot zwraca się do niej jak do bóstwa czy Anioła Stróża: prosi ją o opiekę nad sobą w dzień i w noc. Antropomorfizowany zwał ma czuwać – nie spać, znajdować się zawsze w stanie gotowości, pilnować człowieka – ale też, co najważniejsze, żegnać go.

i bezradnym wołaniem: „Ojcze, ojcze, czemuś mnie opuścił!”.

Drugą osobą, o której myśli wracający z pracy bohater liryczny jest Teresa. Pożądanie jej jako kobiety zostaje utożsamione z nieodpartym pragnieniem górnika poznawania kopalni. Poznanie jej tajemnic jest w poemacie Kijonki miarą siły, mężności i honoru mężczyzny: „Był to w stu słońcach powrót – ten po pierwszej dniu wce, / Gdy dostąpiłem męskiej tajemnicy węgla”. Podmiot zwraca się w wierszu do wybranki, ponownie łącząc swoją pracę z cielesnością, zmysłowością czy żądzą: „Tereso, czarna ściano porywana co dnia, / Już odtąd w skałach mięśni, w żarnach bez osłony / Ścierać się bezpowrotnie mi...”.

Powrót do domu „po pierwszej dniu wce” to istotny moment w życiu Piontki.

Staje się on bowiem nowicjuszem „podziemnego zakonu”, członkiem górniczej wspólnoty, co stanowi kolejny symbol (po opisanym w szóstej części poematu wspomnieniu inicjacji seksualnej na hałdzie) dostąpienia dojrzałości. W tym ważnym dniu powrotu do domu, obok dwóch najbliższych osób: ojca i żony, Piontek wymienia także hałdę. Ponownie towarzyszy ona bohaterowi: „Węglowa goro, / Co dnia głazem się wtaczać po sam szczyt i spadać / Osiemset metrów w głąb ziemi z twych ramion”.

W tym fragmencie wiersza nie pada słowo hałda. Poeta używa w zamian synonimicznego określenia „węglowa góra”. Kijonka przez tę zmianę tworzy zupełnie inny obraz śląskiego zwału – nobilituje go. „Węglowa góra” to już bowiem nie tylko – przypomnijmy definicje słownikowe – „warpa u dołu, ziemia, którą z dołu na wierzch wyrzucono, która około niego pagórek czyni”, „ziemia i nieczystości z szyby na powierzchni ziemi wydobyte, i do koła zrębu usypane”, czy wreszcie: „kupa kamieni i ziem płonnych, z kopalni wydobytych i w pobliżu szybu leżących”.

Podmiot koncentruje swoją uwagę na węglu. Jest on jednym z materiałów tworzących hałdę, skrywany przez nią cennym dla nędzarzy kamieniem. To on dodaje hałdzie wartości, czyni ją przestrzenią ważną dla tych, którzy chowają się w jej cieniu, którzy mają w niej nadzieję na polepszenie swojego bytu. Nieużyteczne kamienie, z których zostaje usypany zwał, są oddzielane od pochodzącego z wnętrza ziemi węgla. Nie ma zatem hałdy bez jego wydobywania – węgiel umożliwia jej trwanie, istnienie. Ale osoba mówiąca, nazywając usypisko „węglową

górą”, pokazuje jeszcze inne jego znaczenie. Hałda okupiona trudem ludzkiej pracy i dzięki niej wzniesiona wysoko od ziemi, nabiera metafizycznego znaczenia. Miejsce resztek, kopalnianych odpadów, ale też składowisko węgla staje się dla bohatera *Siódmej północy* górą świętą.

Tymczasem Alojzy Piontek, któremu zostaje oddany głos w poemacie z tomu *Kamienie i dzwony*, zwraca się do hałdy – zacytujmy raz jeszcze – „Co dnia głazem się wtaczać po sam szczyt i spadać / Osiemset metrów w głąb ziemi z twych ramion”. Podmiot mówi o konieczności podjęcia trudu wspinaczki na hałdę. Traktuje tę czynność nie tylko jako górniczą powinność, która polega na budowaniu, konstruowaniu zwału przez wtaczanie na jej szczyt kolejnych wydobytych wraz z węglem z kopalni kamieni, ale coś wię-

cej. To rytuał. Dotarcie na szczyt hałdy przynosi doświadczenie – jak powiedział Eliade – „wzniosłości tego, co niebiańskie”, zaznania innego niż w ziemskiej sferze sposobu bycia. Ale istnienie w świętej przestrzeni możliwe jest tylko na chwilę. Człowiek po dotarciu na szczyt węglowej góry od razu spada w dół. Jego ciało po tym ruchu nie zostaje na powierzchni ziemi, ale powraca do jej wnętrza, do *MagnaMater*. Potem wszystko zaczyna się od początku: ponowna wspinaczka na zwał, dojście na szczyt, upadek „w głąb

mówiąca odtwarzając go w pamięci, kieruje swoje myśli do środka. Oto jego wnętrze: „Królestwo domu mego było z tego świata: / Dwuizbowe, z ołtarzem kuchennego pieca / Na pieczyste, lecz zaprawdę popielcowe dni”. Inicjalny wers liryku jest odwróceniem słów Chrystusa wypowiedzianych przez niego do Poncjusza Piłata. „Coś uczynił” (J 18,35) – zadaje pytanie ten, który ma za chwilę wydać wyrok. „Królestwo moje nie jest z tego świata. Gdyby królestwo moje było z tego świata, słudzy moi biliby się,

de. To ona staje się zarazem jego królestwem i domem.

Kijonka, oddając głos Piontkowi, tworzy pochwalny utwór z litanijnymi zwrotami na cześć śląskiego wzgórze. Górnik w pierwszej kolejności zwraca uwagę na funkcje obronne, jakie pełni hałda – nazywa ją „twierdzą nieprzebraną”. Sformułowaniem tym eksponuje formę, jaką przybiera śląskie wzgórze. Jego kształt i wysokość gwarantują bezpieczeństwo. Ważną rolę odgrywa jego masywność i twardość. Spoglądający na hałdę widzi w niej najpierw tylko kamienny element przestrzeni, pojawiające się na jego drodze zwałowisko pustych kamieni. W rzeczywistości to góra tętniąca życiem.

Mówiacy w wierszu Piontek docenia wartość i potencjał hałdy. Dzięki swojej kamienności staje się ona ochronną tarczą dla walczących oraz sprawia wrażenie nieprzystępnej, trudnej do pokonania dla wroga przeszkody. Bohater liryczny zwraca uwagę na jego korzystne umiejscowienie w przestrzeni. Hałda jest usypywana na peryferiach miasta czy osady. Wrogowie mają więc do niej utrudniony dostęp. Dla walczących o śląską ziemię oddziałów wojsk powstańców staje się siedzibą, schronem, kryjówką. Zwał jest elementem przestrzeni, który nie ulega zniszczeniu – jest trwały, mocny w przeciwieństwie do innych, mających pełnić

Śląski zwał, pomimo, że jest „wypalony”, zużyty zostaje przedstawiony w poezji Kijonki jako miejsce obfitości, który w ludzkiej nędzy dzieli się wszystkim, co ma z odwiedzającymi ją i pozostającymi na niej ludźmi.

ziemi”. I tak – mówi podmiot – dzieje się „co dnia”.

Wspinaczka na „węglową górę” jest metaforą trudnego życia i wymagającej wysiłku ludzkiej egzystencji. Nie bez powodu obraz ten przypomina skazanego na bezsensowną i niekończącą się pracę Syzyfa wtaczającego na szczyt wielkiej góry ogromny głaz, który wymyka się z jego rąk i stacza się w dół tuż przed osiągnięciem wyznaczonego celu. „Węglowa góra” jest natomiast czymś więcej aniżeli górą mitologicznego bohatera. Zwał przypomina także o momencie narodzin i śmierci człowieka. Hałda staje się więc miejscem symbolicznym dla Piontki, jest z nią związany. Bohater liryczny, uważając ją za świętą górę, kieruje do niej słowa przypominające modlitewne frazy.

Hałda staje się w pewnym sensie miejscem kultu. Podmiot zwraca się do niej jak do bóstwa czy Anioła Stróża: prosi ją o opiekę nad sobą w dzień i w noc. Antropomorfizowany zwał ma czuć – nie spać, znajdować się zawsze w stanie gotowości, pilnować człowieka – ale też, co najważniejsze, żegnać go. Osoba mówiąca prosi hałdę o błogosławieństwo na drogę, w którą wyrusza, z której być może już nie wróci. Ale też w swojej modlitwie podmiot określa „węglową górę” przymiotnikiem „chlebna”. Hałda ma w sobie życiodajną moc. W biedzie jest jedyną karmicielką człowieka i miejscem, które daje mu dom i schronienie. To opiekująca się człowiekiem matka. Piontek porównuje ją do swojej rodzicielki, która z takim samym ciepłem traktowała syna i ojca. Żegnając go, nie wiedziała, że będzie to jej pożegnanie ostatnie. Postać ojca nieustannie powraca w myślach „ja” lirycznego. Bolesne i dramatyczne, ale także wypełnione tęsknotą wspomnienie o nim, rozpoczyna i kończy ósmą część poematu.

*

aby nie został wydany Żydom. Teraz zaś królestwo moje nie jest stąd” (J 18,36) – mówi Jezus. Chrystus, dokonując w tej wypowiedzi wyraźnego podziału na przestrzeń „tam” i „tu”, wskazuje na miejsce swojego pochodzenia, zakorzenienia i powrotów. Zaznacza, że jego dom jest usytuowany gdzie indziej. W udzielonej Piłatowi enigmatycznej odpowiedzi, Mesjasz podkreśla niezwykłość ojczyzny, z której się wywodzi. W „tym” świecie jest on tylko przybyłym mającym wywiązać się z konkret-

Piontek w *Siódmej północy* zwraca się do śląskiego wzgórze słowami: „Głodnych śmietniku święty”. Sakralizuje przestrzeń, w której swoje miejsce odnajdują najbardziej potrzebujący.

nej misji. Dobrze spełnione zadanie pozwoli mu wrócić do miejsca pochodzenia. Człowiek natomiast traktuje je jako przestrzeń odrealnioną.

Dla odmiany ten opisany w *Biblii* nadzwyczajny dom Boga w wierszu zostaje zastąpiony zwykłym, niczym się nie wyróżniającym domem górnika. „Królestwo domu mego było z tego świata” – wspomina tym razem Piontek. Wpisuje się ono w porządek codzienności. Podmiot nazywając przestrzeń swojego zamieszkania „królestwem”, pokazuje znaczenie, jakie przybiera dla niego dom. Kiedy Chrystus w innym fragmencie Janowej Ewangelii przekonuje: „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele” (J 14,2), bohater *Siódmej północy* opisuje swoje skromne cztery kąty: „Dwuizbowe, z ołtarzem kuchennego pieca”. Dom to dla Piontki świątynia doświadczania ludzkiej nędzy, przeżywania – jak zwraca uwagę – „pieczystych, lecz zaprawdę popielcowych dni”. Są one czasem historycznego niepokoju, walki, przymusowego głodu, wstrzeмиęliwości, postu, braku. Zaprowadzają bohatera *Siódmej północy* pod hał-

obronne funkcje fortyfikacji. Kijonka porównuje hałdę do słynnego, nazywanego „basztą ręką Boga zbudowaną”, „przedmurzem chrześcijaństwa” czy „Bramą do Polski” zamku w Kamieńcu Podolskim, który przez prawie trzysta lat był nie do pokonania obroną dla południowo-wschodnich granic Rzeczypospolitej.

„Hałdo szczodra” to drugie patetyczne wezwanie, jakie pojawia się w utworze. Określenie to kładzie nacisk na dawanie, obdarowywanie. Darem śląskiego zwału dla człowieka jest przechowywany przez niego między nieużytecznymi kamieniami węgiel. Hałda odkrywa to, co ma w sobie najcenniejszego. Poszukiwanie przez nędzarzy węgla na hałdzie kieruje ich pragnienie do źródła – w głąb ziemi, do *MagnaMater*. Jej dary – w postaci węgla – ratują z biedy, przedłużają egzystencję o kolejne dni.

Śląski zwał, pomimo że jest „wypalony”, zużyty zostaje przedstawiony w poezji Kijonki jako miejsce obfitości, który w ludzkiej nędzy dzieli się wszystkim, co ma z odwiedzającymi ją i pozostającymi na niej ludźmi. W tym kontekście podmiot nazywa ją w *Siódmej północy*

„Górą żyzną”. W obliczu biedy i nędzy to ona, a nie żadna inna przestrzeń, staje się dla człowieka urodzajną glebą, pomimo że jej ziemia jest płonna.

Piontek w *Siódmej północy* docenia odpady. To, co przestaje być użyteczne, poręczne i „natrętnie obecne” dla jednych, właśnie takie staje się dla innych. Hałda to miejsce składowania wszystkich rzeczy niepotrzebnych, które potem uzyskują status przedmiotów niezbędnych dla ludzkiej egzystencji: „[...] ty nam złom, ty podrzutki drewna, / Tyś co dnia ściernisko kopalnych pokłosów [...]” – wychwala hałdę podmiot.

Najpierw jest ona śmietnikiem, miejscem składowania przeszkadzających człowiekowi przedmiotów, które przestają dla niego znaczyć. Dopiero w biedzie porzuconym na zwale rzeczom zostaje nadana nowa wartość, ale też one same, stając się przedmiotami drogowymi dla hałdźiarzy, przemieniają usypisko w miejsce dla nich ważne. Piontek w *Siódmej północy* zwraca się do śląskiego wzgórza słowami: „Głodnych śmietniku święty”. Sakralizuje przestrzeń, w której swoje miejsce odnajdują najbardziej potrzebujący.

Hałda dla biedaka staje się miejscem próbującym zapewnić mu bezpieczeństwo. Ucieka do niej jako do przestrzeni naznaczonej upływającym czasem, historią. Nie obróciły one w ruiny śląskiego wzgórza. Podmiot zwraca się do zwału

słowami: „ledwo kiedy ranne / Z garbem twym rodzicielskim, tym worem dozgonnym”. Śląskie wzgórze próbuje unieść trudny los biedaka, chce zapewnić mu byt. „Rodzicielski garb”, który dzięki ludzkiej pracy wznosi się coraz wyżej, nie tylko przynosi schronienie hałdźiarzom, ale jest też symbolem troski zwału o nich. Hałda pochyla się nad losem każdego człowieka. Usypisko zostaje wcielone w rolę opiekuńczej matki.

W dalszej części poematu Kijonka rozwija swój pochwalny utwór na cześć śląskiego wzgórza: „Po trzykroć... Umajona w polowych piosenkach / Piramido w przepaskach brzózek, w łzach rozłąki / Po ojczystych pól utracie – tarczą mowy / I piastunką byłaś w dymach: tych podbiałach / Pospolitych i czerwienicach tysiacyńnika...” Ta część liryku rozpoczyna się formą liczebnika wielokrotnego, występującą w pieśniach i modlitwach kościelnych: „Trzykroć święte Serce Boga”, „Trzykroć pod ciężarem krzyża / Upadasz bardzo ciężko”, „Jezu, pod przysięgą od Piotra, Po trzykroć z wielkiej bojaźni zaprzany”, „Matko Boża Trzykroć Przedziwna”. „Trzy” to liczba symbolizująca doskonałość, świętość, Boga. Kijonka po raz kolejny sakralizuje śląskie wzgórze. W podobny sposób honoruje hałdę, która jest „Po trzykroć... Umajona w polowych piosenkach”.

„Piramido w przepaskach brzózek” – zwraca się do hałdy podmiot. Cud

natury, życia rodzącego się na hałdzie zostaje połączony ze śmiercią. Hałda przybiera kształt podobny do starożytnych grobowców. Z jednej strony podziw może budzić forma jej usypiania, czasem strzelistość; z drugiej, łącząc ze sobą ziemię i niebo, gromadząc wokół siebie nędzarzy, którzy walczą o swój byt, przypomina o ludzkim przemijaniu. Śląski zwał to góra, która jest świadkiem historii, „bycia-w-świecie” człowieka od jego narodzin do śmierci. Poeta słowami wypowiedzianymi przez Piontkę nazywa ją „piastunką w dymach”. „Piastunka” oznaczała dawniej kobietę opiekującą się dziećmi. Wpisana w przestrzeń zamieszkania, doświadcza życia razem z ludźmi, współistnieje z nimi: „Piramido [...] w łzach rozłąki / Po ojczystych pól utracie” – pisze Kijonka. Strata i rozłąka człowieka jest stratą i rozłąką hałdy.

Piontek, powracając myślami do swojego domu, spogląda w jego okno, z którego rozpościera się widok na hałdę. Krajobraz, którego najważniejszym elementem jest śląskie wzgórze, towarzyszy mu od chwili jego narodzin. Bohater liryczny, widząc w hałdzie przestrzeń wertykalną, wyobraża sobie jej szczyt, jej wierzchołek jako część wpisującą się w oświetlający noc gwiazdozbiór. Śląski zwał staje się w ten sposób częścią nieba.

Fragment większej całości



Kilka dni po śmierci Wisławy Szymborskiej Tadeusz Kijonka napisał wiersz *Na zawsze. Zapiski pamięci Wisławy Szymborskiej*. Ukazuje on fascynację dziełem poetki i rolę pamięci w twórczości samego Kijonki, który składa hołd zmarłej. Pamięć jest dla niego przede wszystkim świadectwem, upamiętnieniem, ale także można ją rozumieć jako swoisty dług. Pisałam o tym w jednym ze swoich artykułów, a później także w dysertacji. Być może ktoś uzna za nietakt czy nieskromność zatytułowanie tego artykułu na wzór poematu Tadeusza Kijonki, ale w chwili bólu, poczucia ogromnej straty i jakiegoś dziwnego zatrzymania – nic lepszego i bardziej adekwatnego nie przychodzi mi do głowy.

Zapiski pamięci Tadeusza Kijonki

EDYTA ANTONIAK-KIEDOS

30 czerwca zmarł bohater mojego doktoratu, mistrz i przyjaciel (choć to pewnie zbyt duża poufałość) – Tadeusz Kijonka. Ślązak z urodzenia, przekonana, człowiek od którego można się uczyć miłości do swojej rodzinnej Ziemi. W domu godoł, na forum wypowiadał się potoczystą, patetyczną frazą. Wiersze pisał z dbałością o symbolikę i liryzm. Poetycko romantyk, na co dzień uprawiał kult pracy, fedrował dziennikarsko, publicystycznie, politycznie i animując życie kulturalne Katowic, a szerzej całego województwa śląskiego. Przepętniony miłością i wdzięcznością do Śląska. Człowiek buntowniczy i kontrowersyjny, który swoją działalnością polityczną i publicystyczną udowodniał, że jego Mała Ojczyzna jest dla niego najważniejsza. Bronił jej interesów ekonomicznych, kulturowych, historycznych, a nawet ekologicznych. Dla poezji miał tylko „czas kradziony”, ale to w niej zawarł najbardziej emocjonalne świadectwo swojego poczucia tożsamości i przynależności. Śląsk był dla niego ziemią obolałą, pełną wewnętrznych napięć i konfliktów. Widział w nim teren eksploatowany, ograbiany, wykorzystywany przez wrogie siły. W zależności od czasów byli to Niemcy, Rosjanie, warszawscy politycy. Nie krył rozczarowania polityką wobec Śląska, gromił za upadek górnictwa i tutejszego przemysłu, organizował Kongres Kultury Polskiej i wiele spotkań literacko-artystycznych. Dumnie przez lata prezesował Górnośląskiemu Towarzystwu Literackiemu, z mozołem i pasją przez lata tworzył Miesięcznik Społeczno-Kulturalny „Śląsk”. Teraz gdy odszedł do wieczności pozostały jego wiersze i w nich należy doszukiwać się najwyższej miłości do regionu,

afirmacji życia i permanentnego przecucia śmierci. Śląsk w wierszach Tadeusza Kijonki jawi się jako kraina mityczną i zdegradowaną jednocześnie. Tradycja miesza się ze stereotypami, magia z brutalnością, a miłość z cierpieniem. Jego własne cierpienie właśnie dobiegło końca, nasza pustka dopiero się zaczyna.

Poezja autora *Czasu zamarłego* pełna była kontrastów, dychotomii, opozycji, bazowała na skrajnościach i antoniemiach. Najczęściej zauważaną parą przeciwieństw były jednak nie życie i śmierć, nie radość i strach, nie swój i wróg, lecz czern i biel. Kolory te zdominowały poetycki obraz świata Kijonki, czyniąc poetę wyjątkowym „kolorystą”, trudno bowiem znaleźć równie monochromatycznego twórcę. Jednak podążając za intuicją Krzysztofa Mętraka, który sugerował, że w czerni i bieli kryje się tajemnica poezji Kijonki, odnalazłam chyba coś zaskakującego, czego krytycy, posądzający Pana Tadeusza o daltonizm, nigdy nie dostrzegli. Otóż w jego wierszach los człowieka zatacza koło, w którym brzegi są czarno-białe, zaś środek wielobarwny. Przed narodzeniem otaczają nas „syte ciemności płodu”. Życie na ziemi wypełnia zieleń, błękit, czerwień, róż, rzadziej złoto i srebro. Czasem jednak strach czy śmierć mącą radość, uruchamiając skojarzenia z bielą, czernią, cieniem. Z kolei moment przejścia na drugi brzeg to gra czerni i bieli, która u autora *Witraży* może być jak u Bergmana partią szachów ze Śmiercią. Potem jest już tylko czern żałoby i biel, która powoduje rozmycie obrazu, jak w obiektywie – im więcej światła, tym bardziej przedmioty czy ludzie tracą kształt, aż w końcu znikają. Duchy ludzi zmarłych na chwilę ożywają w wy-

obraźni, po czym wracają, „wbielają się” w swój biały świat. Świat „po drugiej stronie” jest światem bieli; jak pisał poeta „zmarli zasypiają w bieli”.

Tak też Tadeusz Kijonka zasnął ostatni raz w białej pościeli. Zmarł nad ranem jak jego ukochana poetka. Nie wiem, czy to ona po niego przyszła, czy ukochany brat, który przysnił się mu niedługo przed śmiercią. Nie pozwólmy jednak, by jego dzieło, ukochany miesięcznik „Śląsk”, przyjaźnie z GTL-u, a zwłaszcza poezja „wbieliły się” w niepamięć, w niebyt, w nieważność.

Pod spodem dołączam krótki fragment mojej monografii *Twórczość poetycka Tadeusza Kijonki*, która mam nadzieję już wkrótce ukaże się drukiem. Pan Tadeusz czytał ją w całości i choć ostrzegali mnie przed pracą nad jego dorobkiem Michał Smolorz, wróżąc klęskę „saperskiej roboty”, oraz prof. Włodzimierz Wójcik, wskazując na wulganiczną osobowość poety, spotkałam się z cichą aprobatą i dyskretnym uśmiechem wdzięczności. A myślałam, że wcale nie była to laurka, w której unika się trudnych pytań i przemilcza niewygodne fakty. Czy można jednak pisać obiektywnie o poezji, która pozwala przepracować żal po kimś kochanym, daje nadzieję, że „każdy dzień nas do siebie zbliża” ...

Węgiel – symbol górniczego świata
(fragment)

Śląsk słynie albo raczej słynął z wydobycia węgla kamiennego, który jako skała osadowa swą czarną barwą zawdzięcza złożonym procesom biochemicznym, geofizycznym i geochemicznym. Dla Tadeusza Kijonki jest niezwykle ważnym atrybutem rodzinnej ziemi. Poeta potwierdza to szczególnie w tomie *Pod Akroplem*, zestawiając go z marmurem, ale również w innych zbiorach, gdzie używa wielu „węglowych” określeń. Wśród nich można wyróżnić epitety, z których część odnosi się do kopalnianego pejzażu, np. „mroki węglne”, „węglowy fresk”, „opoka węglowa”, „sen węglowy”, „przepaść węgla”, „pogrom węgla”, „pochodnie węglowe”. Inne określenia charakteryzują ludzi trudniących się wydobyciem węgla, np. „ziarnka węgla podskórne”, „czterech węgloradów”, „skażancy zwęglonych losów”. Czasem Kijonka dokonuje antropomorfizacji węgla, stąd np. „węgiel zaniemowił”, „syn węgla i ziemi”, „zakładnicy węgla”. Z jednej strony węgiel zdaje się życiodajny („kęsy węgla”, „tłuste bryły węgla”, „węglowe mleko”), z drugiej niebezpieczeństwo utraty życia, jest znakiem śmierci („czarna ściana węglowego grobu”, „węglowy grób”, „zwęglone zwłoki”, „węglowa mumia”, „pot śmiertelny na czołach zwęglą się”, „zwęglone czoła”, „twarz zwęglą”,

„w gąszczu zwałowiska / calizn węglowych”). Do innych naznaczonych destrukcją i strachem określeń należy zaliczyć takie jak np. „zwęglony czas”, „noc zwęglona”, „zwęglone lata”, „zwęglona krew”, „worki z ubożuchnym węglem”. Przy okazji tematu Bożego Narodzenia padają określenia takie jak „dzieciatko węglowe” czy „węglowi pasterze”, zaś w czas Wielkanocy Chrystus ma węglowy grób. Kijonka nadaje kalendarzowi świąt kościelnych kolorytu lokalnego, swojskiego. Jak w afrykańskiej szopce znajdują się czarne figurki, tak w twórczości śląskiego poety będą one powiązane z węglem – znakiem przynależności do regionu. Jednak oprócz tego trzeba zaznaczyć, że określenia czarne – „węglowe” – związane są z żałobą, która zakłóca radość świąt. Szczególnie czas Bożego Narodzenia naznaczony jest czernią śmierci górników z pacyfikowanej kopalni „Wujek” czy – jak w *Pastoralce grudniowej* – „czterech synków z Załęża”.

Szczególnie ważny zdaje się być motyw węgla jako semantycznego ekwiwalentu czerni w zestawieniu z przedmiotami i zjawiskami kojarzonymi z jasnością czy bielą. Poeta łączy nieraz węgiel z tym, co nie kojarzy się z czernią – „węglowy opłatek”, „anioły węgla”, „węglowy krzyż nieba”. Czasem węgiel zmienia barwę i „bieleje”, w innym miejscu zostaje skonstrastowany ze śniegiem – odpowiednikiem barwy białej („rozrzucone w śniegu tłuste bryły węgla”). Sposób patrzenia na węgiel jest u autora *Witraży* dwojaki – w myśl słów jednego z nowszych wierszy, niecodziennej apologii umierającego Śląska pod tytułem *Przed pierwszą gwiazdą*, gdzie padają słowa: „Nie ma węgla bez śmierci, choć węgiel to życie”.

Węgiel stanowi najmocniejszy akcent śląskości; zdradza przywiązanie do małej ojczyzny, stanowi istotne ogniwo w czarno-białym obrazie świata. Wędług Michała Sprusińskiego, który praktycznie w każdym wierszu *Rzeźby w czarnym drzewie* dopatruje się kontrastu biel-czerń, wynika to z „obserwacji konkretnego, śląskiego pejzażu”, który nieodłącznie rozpościerał się „w sadzy / chmur wstępujących z głębin – szyby kopalń”. Kilkanaście lat później Grzeszak potwierdził to, ale jednocześnie zdeprecjonuje, pisząc o poemacie *Pod Akroplem*:

Symultaniczność poematu Kijonki została wymuszona przez wyobraźnię wzrokową. Za białą górą kamieni Akropolu musiała stanąć w szyku słownym czarna sztolnia kopalni. („Słońce wybieli, ale potem – zaćmi”, „Marmur i węgiel, słońce i zaćmienie” powtarza poeta w oddalonych od siebie częściach poematu, by wreszcie stwierdzić jasno: „szedłem do Aten w miejscu urodzenia”). Te przeciwieństwa wizualne pul-

sują w całym poemacie, a ponieważ są artystycznie mało kontrowersyjne nie widzę powodów do szerszego komentarza.

Nie zgadzam się z Grześczakiem, by te artystyczne zabiegi były niegodne dyskusji, aby przejść obok nich obojętnie. Już ich frekwencja zmusza do przyjrzenia się dokładniej kwestii barw i ich chociażby niektórych ekwiwalentów. Poezja Kijonki oparta jest bowiem na swoistym dualizmie, wynikającym z naturalnego podziału na lewą i prawą stronę (*Póki, dopóki...*). W omawianym przez krytyka poemacie opiera się on właśnie na kontrastach: węgiel-marmur, węgiel-śnieg, światło-ciemność, dzień-noc, lato-zima, Ateny-Śląsk, kopalnia-Akropol, które wyrażają opozycję biel-czerń. Zresztą strofa otwierająca *Pod Akroplem* zdradza dychotomie, z jakimi będziemy obcować do końca zbioru, ale mówi też o specyficznym sposobie odbierania świata w całej twórczości poety:

W połowie lata – w samym środku zimy,
bo dreszcz mnie przeszedł, a więc w takiej porze,
gdy węgiel słońca i marmur księżycą
w zębach stapiają się, a język parzy;
w połowie zimy – w samym środku
lata przysnił mi się Akropol.

Konwencja snu pozwala zobaczyć w kopalni odwrócony Akropol, świątynię będącą równocześnie „orfickimi czeluściami”. Dla Kijonki bowiem kopalnia to tyleż miejsce pracy, co świątynia, a w jeszcze innym miejscu grób. Sen, śmierć przenoszą człowieka w sferę ciemności – „w zwęglone kręgi nieba, morza, ziemi”.

Szczególny jest tu poemat *Siódma północ* – „czarny kosmos węgla” jest miejscem, w którym czyha śmierć, ale dzięki któremu może nastąpić ponowne narodzenie, a nawet swoiste zmartwychwstanie. Historia górnika Alojzego Piontka pokazuje, że „kosmiczna czerń wnętrza ziemi jest zaprzeczeniem, negatywnym nazięciem macierzyństwa”, ale zdradza podświadomą chęć powrotu człowieka do łona własnej matki, zanurzenia się w tamten nieistniejący już bezpieczny świat. To zdarzenie dzięki kontrastowi czarnego świata kopalni z bielą, jasnością świata na powierzchni pozwala na ukazanie bohatera *Siódmej północy* w roli posłańca „stamtąd”. Zmartwychwstały reprezentuje sferę sacrum, jednak jego odrodzenie się nie następuje – jak słusznie zauważa Krzysztof Rutkowski – na mocy jakiegoś proroctwa, jest efektem ciężkiej pracy innych górników. Dzięki temu solidarność i trud górniczej braci zyskują znamiona świętości, oni sami stają się członkami górniczego zakonu, żywym symbolem górniczej wiary. Równocześnie badacz odkrywa, że czarny kosmos węgla nie jest jedynym miejscem uwięzienia – w kontekście pierwszej części tomu *Kamień i dzwony*,

zatytułowanej *Stamtąd*, okazuje się, że człowiek, również leżąc w szpitalnej pościeli, może być uwięziony – tym razem w „bliźniaczym kosmosie bieli”. Czerń węgla paradoksalnie jest symbolem tak śmierci, jak i ponownych narodzin, biel szpitala zwiastuje już tylko czerń żałoby. W późniejszych wierszach poeta pogłębi te rozważania, by stwierdzić, że białe ściany „szpitalnej celi” zaświadczały nie tylko o czyhającym końcu, ale że „i po śmierci nie można rozstać się z sumieniem”.

Na powrót węgiel jako semantyczny ekwiwalent czerni pojawi się w tomie *Czas zamary*, w którym poeta snuje opowieść o tragicznym losie górników w czasie stanu wojennego. Najpierw pisząc o zamordowanych Dziewięciu z Wujka, później – o górnikach z kopalni „Piast” i „Ziemowit”, którzy na znak protestu przez dwa tygodnie nie wyjeżdżali na powierzchnię. Ich los opisują „metafory węglowe”: kopalnia to „węglowa kołyska”, oni sami są „węglowymi pasterzami” w „czarnie zwiastowanie”, dzielą się „opłatkami węglowym”. Czerń wyraża tragizm ich losów.

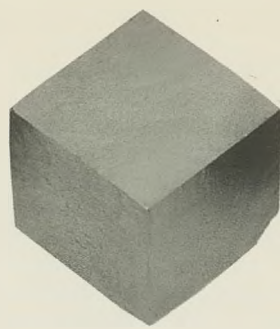
Węgiel, kopalnia – przez swą „chlebobodawczą” rolę – naznaczone są świętością. Mimo że występują jako odpowiedniki barwy czarnej w omawianej poezji wielokrotnie kojarzą się z czymś dobrym, życiodajnym, ważnym. Wnętrze szybu, świat kopalni to jednak zawsze miejsce przerażające, w którym panują „czarne anioły” (w wierszach Kijonki nie ma Gustlika ani innych ludowych mieszkańców kopalni). W wierszu *Posłanie* są one sprawcami zawałów, w których giną „proletariusze podziemi”. Poeta ukazuje przestrzeń kopalni jako najczarniejsze miejsce na ziemi, piekło – „czeluście imperium karbonu”, „ciemności trzęsawisk geologii”. „Czarne anioły głębin” są „aniołami węgla”, towarzyszą zasypianym górnikom, którzy oddają ducha bez pożegnania z bliskimi, na dnie kopalnianych kraterów, przynicieni węglowymi stropami. Na odsiecz idą im ratownicy – „skażancy zwęglonych losów, my – czerń broczących pogrzebów”. Ciszę absolutnej czerni przerywają „syreny i dzwony” bijące na alarm, a później wypełniające świat żałoba.

Synonimami czarnego Śląska są węgiel, sadza, pył węglowy oraz czarna góra – hałda. Nadają one rodzinnej krainie poety żałobnego kolorytu. Dla Kijonki bowiem Śląsk to ziemia cierpień i śmierci, ciężkiej pracy i żałoby. Pogmatwane losy swojej małej ojczyzny – z trzema powstaniami śląskimi, okupacją hitlerowską, stanem wojennym na czele – poeta opowiada w czerni węglowych skojarzeń.

Upamiętnia w ten sposób ofiary, które przetrwają jak skamieliny „na dnie karbonu”...

„... wśród wątych badylków...”

Pamięci Tadeusza Kijonki



JACEK KUREK KAMIEŃ DROGOCENNY

Niedawne uroczystości pogrzebowe Tadeusza Kijonki zbudziły we mnie wspomnienie sprzed blisko dwudziestu lat, gdy po raz pierwszy w jednym z tekstów dzieliłem się zachwytem nad książką, której lektura otwarła przede mną horyzont słowa. Pomieszczone w niej myśli kształtowały mnie gdy dorastałem i nadal się nimi odżywiam. Jan Parandowski w *Alchemii słowa* pisał: „Słowo jest potęgą. Utrwalone w piśmie zdobywa niedającą się obliczyć ani przewidzieć władzę nad myślą i wyobraźnią ludzką, panuje nad czasem i przestrzenią. Tylko myśl pochwycona w sieć liter żyje, działa, tworzy. Wszystko inne roznosi wiatr. Każdy postęp w rozwoju umysłu ludzkiego rodził się kiedyś wśród tych wątych badylków, wschodzących na karcie papieru. Krople atramentu płyną w żyłach kultury”. Zdania te, odkąd je po raz pierwszy przeczytałem, współbrzmiały we mnie z początkiem innej *Księgi*:

Na początku było Słowo,
i Słowo było u Boga,
i Bogiem było Słowo.
Ono to było na początku u Boga.
Wszystko przez nie się stało
a bez niego nie stało się ani jedno.

Słowo jak światło, jak życie, silniejsze od ciemności i śmierci. Tak przynajmniej wielu z nas pragnie wierzyć. Słowo, które trwa i ma moc jedynania. Parandowski pisał: „Homer był jedynym panującym, który miał poddanych we wszystkich niezależnych i skłóconych państwach greckich, był królem Hellady, gdy nikt inny nie potrafił z niej stworzyć wspólnej ojczyzny. Dante zjednoczył Włochy w swoim dziele i języku na sześćset lat przed zjednoczeniem politycznym. Nasi wielcy romantycy stworzyli Polskę, której nie było na mapie. Słowa pisarzy wiązały szczepy i plemiona, wyzwały narody, walczyły o sprawiedliwość, kruszyły kajdany...”. W przywołanej tu epoce polskiego romantyzmu słowo uzyskało rangę w samej rzeczy wielką, zdawało się kreować rzeczywistość, a nawet zmieniać historię, dostosowując ją do rangi potrzeb. Wieszczo wie zastąpili uczonych i rządzących. W słowo wcieliła się kultura. Maria Janion i Maria Żmigrodzka pisały: „Romantyzm to prąd w kulturze, który życiu każe naśladować literatu-

rę – jakże stanowczo i ostentacyjnie miał przeciw temu zaprotestować realizm”. A nieco dalej, już bezpośrednio odnosząc słowa do polskiego romantyzmu, dodają: „Literatura w tej epoce – podobnie jak i w przeszłości – stanowiła najważniejszą bodaj część kultury narodowej, a znaczenie jej, zwłaszcza poezji romantycznej, rosło z latami. W miarę zwiększania się ucisku zaborczego, postępującego likwidowania lub ograniczania działalności instytucji kulturalnych i hamowania inicjatywy społecznej literatura stawała się dla Polaków główną trybuną życia umysłowego. Dawała ona nieustanne świadectwo żywotności narodu, jego dążeń wolnościowych. Niektórzy nawet sądzili, że zastępowała państwo”. Rozmiiłowani w historii romantycy widzieli ją w horyzoncie literatury. Aż wreszcie, raz jeszcze mówiąc słowami autorki *Romantyzmu i historii*, „literatura w Polsce musiała wydać walkę historii – i wygrała ją”. To właśnie literatura stwarzała przestrzeń wolności, której tak bardzo brakowało ówczesnym Polakom pod jarzmem zaborów. I o tym właśnie pisał w jednym z cytowanych powyżej fragmentów *Alchemii słowa* Jan Parandowski.

Przywołuję wszystkie te myśli z wiarą w słowo, mimo wszystko, nawet wtedy, kiedy staje się ono szeptem albo wymownym milczeniem, albo kiedy dotykowi czy spojrzeniu przychodzi je zastąpić. Ono wszak ma moc nadawania życiu owego niepowtarzalnego i jedyne-go smaku. Słowo zakłęte w piśmie i poza nim. Słowo, którego uczyłem się też od Romana Brandstaettera:

Biblio, ojczyzno moja.
Biblio, moja ziemia
Galilejska
I franciszkańska
O wy, Księgi mojego dzieciństwa.
Pisane dwujęzyczną mową.
Polską hebrajszczyzną,
Hebrajską polszczyzną
Dwumową
Świątą
I jedyną

Lokalny świat to przestrzeń sprzyjająca pielęgnacji przekonania, że słowo jest wartością najbliższą codzien- ną, obecną, niepowtarzalną, tym samym nieustannie domagającą się troski. W Domu dbamy o jego urodę i celność, bo tu właśnie dzieją się rzeczy najważniejsze, niepowtarzalne i jedyne. Tu, gdzie cierpimy i gdzie przeżywamy radość, gdzie niszczą nas nieoswojone lęki i gdzie podnosimy się do dalszych zmagania. Sztuka życia to także tajemnica odkrywania w nim urody „tu i teraz”, z tymi, po- śród których żyjemy, którzy zostali nam niejako podarowani przez los, tak- że z „innym”. Pisał Józef Tischner, któ- ry odpowiada dźwiękiem na dźwięk in- nego”.

Sztuka życia to także sztuka ubiera- nia go w słowa, nazywania rzeczy po imieniu. I nie chodzi tu o brutalność nazywania, bezpardonowość, ale o to, by rzecz zawołana po imieniu, potrafi- ła się do tego imienia przyznać, z nim utożsamić. W nim wypięknąć. To wła- śnie rola poezji. Zrozumienie tej praw- dy jest warunkiem podstawowym od- należenia wokół siebie wszystkiego tego, czego trzeba nam, byśmy byli wol- ni i – odważmy się to powie- dzieć – szczęśliwi. Mijają lata i deka- dy mojego życia. Coraz częściej słyszę, czasem z różnych stron, zwątpienie w słowo, nieufność, co gorsza obojęt- ność. Coraz powszechniej odbierane są słowu wartość i szacunek.

Ktoś (nieco tylko młodszy ode mnie) powiedział, że zdecydowanie za dużo pi- szemy (Facebook, Twitter, posty inter- netowe), a za mało czytamy. Sam zaś przyznaje, że jego marzenie, to być wytrawnym.... czytelnikiem.

Ktoś (nieco tylko starszy ode mnie) powiedział mi, że teraz już w ogóle nie widzi sensu w czytaniu (poza czyta- niem tego, co zwiększa wiedzę. Dla Boga! Instrukcja obsługi też zwiększa wiedzę!). Ze mną jest jakoś inaczej. Czegóż jeszcze istotniejszego od poezji mogę się dowiedzieć?

*Prócz zmiętych rękopisów co mam
na obronę
Gdy przyjdzie mi się stawić na wezwanie
Boga.*

(Tadeusz Kijonka, *Do końca,
z tomu Czas, miejsce i słowa*, 2013)

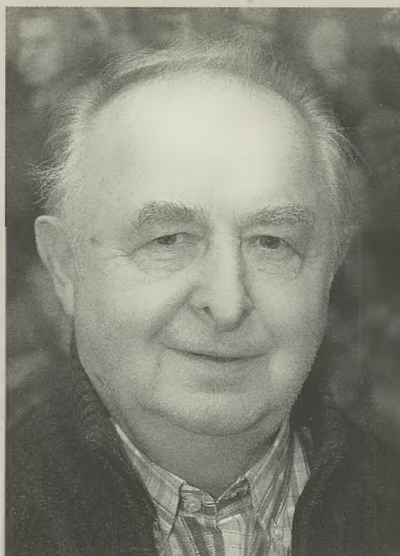
Urodził się 10 listopada 1936 roku w Radlinie. Ojciec Antoni, uczestnik walk w obronie Śląska Cieszyńskiego 1919 roku i III Powstania Śląskiego. Matka Róża, córka działacza narodowego, Józefa Kojzara, polskiego naczelnika gminy Rowień, komendanta cywilnego rejonu w III Powstaniu. To uzasadniało odmowę przyjęcia volkslisty przez rodziców oraz związane z tym konsekwencje.

Pewnej majowej nocy 1944 roku gestapo uwięziło Różę i Antoniego Kijonków. Wydarzenia tamtej nocy, atmosfera domu i zadeklarowana polskość rodziców będą miały istotne znaczenie dla życiowych decyzji i manifestowanej tożsamości przyszłego poety.

Na początku była poezja. I tak, w roku 1955 debiutuje tryptykiem pt. „Konstantynopol Mickiewicza”. Lecz już niebawem zamieszcza obszerny reportaż pt. „Szubienice gotartowickie” na łamach cenionego tygodnika „Przemiany”. Jeszcze w okresie studiów daje się poznać jako publicysta i działacz społeczny, ze szczególnym uwzględnieniem sfery kultury. A przecież nie w tym kierunku rozpoczął naukę w rybnickim Technikum Budowy Maszyn Górnictw. Równocześnie podjął naukę gry na fortepianie.

Po maturze trafia do Stalinogrodzkiej Fabryki Sprzętu Górniczego „Moj”. Ale już w tym okresie ujawnia swe zainteresowania poetyckie jako aktywny członek Koła Młodych przy miejscowym oddziale Związku Literatów Polskich. Jest czynny w środowisku młodoliterackim jako członek katowickiej grupy poetyckiej „Domino”, a później przewodniczący Międzyuczelnianego Klubu Literackiego w Krakowie. W tym też okresie jako student IV roku polonistyki na UJ wydał w 1959 r. swój pierwszy zbiór poezji „Witraże”, za który otrzymał Nagrodę Kulturalną Rybnickiego Okręgu Węglowego.

Ważne miejsce w jego dorobku zajmuje „Rzeźba w czarnym drzewie” (1967, Wyd. „Śląsk”) tomik wierszy, za który otrzymał nagrodę im. Andrzeja Bursy. Kolejny zbiór wierszy „Kamień i dzwony” (1974, LSW, Warszawa) uzyskał dwie ogólnopolskie prestiżowe nagrody: im. Stanisława Piętaka i miesięcznika „Poezja” za książkę poetycką roku. Następnie m.in. wydał: poemat „Pod Akroplem” (1979, Czytelnik, Warszawa); tom liryków „Śnieg za śniegiem” (1981, PIW, Warszawa); Wybór liryków pt. „Kijonka” w Bibliotece Poetów (1982, LSW, Warszawa); tom wierszy „Czas zamarły” (zawierający ponad 70 utworów z okresu stanu wojennego, w tym poemat „Atlas losów” – 1991, Czytelnik, Warszawa); tom liryków „Echa” (1992, Wyd. „Śląsk”); zbiór 5 poematów polskich „Labirynty” – (1993, Katowice); tom liryków miłosnych „Z mojego brzegu” (1995, Katowice). W latach ostatnich ukazały się następujące książki poetyckie Tadeusza Kijonki: obszerny wybór wierszy „Czas, miejsca i słowa” (2013, Wyd. „Śląsk”), „44 sonety brynowskie” – nominowane do finału Poetyckiej Nagrody Orfeusza za najlepszy tom wierszy 2014 roku (2014, Wyd. Sonia Draga), zaś z końcem 2015 roku tom liryków „Słowo w słowo” (2015, Instytut Mikołowski).



Fot. Zbigniew Sawicz

TADEUSZ KIJONKA (1936 – 2017)

Ważnym polem działalności Tadeusza Kijonki była zawsze rozległa aktywność społeczna. Szczególnie godna przypomnienia jest jego rola jako inicjatora i współorganizatora Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych w Katowicach w 1980 r. Był też głównym inicjatorem Kongresu Kultury na Górnym Śląsku w roku 1988. W 1992 r. doprowadził do powołania Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, które stało się wydawcą utworzonego w 1995 roku miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”, a którym jako redaktor naczelny kierował do 2012 roku włącznie.

Przez ponad 60 lat był Tadeusz Kijonka czynnym dziennikarzem. Na jego autorski dorobek składają się setki pozycji – reportaży, szkiców publicystycznych, esejów, komentarzy, portretów biograficznych, wywiadów, felietonów i różnych opracowań. Rozległy jest również jego dorobek autorski związany z muzyką, obejmujący libretta operowe – w tym operę „Wit Stwos” z muzyką Józefa Świdra.

Wielkie powodzenie zyskał musical „Zaczarowany bal”, z muzyką Katarzyny Gaertner. Kijonka był także autorem tekstów do oratoriów i kantat, w tym „Tryptyku powstańczego” i „Silesiany”. Na scenę trafiło również misterium poetyckie pt. „W obłęzieniu” oparte na wierszach z tomu „Czas zamarły”, przygotowane przez Teatr Śląski w 25 rocznicę stanu wojennego. Inny tytuł, w którym Tadeusz Kijonka jako autor szeregu tekstów miał znaczący udział jest „Złoty warkocz”, popularne widowisko z muzyką Katarzyny Gaertner.

Laureat licznych odznaczeń i nagród kulturalnych został uhonorowany m.in. Nagrodą im. Karola Miarki, Wojciecha Korfańtego, Medalem Zygmunta Glogera i Nagrodą „Śląski Smaragd”. Był także laureatem prestiżowej Śląskiej Nagrody Kulturalnej Kraju Dolnej Saksonii, laureatem Śląskiej Łoży Liderów, Nagrody „Hansy”, laureatem Platynowego Lauru Umiejętności i Kompetencji oraz nagrody XXX Jubileuszowych Rybnickich Dni Literatury (1999), którą przekazał na reaktywowanie w Rybniku Orkiestry Symfonicznej im. Braci Szafranków. Za rozległą działalność społeczną został uhonorowany Złotym Medalem Opieku-

na Miejsc Pamięci Narodowej, Złotym Medalem Za Zasługi dla Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, Dyplomem Polskiego Towarzystwa Walki z Kalaństwem i Dyplomem Śląskiego Towarzystwa Dzieci Specjalnej Troski – jako współtwórca Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Niesłyszących w Katowicach oraz członek honorowy Fundacji „Dializa” profesora Franciszka Kokota. Pośród wysokich odznaczeń państwowych widnieją – Krzyż Kawalerski, Krzyż Oficerski i Krzyż Komandorski Polonia Restituta. Otrzymał także Złotą Odznakę Zasłużonego Działacza Kultury, Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” oraz Złotą Odznakę Za Zasługi dla Województwa Śląskiego. W 2005 roku odebrał Nagrodę im. Witolda Hulewicza za redakcję miesięcznika „Śląsk”.

Całe życie twórcze Tadeusza Kijonki związane było z Katowicami i ze Śląskiem, co dokumentują również nagrody, w tym dwukrotnie przyznana mu Nagroda Literacka Miasta Katowic (1966, 1975), Nagroda Artystyczna Województwa Katowickiego (1974, 1977). Później został także laureatem Nagrody Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury (1994) oraz Nagrody Marszałka Województwa Opolskiego dla Animatorów i Twórców Kultury (2000), Nagrody Prezydenta Katowic w dziedzinie kultury (1996) i miasta Bytom „Muza 2002”. Został też odznaczony Złotym Medalem za Zasługi dla Uniwersytetu Śląskiego i „Pegazem Teatru Śląskiego”.

Pracę zawodową Tadeusza Kijonka rozpoczął po studiach w Polskim Radio w Katowicach (1960-1962). Następnie podjął pracę w redakcji dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Poglądy” oraz w tygodniku „Tak i Nie”. W roku 1987 znalazł się w zespole redakcji „Literatury” w Warszawie a także w Radzie Redakcyjnej miesięcznika „Poezja”. Od roku 1967 pełnił nieprzerwanie przez 47 sezonów funkcję kierownika literackiego w Operze Śląskiej. Był autorem książki „Pół wieku Opery Śląskiej”.

Był posłem na sejm dwu kadencji. Z tego okresu godne przypomnienia są jego liczne interpelacje dotyczące Śląska; w tym szczególnie wywozu Ślązaków do ZSRR w 1945 roku, złożonej na ręce premiera Tadeusza Mazowieckiego. Podjął również skuteczną akcję powrotu Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego z Sosnowca do Katowic.

Wiersze i poematy Tadeusza Kijonki ukazywały się od połowy lat pięćdziesiątych i głównie w prasie kulturalnej. Rejestr tytułów obejmuje m. in. „Współczesność”, „Nową Kulturę”, „Przemiany”, „Życie Literackie”, „Poglądy”, „Teatr”, „Odrę”, „Poezję”, „Twórczość”, „Kulturę”, „Przegląd Tygodniowy”, „Tygodnik Kulturalny”, „Przekrój”, „Miesięcznik Literacki”, „Tak i Nie”, „Katolik”, „Regiony”, „Sycynę”, „Szpilki”, „Literaturę”, „Fakty”, „Metafora” a także śląskie dzienniki – „Trybuna Robotnicza”, „Dziennik Zachodni” i „Wieczór”. W latach ostatnich Kijonka zamieszczał wiersze także w „Gazecie Wyborczej”, „Arkadii”, „Opcjach”, „Akancie”, „Akencie”, „Migotaniach” i „Toposie”.

W roku 2012 otrzymał nagrodę „Śląski Smaragd”, w 2014 r. został uhonorowany Nagrodą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w uznaniu „nieocenionych zasług dla kultury polskiej”, w 2016 roku tytuł Honorowego Ślązaka Roku.

Zmarł 30 czerwca 2017 roku. Spoczął na cmentarzu w Katowicach, przy ulicy Francuskiej.



Bronisław Huberman

„A któż to taki, ten Huberman?...”

PIOTR SZALSA

W czerwcu 2017 roku minęła 70. rocznica śmierci Bronisława Hubermana – urodzonego w Częstochowie, światowej sławy skrzypka – wirtuoza, założyciela Palestyńskiej Orkiestry Symfonicznej w Tel-Awivie.

Jubileusze przeminęły

W 1963 r., gdy byłem studentem Akademii Muzycznej w Katowicach, dyrektor tamtejszej Biblioteki Muzycznej – dr Karol Musioł zwrócił się do mnie z propozycją napisania wstępu do tłumaczonej właśnie przez Studenckie Koło

Tłumaczeń niewielkiej książki Bronisława Hubermana pt. *Z warsztatu wirtuoza*. Należało skreślić kilkustronicową biografię wielkiego skrzypka. Zadania tego podjąłem się chętnie, chociaż zdawałem sobie sprawę, że w Polsce nie znajdę dokumentów, które pozwoliłyby mi wywiązać się z podjętego zadania w sposób sa-

tysfakcjonujący mnie, a o podróżach badawczych za granicę oczywiście nie mogło być wówczas mowy.

Osoba Hubermana zafascynowała mnie tak dalece, że postanowiłem kiedyś do tego tematu powrócić. Od mojej studenckiej przygody pisarskiej minęło ponad trzydzieści lat. Kiedy latem 1995 r. przyleciałem samolotem z Wiednia do Tel Awiwu, młoda izraelska dziewczyna z obsługi kontroli na lotnisku „Lod” rutynowo zapytała mnie o cel wizyty w Izraelu. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że przyjechałem do Centralnej Biblioteki Muzycznej, aby zapoznać się z Archiwum Bronisława Hubermana. Dziewczyna zapytała: „A któż to taki, ten Huberman?”. Nie znalazłem też w największym sklepie z płytami w tym mieście ani jednego nagrania wielkiego skrzypka, a sprzedawca w dziale muzyki klasycznej nie wiedział w ogóle o kogo chodzi. Byłem zaskoczony, gdyż w Izraelu istniała już w tym czasie orkiestra symfoniczna, plac, ulica oraz laszek noszące jego imię. Bez trwałego wpływu pozostał też fakt, że w roku 1982 stworzona 46 lat wcześniej przez Hubermana Filharmonia Izraelska zorganizowała, z okazji setnej rocznicy urodzin wielkiego skrzypka, tydzień koncertowy z udziałem największych współcześnie żyjących sław światowej wiolinistyki. Wystąpili wówczas: Ida Haendel, Ivry Gitlis, Isaac Stern, Henryk Szeryng, Itzak Perlman, Pinchas Zuckerman i Shlomo Mintz.

Izrael ma szczególne powody, aby pamiętać o Hubermanie. Nie mniejsze, wszak powody mają inne kraje, zwłaszcza zaś jego ojczyzna – Polska. Częstochowa, miasto w którym Huberman się urodził w roku 1997 uroczyste obchodziła 50. rocznicę śmierci artysty – w czerwcu zorganizowano tam I Festiwal Wiolinistyki im. Bronisława Hubermana. Ta bardzo starannie przygotowana impreza z udziałem wybitnych, głównie polskich skrzypków, swoim zasięgiem nie przekroczyła jednak ram wydarzenia krajowego.

Do państw, z którymi Bronisław Huberman czuł się bardzo związany należała z pewnością także Austria i Niemcy. Dziwne to, ale w tych krajach trudno znaleźć dziś dowody okazjonalnego choćby zainteresowania osobą wspaniałego skrzypka.

Jubileusze lat 1982 i 1997 przeminęły, a Huberman pozostaje w dalszym ciągu w mroku zapomnienia.

Często zastanawiałem się nad przyczynami takiego stanu rzeczy. Pomyślałem o śmierci artysty w roku 1947. Nie było w związku z nią wielkich uroczystości, przemówień, kamer filmowych.

W okresie, w którym narody Europy zaabsorbowane były jeszcze konsekwencjami II wojny światowej: trudnościami gospodarczymi, podliczaniem bolesnych strat, tragediami osobistymi, śmierć tak wybitnej nawet jednostki mogła przejść niezauważona wobec tytułu niewyjaśnionych ciągle problemów i nie zagojonych ran milionów ludzi.

Z upływem lat postać Hubermana, pomijając nieliczne artykuły okolicznościowe, coraz rzadziej pojawiała się nawet w specjalistycznych publikacjach. Technicznie niedoskonałe przedwojenne nagrania wielkiego skrzypka poszły do lamusa. Stopniowo zanikały możliwości ich odtwarzania i kontakt powojennej publiczności z muzyką w interpretacji Hubermana został ostatecznie przetrwany.

Dopiero od kilku lat, dzięki najnowszemu zdobyczom techniki na płytach CD odtwarza się stopniowo tamte unikatowe zapisy. Huberman pozostaje jednak nadal zapomnianym mistrzem smyczka, zapomnianym geniuszem końca XIX stulecia i pierwszej połowy wieku XX.

Przeglądając się wielokierunkowej działalności Hubermana – artysty, organizatora życia muzycznego, kompozytora, pedagoga, pisarza, wreszcie działacza społecznego i polityka, nie sposób nie zauważyć, że mamy tu do czynienia z wybitną indywidualnością – erudyta, myślicielem, wielkim humanistą. Europejczykiem, który, chociaż żył i działał w „starej Europie” marzył i próbował wcielać w życie te ideały i pryncypia, które próbuje realizować dzisiejsza Europa.

Na podstawie prywatnie przeprowadzonych sondaży mogę stwierdzić, że nawet w środowiskach muzycznych, pośród melomanów, osoba Hubermana nie jest znana. W Polsce, na przykład, na pytanie o nazwisko największego polskiego skrzypka XX wieku prawie nikt nie wymienia Bronisława Hubermana. Konstatacja ta nie ma nawet charakteru krytycznego, jest jedynie stwierdzeniem faktu. Toteż marzeniem autora jest, aby wynik jego wieloletniej pracy choćby w małym stopniu przyczynił się do zmiany istniejącego stanu rzeczy. Swoją wszechstronną działalnością wielki artysta Bronisław Huberman zasłużył na godne miejsce w historii polskiej, izraelskiej, żydowskiej, europejskiej i światowej kultury.

Ostatnie lata trzeciego dziesięciolecia

Czas, by podjąć ponownie temat wszechstronnej aktywności Bronisława Hubermana i zwrócić uwagę na niektóre jej aspekty. Najważniejszy jej element – plan koncertowy na sezon 1928-1929 obejmował 95 koncertów, (w samej tylko Holandii – w październiku 1928 roku artysta wystąpił 20 razy), zaplanowanych w 18 krajach, oczywiście nierzadko w połączeniu z wykładami na temat ruchu paneuropejskiego. Spośród koncertów szczególnym echem odbił się występ paryski, o którym gazeta „Le Figaro” (31 I 1929) napisała: „Bardzo osobista wizja muzyki Beethovena i Brahmsa pozwala zaliczyć Hubermana do czołówki wykonawców, łączących klasyczną tradycję z nowoczesną koncepcją muzykowania. Usłyszeliśmy artystę w szczególnych okolicznościach, kiedy to grał *Koncert* Brahmsa. Wykonanie ta-

kie może szybko spowodować zmianę opinii, jaka na temat muzyki tego kompozytora panuje powszechnie we Francji. Pan Huberman był tego dnia nadzwyczajny”.

Po sukcesie nadsekwąńskim nastąpiła podróż koncertowa o szczególnym dla artysty znaczeniu. Huberman po raz pierwszy odwiedził Egipt oraz Palestynę. W marcu 1929 r. dał jeden koncert w Jerozolimie i dwa w Tel Awiwie, w tym ostatni – dla robotników w kibucu. Na przełomie lat 1928-1929, w przerwach między licznymi podróżami, Bronisław Huberman nagrał dla firmy płytowej Columbia szereg utworów na skrzypce z fortepianem m.in. Brahmsa, Sarasatego, Zarzyckiego, a także własne transkrypcje niektórych dzieł Chopina. Nagrania te, a także zapisany w 1929 roku wspólnie z Berliner Staatskapelle pod dyktando Hansa Wilhelma Steinberga (Williama Steinberga) *Koncert skrzypcowy D-dur* Piotra Czajkowskiego, zaliczyć należy do najbardziej interesujących zapisów w historii skrzypcowego wykonawstwa. Drugie, także doskonałe – dokonane zostanie w roku 1946 pod dyktando Eugeniusza Ormandy’ego.

W końcu lat dwudziestych (27 X 1928) przygotował Huberman dla Universal Edition kolejne transkrypcje: *Marsza charakterystycznego* Schuberta oraz *Walca cis-moll* Chopina. Honorarium wyniosło: 6000 franków szwajcarskich, (pierwsze kontakty z wiedeńskim wydawnictwem nawiązał skrzypek już w roku 1910). I jak by tego było mało – wcześniej artysta opublikował w norymberskim „Acht-Uhr-Blatt” (1 II 1928) artykuł, w którym zajął się pozytywnymi korelacjami między muzyką klasyczną a jazzową.

W końcówce lat dwudziestych nie obeszło się oczywiście bez różnych koncertów dobroczynnych i okazjonalnych. Na początku czerwca 1929 r. odbył się w wiedeńskim Konzerthauzie pod protektorem dwóch znanych polityków dr. Michaela Hainischa i dr. Ignatza Seipela uroczysty koncert, z którego dochód przeznaczono na dofinansowanie tamtejszej Biblioteki Narodowej oraz Ruchu Paneuropu. Huberman ze stowarzyszeniem Wiedeńskich Filharmoników pod dyktando Franza Schalksa, grał koncerty Mozarta, Brahmsa i Czajkowskiego. Dwa miesiące wcześniej miał miejsce inny koncert – także o charakterze dobroczynnym. Odbył się on w Warszawie, a zorganizowany został w związku z koniecznością spłaty przez stołeczne Towarzystwo Przyjaciół Domu Chopina pożyczki w wysokości 40 000 zł, zaciągniętej w związku z wykupieniem i remontem dworku w Żelazowej Woli – miejscu urodzenia wielkiego kompozytora. Bronisław Huberman cały dochód z występu w stołecznej Filharmonii (17 IV 1929), podczas którego wykonał koncerty skrzypcowe Beethovena i Szymanowskiego, przeznaczył na ten właśnie doniosły cel. Zaprzyjaźniony z Hubermanem Stanisław Meyer w opublikowanym w londyńskich „Wiadomo-

ROYAL ALBERT HALL

Manager: C. S. TAYLOR

Friday, September 28th, at 7 p.m.

RE-APPEARANCE
OF THE CELEBRATED VIOLINIST

BRONISLAW HUBERMAN

WITH THE
LONDON SYMPHONY
ORCHESTRA

Conductor:

DR. MALCOLM SARGENT

IN AID OF

St. THOMAS' HOSPITAL

Hon. Management

HAROLD HOLT, Ltd.

PRICES: £1.10, 12s., 10s., 8s., 5s., 4s., 3s., 2s.
BOXES: By arrangement

May be obtained from the ROYAL ALBERT HALL (Kensington 3651); CHAPPELL'S BOX OFFICE, 50, New Bond Street (WATFOL 7402), and all Ticket Agencies.
A reserve informed advance should accompany all applications for seats.

Ticket Co., Ltd., London, E.C.2.

P.T.O.

פ"ספרי מחסן מוסקלי תל-אביב
יום חמישי 1931
באולם אודר ש"ר
מחזור 9
תחילת
הקונצרט
ברוניסלב הוברמן
המסגרת
הקונצרט
התכנית:
F. Schop's Waltz and Piano Sonata, Op. 44
Thursday 15.131 at 9 p.m. sharp. "Oriel-Shem" Hall, Warfoul Street
SOLE CONCERT
BRONISLAW HUBERMAN
at the Piano SIEGFRIED SCHULTZE.
PROGRAMME
Soprano: Sarah Brown; Violin: Charles Goldstein; Cello: Samuel; Piano: "Oriel-Shem"
Tickets at F. Schop's Musical Store, Jaffa, Tel-Aviv Road

THE PHILHARMONIC-SYMPHONY SOCIETY

1842 OF NEW YORK 1878

CONDUCTOR 1944

ARTHUR ROSENBERG, Musical Director

1945 ONE HUNDRED FOURTH SEASON 1946

CARNEGIE HALL

SUNDAY AFTERNOON, DECEMBER 16, at 3:00

Rehearsal of the New York Philharmonic-Symphony Society

1944 (1944)

BRUNO WALTER

BRONISLAW HUBERMAN, Violin

PROGRAM

CORELLI "Christmas Concerto" Concerto Grosso

in G minor, No. 8, Opus 6.

"Fatto per la Notta di Natale"

I. Vivaldi, Concerto

II. Vivaldi, Concerto

III. Vivaldi, Concerto

IV. Allegro, Concerto

Mozart Concerto for Violin and Orchestra

in D major (K. 218)

SCHUMANN Symphony in B-flat major, No. 1, Opus 38

I. Andante un poco maestoso; Allegro molto vivace

II. Larghetto

III. Scherzo, molto vivace

IV. Allegro animato grazioso

(Poco adagio tempo)

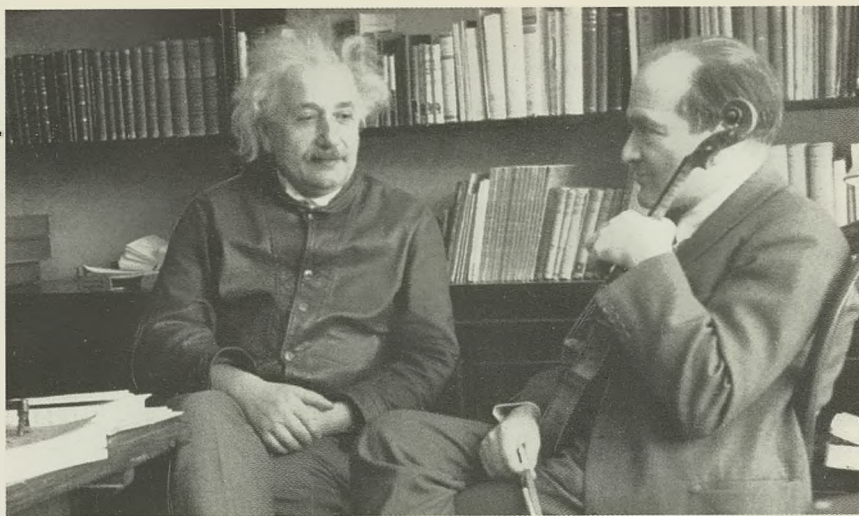
ARTHUR ROSENBERG, Manager BRUNO ZERATO, Associate Manager

THE STEINWAY is the Official Piano of The Philharmonic-Symphony Society

"The Victory Band"

COLUMBIA AND VICTOR RECORDS

This concert will end at approximately 4:15



Albert Einstein i Bronisław Huberman

ściach” (3 VIII 1947) artykule-nekrologu, poświęconym polskiemu skrzypkowi napisał, że przedstawicielom Towarzystwa Przyjaciół Domu Chopina artysta proponował nawet całkowite pokrycie pożyczki. Na takie rozwiązanie nie wyrażono jednak zgody argumentując, że zaistnienie muzeum – Domu Chopina – powinno być efektem składki całego narodu. Znany pianista Raul Koczalski w kilka lat później w swoim artykule poświęconym książce Hubermana pt. *Ojczyzna Europa*, nawiązując do tematu „Huberman a Polska”, napisał: (...) Dodam jeszcze, że ściśle trzymając się swoich zasad, pozostał dobrym Polakiem, dając często dowody swego przywiązania do rodzinnej ziemi i swego holdu dla wielkich mężów Nieśmiertelnej Polski. Uratował bowiem dla kraju dom, w którym Chopin się urodził. W ostatnich latach dopomógł okazałej liczbie Polaków, nie mających funduszy na studia uniwersyteckie. Ta jego polska, na wskroś narodowa działalność jest o tyle miłszą i sympatyczniejszą, że nie używał jej dla celów reklamy. Pracuje, pomaga i – milczy, jak przystało na głębokiego myśliciela, na prawdziwego artystę i szlachetnego człowieka.

Oto cytaty z niektórych gazet europejskich:

Wśród skrzypków Huberman jest metafizykiem. Tam gdzie technika i wirtuozostwo kończy się, zaczyna rozbrzmiewać jego gra. Ten wybraniec przesiąknięty świętością swego posłannictwa pozwala ludzkości wziąć udział w objawianiu duchowych przeżyć.

Deutsche Zeitung Bohemia
(Praga 8 XI 1930)

Huberman grał – nie, on celebrował – Bacha, Mozarta, Beethovena. To znakomitość, która ciągle napawa zdumieniem. W wypadku Hubermana opowanie technicznych możliwości rozumie się (tak jak w mieszczańskiej atmosferze moralność) samo przez się.

Vossische Zeitung (Berlin 8 XII 1931)

Czy wykonuje Bacha, Lalo, czy Sarasatego, jedna cecha pozostaje zawsze: jego ton o nieporównywalnym charakterze, prawdziwe piękno prezentowane przez wspaniałego artystę, który jak medium kreuje to, co jest największe, najlepsze i najwznioślejsze, co rozpala pasję brzmienia. To wszystko jest doprawdy wielkie. Potężna siła wyobraźni, jego pojęcie o pracy, jego wzniosłość.

De Telegraf
(Amsterdam 21 X 1930)

(...) Możemy tylko powtarzać – Huberman, walczący czy to słowem bądź myślą o ideały zjednoczonej Europy, czy kładący skrzypce pod swój podbródek, pozostaje zawsze prorokiem. Jest artystą, w którego grze każda nuta płonie pasją i wznosi się ponad wszystko inne, coraz to wyżej, w regiony metafizyki. Jego artystyczny temperament, wspaniała nieskazitelna technika, znakomity iskrzący dźwięk, wydają się być przesiąknięte światłem słonecznym.

Nieuwe Courant
(Rotterdam 21 X 1930)

Na swoich wyżynach odtwórstwa Huberman pozostaje samotny. A my zastосуemy kolejną już wariację wcześniejszych sformułowań i zrekapitulujemy: Jego skrzypce przynoszą dwie pierwotne melodie: jedna zwiastuje bezgraniczne cierpienie ludzkości i pragnienie wieczności, druga – głębsza, śpiewa dźwiękiem dzwonów i wieści etos jego sztuki.

Neue Freie Presse (Wiedeń 3 XI 1930)

Huberman interpretował *Chaconnę* Bacha z takim mistrzostwem, że trudno temu dorównać. Ze wspaniałą pełnią brzmienia wibrują i śpiewają. Cóż za wzruszające crescendo.

Etoile Belge (Bruksela 25 X 1930)

Czas sukcesów

Rok 1931 rozpoczął 49-letni Bronisław Huberman od kolejnej podróży do Palestyny. Podobnie, jak to miało miejsce

w roku 1929, artysta występował rzadko: dał tylko 3 koncerty, w tym jeden w Tel Awiwie dla robotników-kibucników. W udzielonym wiedeńskiemu *Neues Wiener Journal* (14 I) wywiadzie wizytę swoją określił Huberman jako spełnienie immanentnej, częściowo jeszcze nieświadomej potrzeby wzięcia udziału w pewnym nieokreślonym wielkim dziele. Przy czym skrzypek reprezentował w tym wypadku przekonanie Europejczyka, który bezprzykładny rozwój regionu palestyńskiego widział w konieczności ścisłego utrzymania i kultywowania związków narodu żydowskiego z tradycją i teraźniejszością kulturalną starego kontynentu. Artysta określił siebie więc jako Europejczyka narodowości żydowskiej, ale – na pewno nie syjonistę. Raczej jako człowieka świetnie mogącego nadawać się do roli łącznika pomiędzy kulturą europejską, a rozwijającymi się podobnymi jej elementami w Palestynie, która w sferze ogólnego rozwoju bardzo mu zaimponowała. Niedaleka już przyszłość pokaże, że te niezawierające jeszcze konkretnych idei myśli przekute zostaną w czyn o znaczeniu historycznym.

Występy palestyńskie pod względem artystycznym dały początek bardzo aktywnej, drugiej połowie sezonu 1930-1931. Do okresu wakacji artysta wystąpił w kilkunastu krajach europejskich (Holandia, Węgry, Włochy, Polska, Niemcy, Austria, Francja) prawie 50 razy. Z pewnością do najważniejszych koncertów należały występy paryskie, z których główny, w Théâtre des Champs-Élysées 28 lutego 1931 r., połączony był z wręczeniem Hubermanowi przyznanego mu przez rząd francuski już wcześniej orderu Legii Honorowej.

Do Polski przybywał Huberman w tym okresie dwukrotnie. Marcowe koncerty wywołały zachwyty, o których wyraźnie podekscytowana siostra Karola Szymanowskiego – Zofia, w liście do brata (16 III 1931) napisała: „Nie masz pojęcia, co to był za szaleńczy entuzjazm na koncercie Hubermana. Po skończeniu podniósł się jeden niesamowity ryk. Już zgasił światło, a ludzie jeszcze w ciemnej sali klaskali i krzyczeli. Bo, co prawda, grał jak nigdy, ja miałam zupełnie chwilami wrażenie bezpośredniego kontaktu jego z zaziemską jakąś siłą, taki był natchniony. Brahmsa grał zupełnie niezrównanie”.

Jeszcze przed przyjazdem do Polski Huberman grał podczas tradycyjnego koncertu wielkopiątkowego w berlińskiej Scali. Nie kto inny, jak słynny muzykolog Alfred Einstein stwierdził w „*Berliner Tageblatt*” (4 IV): „Żadne skrzypce nie przemawiają silniej, piękniej i gwałtowniej, niż jego (...)”.

Żyd – Polak – Europejczyk

Huberman i jego żydowskość, przy niezaprzeczalnej polskości, to temat bardzo istotny, ale też temat-rzeka, z którym Polacy oraz polscy Żydzi

borykają się niemal od wieków. Huberman od dzieciństwa stykał się z problemem niechęci do Żydów. Urodził się w Polsce, która wówczas była pod panowaniem rosyjskim. Potem przebywał w Niemczech i Austrii, gdzie – już jako człowiek dorosły, konfrontowany był na co dzień nie tylko z antysemityzmem, ale także z popełnianymi na tym tle ekscesami oraz morderstwami. Władze w owych czasach tłumili agresję, ale wszechobecny antysemityzm polityczny narastał w podświadomości mas, a nawet elit w społeczeństwach powojennej Europy. Huberman zawsze interesował się sprawami polskimi. Wiedział dobrze o nieprawidłowościach w stosunkach polsko-niemieckich, o antypolskich incydentach, jakie miały miejsce np. podczas premiery opery *Król Roger* Szymanowskiego w Duisburgu, czy też o pobiciu przez bojówki niemieckie – jeszcze w roku 1929, polskich artystów katowickiego teatru, którzy przybyli do Opola ze spektaklem *Halki* Stanisława Moniuszki. Zarówno antysemityzm, jak i antypolonizm i w ogóle wszystkie owe „anty-izmy” uważał Huberman za wykwit zwyrodnień, skumulowanych w ramach procesów historycznych, zatem nieależących w naturze narodów.

Huberman był Paneuropejczykiem, nie mógł więc myśleć inaczej. Niezależnie od tego, co zdążył zaobserwować już w Niemczech, ciągle jeszcze wierzył, że na agresywne działanie nazistów należy odpowiadać zdecydowanie, ale nie należy dać się wciągnąć w niebezpieczną grę.

Huberman nie był zwolennikiem zamknięcia się grup narodowościowych w swoich kręgach kulturowych, a w kwestii żydostwa nie był jeszcze – na razie – zwolennikiem syjonizmu. Zmianę w postawie artysty spowodują w tym zakresie wypadki historyczne, jakie zaistnieją w Europie po roku 1933. Hubermanowskie pojęcie realizacji idei syjonistycznej będzie wszak zawsze opierało się na ścisłej symbiozie tego ruchu z tradycją cywilizacji europejskiej, którą Żydzi przez wieki współtworzyli.

Huberman pomagał krajowi, którego paszportem się legitymował i do którego był przywiązany – swojej ojczyźnie. A przybył do niej po raz kolejny w maju 1933 r. po to, aby wziąć udział w dwóch koncertach w Warszawie. O pierwszym napisano potem w „Kurierze Warszawskim” (4 V): „Geniusz wykonawczy (...) przemówił z jednakową mocą zarówno w Bachu, jak i w Mendelssohnie. W solowej *Sonacie* Bacha był filozofem, a w *Koncertie* Mendelssohna dowcipnym, czarującym, błyskotliwym, pełnym polotu causeurem (...)”.

Huberman uważał także polski antysemityzm, przekazywany w niektórych warstwach społecznych – przy niemałym udziale kościoła katolickiego z pokolenia na pokolenie na skutek czegoś, co miało swoje uzasadnienie historyczne. Był przy tym absolutnym przeciwnikiem



Bronisław Huberman, Arturo Toscanini i Palestyńska Orkiestra Symfoniczna

tendencji, które odrzucały wszelkie formy asymilacyjne w Polsce, a które były na rękę tym środowiskom żydowskim, które w asymilacji Żydów, czyli ich polonizacji, upatrywały groźbę odejścia od religii, a więc od podstawowego czynnika decydującego o przynależności do żydostwa.

W okresie międzywojennym byli w Warszawie oczywiście także i inaczej myślący Polacy – wywodzący się głównie z kręgów inteligentkich. U nich mistrzostwo gry Hubermana wzbudzało zawsze szczery podziw i zachwyt. Witold Gombrowicz wspomni później, że występy i płyty z nagraniami skrzypka należały do jego najprzyjemniejszych muzycznych doświadczeń.

Drugi koncert Hubermana w Warszawie odbył się dokładnie w setną rocznicę urodzin Brahmsa (7 V). Zebrani w warszawskiej Filharmonii słuchacze dobrze wiedzieli, że tego dnia polski skrzypek miał wystąpić w Berlinie. Tam właśnie z jego udziałem, a także wiolonczelisty Pabla Casalsa oraz pianisty Artura Schnabla, miał się odbyć planowany od 1931 r., a odwołany potem przez nazistów Międzynarodowy Festiwal Brahmsowski. Karol Stromenger w „Gazecie Polskiej” (9 V) zanotował: „Nigdy Huberman nie zdawał się nam tyle wkładać skupienia, zapалу artystycznego i wysiłku jak tym razem, nigdy sala Filharmonii Warszawskiej nie przyjmowała gry Hubermana w tak wyjątkowym nastroju”.

Z Warszawy Huberman udał się do Wiednia. Tu w połowie maja odbył się dedykowany Johannesowi Brahmsowi Festiwal Muzyczny, w którym wystąpili wszyscy odrzuceni przez Berlin artyści: Pablo Casals, Bronisław Huberman, Artur Schnabel oraz znany kompozytor, jednocześnie świetny altowiolista, Paul Hindemith.

Zalążek nowej idei

Na Bliski Wschód udał się Huberman wraz synem jeszcze pod koniec grudnia 1933 roku. Droga wiodła

do Egiptu. Potem drogi obu panów się rozeszły. Obszar ten od roku 1920 przydzielony został Wielkiej Brytanii jako terytorium mandatowe. Do 1931 roku przybyło i osiedliło się tam ponad 100 tys. Żydów europejskich. Liczba ta powiększyła się, jak wiadomo, znacznie w latach trzydziestych. Z samej tylko Polski wyemigrowało wtedy ok. 110 tys. Żydów. To właśnie do nich – nowych mieszkańców Palestyny, przybył Bronisław Huberman z kolejną serią koncertów. Po pierwszym występie w Tel Awiwie (13 I 1934) artysta udał się do Jerozolimy, gdzie następnego dnia udzielił wywiadu dziennikarzowi wiedeńskiego „Neues Wiener Journal”. Huberman stwierdził, że nie bardzo jeszcze rozumie, dlaczego musiał do Palestyny przybyć po raz kolejny. Przeczuciwał, że buduje się tu fundament pod wielkie, niezwykle ważne dla przyszłości dzieło. Artysta wiedział, jakim kosztem rodzi się tutaj nowe życie. Po raz kolejny też zwrócił uwagę na niezwykle ważny – jego zdaniem – aspekt tworzenia nowej jakości w ścisłym powiązaniu z tradycją cywilizacji europejskiej i stałego kontaktu z kulturą Zachodu. W odcieciu się czy też nieprzestrzeganiu tych wskazań widział skrzypek ogromne niebezpieczeństwo sprowincjonalizowania się Palestyny pod względem kulturalnym i duchowym. Huberman zaczął więc powoli, aczkolwiek jeszcze ostrożnie, nabierać przekonania do syjonistycznej idei powstania państwa żydowskiego. Bez wątpienia wielki wpływ na nowe spojrzenie miały wydarzenia w Niemczech: „Jeżeli dotąd nie stałem się jeszcze aktywnym syjonistą to nie dlatego, że byłem dotąd złym Żydem, ale z powodu wiary, że tylko Europa daje możliwość rozwijania się żydowskiego geniuszu. Inna sprawa, że wierzyłem w to, zanim zobaczyłem, jakie ofiary poniesione zostały w Palestynie. (...) Moim zdaniem udział narodu żydowskiego w rozwoju kultury europejskiej jest o wiele silniejszy, niż by to wynikało ze stanu ilościowego”. Do swojego wieloletniego sekretarza ar-



Tel-Aviv, Audytorium Federica R. Manna przy ulicy Humana 1 – siedziba Izraelskiej Orkiestry Symfonicznej

tystycznego Ericha Alliny napisał Huberman z Tel Awiwu (21 I 1934), że (...) Palestyna rozwija się w sposób tak niebywały, iż prawdopodobnie jeszcze po stuleciach będzie się o tych czasach mówiło jak o nowym biblijnym cudzie. Powyższe stwierdzenie skrzypek wyniósł z obserwacji prawidłowego, jego zdaniem, równoległego rozwoju wielu czynników: rozkwitu plantacji pomarańczowych jednocześnie z budową osad, powstawaniem muzeów, niewielkich towarzystw symfonicznych, grup teatralnych, bibliotek i uniwersytetów.

W dalszym ciągu swojego listu do Ericha Alliny, pisanego podczas pobytu nad Morzem Martwym (21 I 1934), Huberman skonstatował jednak, że jako Paneuropejczyk syjonizm w gruncie rzeczy odrzuca, ponieważ (...) nie ma niczego bardziej europejskiego jak Żydzi i ta pogoń za jakimś narodowym ideałem poza Europą wydaje mi się przejawem dezercji przed własną misją, abstrahując od złośliwości, niewdzięczności oraz ignorancji, jakimi narody europejskie

kwitują rzeczywiste osiągnięcia Żydów. W dalszym ciągu swoich rozważań Huberman przyznawał, że w kwestii syjonizmu częściowo zrewidował swoje poglądy, lecz to, co się w Palestynie dzieje pragnąłby widzieć nie jako odejście od Europy, ale poszerzenie jej kultury, co z paneuropejskiego punktu widzenia mogłoby przynieść owoce w przyszłości.

Interesującą na tym tle przedstawiają się uwagi polskiego dziennikarza Ksawerego Pruszyńskiego, który Palestynę odwiedził w 1933 r.: „W Polsce o Palestynie żydowskiej mówi się zwykle dowcipnie. Każdy z nas przypomni sobie z największą łatwością szereg krotechwil na ten temat. W Palestynę się nie wierzy. Nie wierzymy nie tylko w to, by Żydzi tam wyjechali, ale w ogóle w to, by Żydzi tam jechali. Nie wierzy się, by naprawdę pracowali na roli. (...) Nie wierzy się w Tel Awiw. Jest to miasto sztucznie powstałe, by znieść kapitał amerykański. I w ogóle wszystko jest sztuczne. Neguje się Palestynę”.

Po opisanii kilku konkretnych przykładów dotyczących rolniczego, go-

spodarczego i kulturalnego rozwoju żydowskiej Palestyny, Pruszyński konkluduje: „Na tych paru przykładach pragnąłbym uzmysłowić jedną rzecz: że dzieło palestyńskie jest *un fait accompli* (faktem dokonanym), nie zaś mitem. Ale jeszcze jedno. Bardziej niż nowoczesne asfaltowe szosy przecinające bezdroża, bardziej niż wieś żydowska, która potwierdza, że przecież ten naród ma powołanie do ziemi, bardziej niż nowoczesność, europejskość kulturalna tego kraju, który z jednej z najbardziej zaniedbanych i głuchych prowincji rozpadającego się bezwładnie mocarstwa przedzierzgać się w złote jabłko nieznające dziś kryzysu, przemawia rzecz inna: ogrom uczynionego tu wkładu. Zmienienie narodu handlowego na rolniczy, ciągnięcie go z krańców świata do ziemi, skąd jego ojcowie wyszli przed tysiącami lat, wskrzeszenie zmarłego w liturgii języka – oto kilka momentów, które chyba dowodzą, jak ogromnie dużo trzeba tu było zrobić, jak ogromny był wkład umysłowy i czynny żydostwa w Palestynę. Żydostwo – mówi się powszechnie – inwestowało przez całe lata w rewolucję światową. Ale obok nich inwestycje w Palestynie są niemal jeszcze większe”.

Huberman, którego poglądy na powyższy temat okazały się nierzadko zbieżne z impresjami Pruszyńskiego, przybył do Palestyny przede wszystkim po to, aby dawać koncerty. Trzynastą razą wystąpił przed publicznością trzech najważniejszych miast: Tel Awiwu, Jerozolimy i Haify, w tym także dla studentów oraz robotników. Wyszło go w sumie 18 tys. osób. Podczas czterech koncertów towarzyszyła skrzypkowi działająca na tamtejszym terenie niewielka, przeciętnie grająca The Palestina Symphony Orchestra kierowana przez Josepha Weissgerbera. Artysta przeprowadził z tym zespołem 6 prób. Dyrygował Wolfgang Friedländer.

Trzy czynniki – mówi o nich Huberman w listach do Ericha Alliny: fascynacja rozwojem Palestyny, nagłe zrozumienie, że w tym miejscu mogłaby powstać orkiestra z prawdziwego zdarzenia i wreszcie pewność, że dla takiego zespołu nie trudno będzie znaleźć odpowiednich muzyków, przyczyniły się do zakiełkowania w głowie Hubermana idei założenia w Tel Awiwie wielkiego zespołu filharmonicznego – nowej Palestyńskiej Orkiestry Symfonicznej.

Dodatkowym powodem zainicjowania tego projektu była chęć niesienia pomocy wielu żydowskim muzykom, którzy w Niemczech hitlerowskich z dnia na dzień znaleźli się na ulicy, bez środków do życia. Podczas pobytu w Jerozolimie Huberman zebrał więc wokół siebie kilka znamienitych osób, którym przekazał w szczegółach plan realizacji swojego zamierzenia. Patronat nad projektem przyjął późniejszy prezydent Towarzystwa Filharmonicznego, mer Tel Awiwu – Meir Dizengoff. Jego imieniem nazwana jest dziś główna ulica tego pięknego miasta. ■

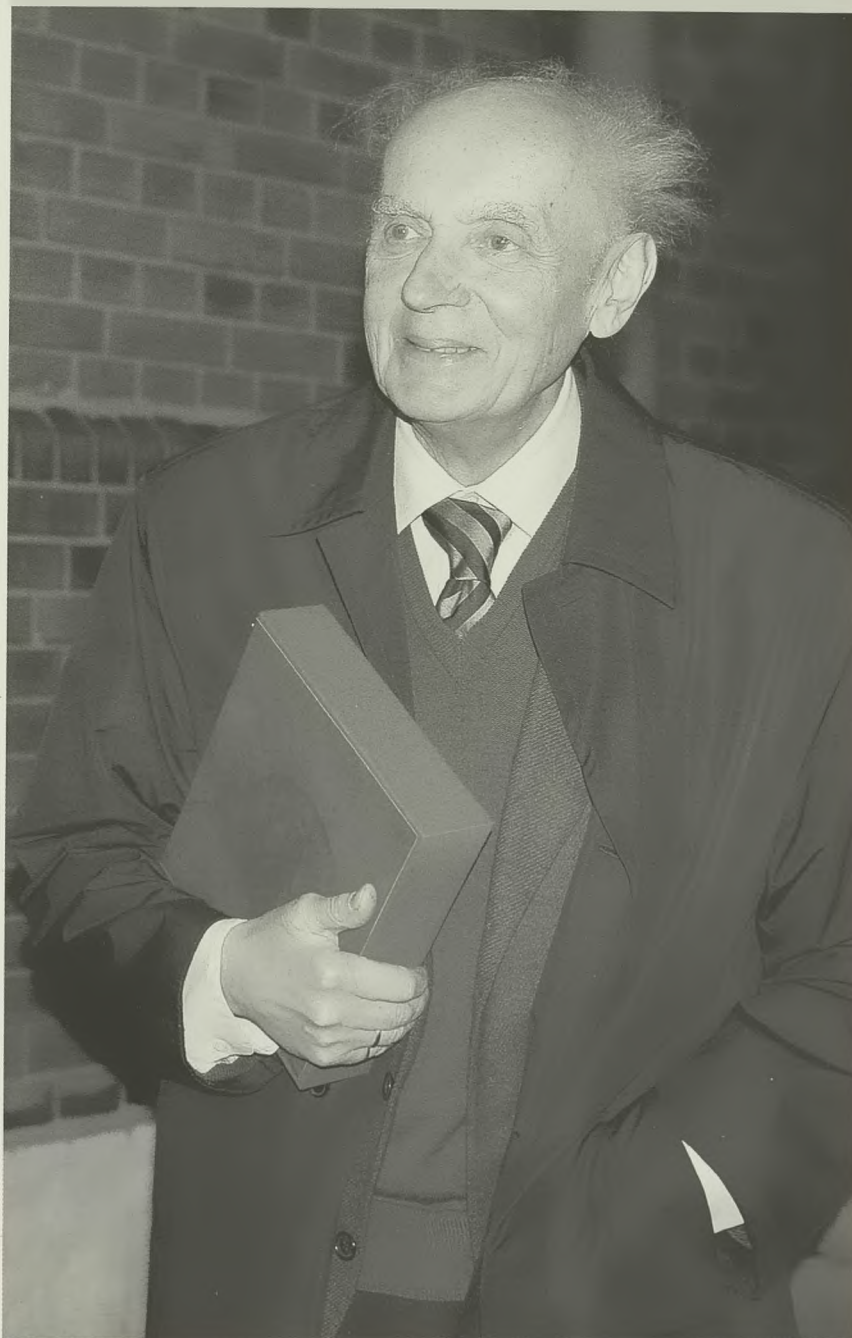


Filharmonia Chęstochowska im. Bronisława Hubermana

Jego dzieła opierają się próbie czasu. Zarówno te komponowane w porywie chwili, jak i te wyznaczające, wraz z utworami Henryka Mikołaja i Krzysztofa Pendereckiego, linie rozwojowe polskiej awangardy, a potem zwiastujące odwrót od niej i wytyczające nowe tendencje polskiej muzyki. Donośnymi społecznie, ale przede wszystkim – artystycznie, były odpowiedzi kompozytora na „tu i teraz” w m.in. odzie *Béla Bartók in memoriam* – wstrząsającej dramatyzmem reakcji na tragiczne wydarzenia na Węgrzech 1956 roku, dynamicznym i „bolerowsko ekspresyjnym” *Exodus*, odebrany jako opowieść o polskim „wyjściu” 1980-1981, czy *September Symphony*, trzeciej symfonii, dla której impulsem stał się zamach na nowojorskie World Trade Center 11 września 2001 roku. Polską szkołę kompozytorską – kontrpropozycję wobec przeintelektualizowanej awangardy darmstadtzkiej – świetnie w dorobku Wojciecha Kilara ilustrują m.in. dynamiczny *Riff 62*, po którego wysłuchaniu krytyk *The New York Times’a* napisał, że *muzyka Kilara działa, jak op-art*, wyrafinowana szmerowymi i perkusyjnymi dźwiękami partytura *Diphthongos* czy ostatni refleks sonoryzmu – *Solenie*. Potem, przez *Upstairs-Dowstairs* oraz *Przegrywkę i koledę*, przyszło nowe. Z wielkim krzykiem *Krzesanego*, którym – jak zauważył Jan Krenz – Wojciech Kilar otworzył okno i wpuścił do zatekłego pokoju muzyki polskiej świeże powietrze. W tym nowym trwał kompozytor do końca. W tatrzańskiej epopei *Kościelca 1909*, *Siwej mgły* czy *Orawy* i w wielkiej muzyce religijnej – z wotywnym, kontemplacyjnym *Angelus*, zwycięską *Victorią*, przepelnioną modlitewnym skupieniem *Missa pro pace*, monumentalnym *Magnificat*, poruszającym pokorą i uwielbieniem *Te Deum* czy *Hymnem paschalnym*, prostą i bardzo osobistą *Modlitwą do Małej Tereski*. A były jeszcze symfonie, z piątą *Adwentową*, skomponowaną dla filharmoników śląskich, dwa koncerty fortepianowe i inspirowane Chopinem i Szymanowskim *Trzy mazurki* czy napisana dla Katowic *Uwertura uroczysta*.

Pan Wojciech ciągle jest z nami także poprzez muzykę filmową. Skomponował ją do ponad 130 obrazów takich mistrzów, jak Andrzej Wajda, Krzysztof Zanussi, Kazimierz Kutz, Roman Polański, Jane Campion i Francis Ford Coppola. Płyta ze ścieżką muzyczną jego *Draculi* rozeszła się po świecie w blisko dwumilionowym nakładzie. Bez Wojciechowego *Poloneza z Pana Tadeusza* Andrzeja Wajdy nie obejdzie się dziś w Polsce żadna przedmaturalna studniówka. Wojciech Kilar pozostał z nami.

W 85. rocznicę urodzin Wojciecha Kilara
(17 VII 1932, Lwów – 29 XII 2013, Katowice)



Fot. Zbigniew Sawicz

Jest z nami

MAREK SKOCZA

17 lipca tego roku skończyłby 85 lat, ale już od trzech i pół roku Wojciecha Kilara z nami nie ma. Pozostała jednak Jego muzyka i nasza o Nim pamięć. O dobrym człowieku – w najwyższym stopniu nadającym się do człowieczeństwa, jak to kiedyś pięknie ujął Gustaw Holoubek – i znakomitym kompozytorze, najstojniejszym katowiczanie z Lwowa.

Malarstwo barokowe na Śląsku na nowo odkryte

ANDRZEJ KOZIEŁ

Malarstwo doby baroku to bez wątpienia jedna z najbogatszych składowych dziedzictwa kulturowego dawnego Śląska. Nigdy wcześniej i nigdy później, w tym regionie, nie powstało tak wiele różnego rodzaju malarских realizacji: od monumentalnych dekoracji freskowych i malowideł emporowych, poprzez sztalugowe i tablicowe obrazy olejne, aż po kameralne książkowe miniatury oraz malarstwo na szkłe i porcelanie.

Dzięki dogodnemu położeniu geograficznemu na przecięciu europejskich szlaków handlowych, długiemu okresowi pokoju (1648-1740) i dynamicznemu rozwojowi gospodarczemu habsburski Śląsk, obejmujący wówczas ziemie od rzek Bobru i Kwisy na zachodzie po Wisłę, Przemszę i Brynicę na wschodzie od szczytowych pasm Sudetów na południu po wododział Odry i Warty na północy, stał się miejscem pracy dla wielu malarzy pochodzących z niemalże wszystkich najważniejszych ośrodków artystycznych ówczesnej Europy. Przyciągały ich lukratywne zlecenia na malarskie dzieła, które płynęły szerokim strumieniem zarówno od przedstawicieli Kościoła katolickiego oraz prohabsburskiej szlachty i arystokracji, jak i od stanowiących większość na tym terenie śląskich protestantów. W rezultacie dzisiaj,

mimo licznych zniszczeń i rabunków, w śląskich kościołach, klasztorach, kaplicach, pałacach, dworach, ratuszach i kamienicach oraz muzeach, galeriach i prywatnych kolekcjach wciąż znajdują się tysiące różnego rodzaju barokowych obrazów, wśród których są także znakomite dzieła klasy europejskiej. Nazwiska ich najwybitniejszych twórców stały się w powszechnej świadomości synonimami „wielkich mistrzów” dawnego malarstwa, jak ma to miejsce na Dolnym Śląsku w wypadku urodzonego w Królewcu Michaela Willmanna (1630-1706) czy na Górnym Śląsku w wypadku pochodzącego z Moraw Franza Antona Sebastianiego (około 1725-1789).

Już w końcu lat dziewięćdziesiątych XX w. rozpoczęte zostały w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego systematyczne badania nad fenomenem malarstwa barokowego na Śląsku. Ich zwieńczeniem stał się projekt badawczy zrealizowany w latach 2012-2016 w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki przez polsko-czeski zespół historyków sztuki (Marię Schenkovą, Danutę-Marię Chałat, Emilię Kłodę, Marka Kwaśnego, Małgorzatę Macurę, Mirosławę Sobczyńską-Szczepańską, Adama Szelągę i Monikę Żernik), kierowany przez piszącego tego słowa.

Rezultaty tego projektu przeszły najśmielsze oczekiwania. Podczas kompleksowych kwerend terenowych i archiwalnych, które objęły cały obszar polskiego i czeskiego Śląska w jego historycznych granicach, zostały odnalezione setki nieznanych wcześniej dzieł malarstwa barokowego i wydobyte z zapomnienia dziesiątki malarzy działających na tym terenie w XVII i XVIII w. Skala tych ostatnich odkryć łącznie z wcześniejszymi ustaleniami jest tak wielka, że można śmiało stwierdzić, że malarstwo barokowe na Śląsku zostało na nowo odkryte.

Celem wystawy przygotowanej w wili Caro w Gliwicach jest prezentacja najciekawszych i najbardziej spektakularnych znalezisk. Niestety, ze względu na rozmiary, stan zachowania, technikę i sakralną funkcję dzieł oraz ograniczoną powierzchnię wystawieniczą muzealnych sal na ekspozycję mogła trafić jedynie część z nowo odkrytych obrazów. Pełną prezentację wyników ostatnich badań przyniesie korpusowe opracowanie książkowe, którego publikacja jest planowana na jesień 2017 r. Jednak już teraz w salach gliwickiego muzeum można delektować się widokiem dwudziestu dziewięciu niezwykle dzieł malarstwa barokowego na Śląsku. Tylko częściowo pochodzą one ze zbiorów muzealnych. W większości są to obrazy, które zostały odkryte w kościołach i klasztorach oraz na plebaniach i w dużej części nie były jeszcze publicznie prezentowane. Wszystkie cechują się wysoką, a w niektórych przypadkach nawet wybitną klasą artystyczną i – co najważniejsze – pokazują nowe, nieznane dotąd oblicze malarstwa barokowego na Śląsku.

Dotychczas uważano, że w okresie baroku na Śląsku powstawały niemal wyłącznie obrazy religijne oraz portrety. Ostatnie odkrycia wyraźnie pokazują, że malarstwo na tym terenie było o wiele bardziej urozmaicone tematycznie. Choć przedstawienia religijne i portretowe stanowiły większość ówczesnej produkcji artystycznej tego regionu, to jednak powstawały także znakomite obrazy o tematyce mitologicznej, rodzajowej i pejzażowej, a także martwe natury. Co więcej, na Śląsku w dobie baroku czynni byli artyści, którzy specjalizowali się właśnie w tych gatunkach malarstwa, jak pochodzący z Quedlinburga i działający we Wrocławiu znakomity pejzażysta Johann Christian Bendeler (1688-1728), autor imaginacyjnego *Pejzażu z sarkofagiem* z 1720 r. Wysoką klasę artystyczną prezentują także inne obecne



Johann Georg Ernst, *Dziewczynka z sierpówką*, 3. ćwierć XVIII w., Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu

Nieznane arcydzieła, nieznani mistrzowie.
Malarstwo barokowe na Śląsku na nowo odkryte.
Muzeum w Gliwicach



Johann Heinrich Kynast, *Św. Małgorzata*, lata 50. XVIII wieku. Parafia rzymskokatolicka pw. Chrystusa Króla w Nowym Świątowie



Johann Conrad Pöhl, *Trójca Święta i Trójca Stworzona*, 1710-1720, klasztor pw. Trójcy Przenajświętszej – Bonifratrów we Wrocławiu

Fot. Andrzej Kozieł

Fot. Jerzy Buława



Johann Claessens, *Dedał przypinający skrzydła Ikarowi*, początek XVIII wieku, I Liceum Ogólnokształcące „Carolinum” w Nysie

na wystawie niereligijne dzieła. Dwa znakomite mitologiczne płótna: *Wulkan odpoczywający w kuźni* oraz *Deдал przypinający skrzydła Ikarowi* – rzadko przedstawiany w sztuce temat – zostały wykonane przez Johanna Claessensa (zm. 1716), urodzonego w Antwerpii i osiadłego w Nysie nadwornego malarza i kamerdynera wrocławskiego biskupa Franciszka Ludwika von der Pfalz-Neuburga. Italianizujący klasycyzm tych dzieł kontrastuje z urokliwą rodzajowością popiersiowego przedstawienia dziewczynki z synogarlicą, które wyszło spod pędzla Johanna Georga Ernsta (1703-1774), czynnego w Oleśnicy nadwornego malarza książąt oleśnickich: Karola Fryderyka II i Karola Christiana Erdmanna von Wirtembergów. Obrazom tym towarzyszy szeroka aż na 3 m, unikatowa *Panorama Cieplic Śląskich*, która została uchwycona znad lewego brzegu rzeki Kamiennej. To niezwykle dzieło, na którym ukazano nawet najdrobniejsze szczegóły wyglądu uzdrowskiej miejscowości w końcu XVII w. oraz otaczającego ją krajobrazu z górującym w oddali szczytem Śnieżki, cechuje tak zadziwiająca wierność, że mogłoby jej pozazdrościć mistrzowie holenderskiego pejzażu. Pod względem realizmu z obrazem tym może konkurować powstała w latach 1660-1680 para martwych natur o wanitatywną symbolikę, na których graficzne wizerunki mężczyzny (*vita activa*) i kobiety (*vita contemplativa*) zostały ukazane za pomocą iluzjonistycznego triku „obraz w obrazie”. Co ciekawe, stosowane w tych „świeckich” gatunkach malarstwa sposoby przedstawiania wywarły wpływ na ówczesne malarstwo religijne na Śląsku. Przykładem niech będzie zdobiące niegdyś refektarz klasztoru Bonifratrów we Wrocławiu monumentalne dzieło wrocławskiego mistrza cechowego Johanna Jacoba Eybelweisera Młodszego (1667-1744), który scenę *Św. Jan Boży kupuje ubrania biednym chłopcom* z cyklu przedstawień *Legenda św. Jana Bożego* (1739-1740) ukazał we wnętrzu sklepu sukienniczego w konwencji malarstwa rodzajowego, czy też wykonany przez legnickiego mistrza cechowego Jeremiasa Josepha Knechtla (1679-1750) obraz *Matka Boska Pomocna* – kopia cudownego wizerunku Maryjnego (*Mariahilf*) autorstwa Lucasa Cranacha Starszego (po 1536) z kościoła katedralnego pw. św. Jakuba w Innsbrucku – na którym wzorcowe przedstawienie zostało ujęte w złotą owalną ramę unoszoną przez dwa putta i ukazane jako „obraz w obrazie”.

Jeszcze nie tak dawno temu wysokie klasy malarstwo barokowe na Śląsku było kojarzone niemal wyłącznie z twórczością osiadłego w Lubiążu Willmanna, zwanego „śląskim Apulesem”, oraz pracującego dla górnośląskich fundatorów Sebastiniego, który zyskał przydomek „śląskiego Tiepola”. Dzisiaj obok tej sławnej dwójki artystów możemy wymienić kilkudziesięciu innych wybitnych malarzy, którzy pracowali na Dolnym i Górnym Śląsku w dobie baroku. Część z nich jest już znana badaczom i miłośnikom sztuki na Śląsku, jak – przykładowo – pochodzący z czeskich Nechanic jezuita Ignaz Raab (1715-1787), autor wizyjnego obrazu *Wieczera w Emaus* wykonanego dla klasztoru Cystersów w Rudach, czy urodzony w Mąkolnie koło Złotego Stoku opawski mistrz cechowy Joseph Lux (1743-1797), którego manieryczne i ekspresyjne malarstwo ilustruje wirtuozerskie płótno *Męczeństwo św. Barbary* – bez wątpienia model do nieznanego obrazu ołtarzowego. Ostatnie odkrycia nowych, nieznanych dotąd obrazów pozwoliły na docenienie twórczości tych malarzy oraz wielu innych aktywnych na Śląsku artystów. Tak stało się w przypadku opawskiego mistrza cechowego Antona Ernsta Beyera (1704-1773), specjalisty od tworzenia obrazów ołtarzowych, którego nieznanym wcześniej dziełem okazało się wyrafinowane płótno *Wieczera w Emaus*, pochodzące z kościoła parafialnego pw. św. Zygmunta w Kędzierzynie-Koźlu. Podobnie rzecz miała się w przypadku niezwykle płodnego wrocławskiego mistrza cechowego Johanna Heinricha Kynasta (1719-1792), autora znakomitego obrazu *Św. Małgorzata* z kościoła parafialnego pw. św. Małgorzaty (obecnie pw. Chrystusa Króla) w Nowym Świętowie. Co więcej, dzięki przeprowadzonym ostatnio badaniom udało się wydobyc z zapomnienia szereg niemalże całkowicie nieznanych malarzy, wśród których byli także wybitnie utalentowani artyści, jak choćby wspomniany już Ernst. Innym wcześniej prawie nieznanym, a dzisiaj wysoko cenionym malarzem był urodzony w Czeskim Krumlowie i osiadły we Wrocławiu wytrawny freskant Ignaz Depée (dąty urodzin i śmierci nieznane), który tworzył także obrazy olejne, o czym najlepiej świadczy znakomite płótno *Amplexus Christi* wykonane dla opactwa Cystersów w Rudach Wielkich. Zaś jako objawianie należy potraktować odkrycie twórczości Johanna Conrada Pöhla (1673-1724), specjalizującego się w malarstwie olejnym serwitura klasztoru Krzyżowców z Czer-

woną Gwiazdą we Wrocławiu, autora tak niezwykle obrazów, jak *Śmierć św. Józefa* oraz *Trójca Święta i Trójca Stworzona*, które cechuje niezwykle wyrafinowana, wręcz protorokokowa stylistyka.

Choć wiadomo było, że na Śląsku w dobie baroku działali malarze specjalizujący się w tworzeniu portretów, to jednak nikt nie przypuszczał, jak: wiele jeszcze ich nieznanymi prac kryją śląskie muzea, klasztory i plebanie i jak bardzo szeroki zakres rodzajów sztuki portretowej dzieła te prezentują. Znakomitą przykładowo nieczęsto spotykanego na Śląsku całopostaciowego reprezentacyjnego portretu kościelnych hierarchów w naturalnej wielkości jest wizerunek opata klasztoru Cystersów w Henrykowie, Constantina I Haschkego, autorstwa wybitnego ząbkowickiego portrecisty i malarza obrazów religijnych, Bernharda Krausego (1743-1803). Co ciekawe, do tego obrazu, należącego niegdyś do galerii portretów henrykowskich opatów, zachował się olejny model, który – jak wykazuje porównanie obu przedstawień – został dość wiernie powtórzony przez artystę w końcowym dziele. Półpostaciowym wariantem tego typu reprezentacyjnych portretów jest wizerunek księcia legnicko-brzeskiego Jerzego III, jednego z ostatnich męskich przedstawicieli śląskiej linii Piastów, namalowany po śmierci księcia w 1664 roku przez osiadłego w Brzegu nadwornego malarza książąt legnicko-brzeskich, Eschela Paritiusa (1622-1671). O wiele prostszą i swobodniejszą formułę prezentuje półpostaciowy wizerunek Friederiki Sophii von Lichtenberg z domu Bludowskiej, żony Friedricha Ernsta von Lichtenberga, mimo iż dzieło to pochodzi z reprezentacyjnej rodowej galerii portretów rodziny Bludowskich. Obraz ten został namalowany w 1742 roku przez długo niedocenianego wrocławskiego portrecistę Friedricha Jachmanna (1698-1772), który szczyt osiągnął otrzymanym od cesarza Karola VI przywilejem „wolności dworskiej” i tytułem nadwornego malarza króla Prus Fryderyka II. Z kolei obraz przedstawiający św. Bernarda z Clairvaux przed aniołem z Narzędziami Męki Pańskiej, to bez wątpienia kryptoportret opata klasztoru Cystersów w Krzeszowie Innozenza Fritscha, który wcielił się w postać świętego patrona zakonu cystersów. To prawdziwe arcydzieło malarstwa religijnego i sztuki portretowej zostało wykonane przez jednego z najwybitniejszych czeskich malarzy Petera Brandla (1668-1735), podczas jego pobytu w Krzeszowie w latach 1731-1732.

Był to wyraz wdzięczności artysty dla jego krzeszowskiego mecenasa, który doprowadził do uwolnienia malarza z więzienia w Hradcu Králové, gdzie siedział za długi, i zaferował mu pracę z bajońskim honorarium w wysokości aż 3000 guldenów. Co ciekawe, obraz Brandla najprawdopodobniej zapoczątkował unikatową galerię kryptoportretów tamtejszych opatów, kolejny bowiem znakomity malarz pracujący dla krzeszowskich cystersów, urodzony w Monachium Felix Anton Scheffler (1701-1760), dwadzieścia lat później (1752) wykonał niemalże identyczne pod względem wymiarów i kompozycji płótno *Św. Benedykt z Nursji*, które być może jest kryptoportretem następcy Fritscha – opata Benedicta II Seidla. Niewątpliwą atrakcją tej części wystawy jest namalowany przez Ernsta w 1764 r. autoportret w malarskiej pracowni wraz z całą rodziną – jedyny znany nam wizerunek tego typu z terenu Śląska. To unikatowe dzieło jest nie tylko przedstawieniem artysty-erudyty podczas przerwy w pracy w znakomicie wyposażonym przydomowym atelier (biblioteka, wzorniki, kolekcja obrazów i rzeźb, materiały i narzędzia do pracy), lecz także manifestacją wysokiej pozycji społecznej osiągniętej przez liczącego wówczas już sześćdziesiąt jeden lat nadwornego malarza oleśnickich książąt, który mógł się pochwalić bogatym i obszernym domem oraz liczną i szczęśliwą rodziną.

Wielka to szkoda, że żaden z wielkich mistrzów malarstwa doby baroku nie pozostawił po sobie na Śląsku podobnego autoportretu w pracowni. Ostatnie kwereńdy terenowe doprowadziły jednak do odkrycia innych, nieznanych dotąd dzieł ich autorstwa. Osiadły w Nysie Karl Dankwart (zm. 1705), znakomity freskant szwedzkiego pochodzenia i nadworny malarz polskiego króla Jana III Sobieskiego, okazał się być twórcą przepięknego obrazu *Wizja św. Antoniego Padewskiego*, który jest przechowywany w klasztorze Boromeuszek (dawniej Cysterek) w Trzebnicy. *Oeuvre* urodzonego w Antwerpii Johanna Franza de Backera (1680 – po 1737) – erudyty, artystycznego doradcy i nadwornego malarza wrocławskiego biskupa, Franciszka Ludwika von der Pfalz-Neuburga – powiększyło się o dwa znakomite płótna: półpostaciowe przedstawienie *Wieczery w Emaus* oraz wykonany około 1728 r. dla opata klasztoru Cystersów w Lubiążu Ludwiga Baucha, urokliwy obraz *Nauczenie Marii*. To luministyczne dzieło znakomicie współgra z nokturnowym ujęciem sceny *Pokutująca*

św. Maria Magdalena autorstwa osiadłego we Wrocławiu Holendra, Philipa Christiana Bentuma (około 1690 – po 1757), który jako kontynuator stylistyki szkoły lejdeńskiej specjalizował się w tego typu tenebrystycznych przedstawieniach.

Sporym zaskoczeniem było odnalezienie w Śmiczu i Nysie nieznanych cykli czternastostacjowych *Dróg Krzyżowych* pędzla znakomitego malarza z Ołomuńca, Josepha Ignaza Sadlera (1725–1767), który tworzył swe dzieła w charakterystycznej syntetycznej manierze malarskiej, ukształtowanej podczas nauki w ołomuńskiej pracowni Johanna Christopha Handkego oraz pobytu artysty w Rzymie i edukacji w tamtejszej Akademii św. Łukasza. Jako wielką niespodziankę należy potraktować odkrycie w Raciborzu obrazu *Ukrzyżowanie Chrystusa* z 1670 r. autorstwa najwybitniejszego malarza wczesnego baroku w Czechach, Karla Škréty Starszego (1610-1677). Co ciekawe, dzieło to, pochodzące z ołtarza bocznego w tamtejszym kościele parafialnym pw. Wniebowzięcia NMP, jest niemalże identyczne z innym obrazem czeskiego artysty *Ukrzyżowanie Chrystusa*, który należy do słynnego cyklu pasyjnego w kościele Jezuitów pw. św. Mikołaja na Małej Stranie w Pradze. Natomiast prawdziwą sensacją było odnalezienie w klasztorze Urszulanek we Wrocławiu nieznanego dzieła Willmanna – wirtuozersko malowanego w charakterystycznej szkicowej manierze, półpostaciowego przedstawienia św. Augustyna jako Ojca Kościoła. To arcydzieło malarstwa barokowego i jeden z najpiękniejszych obrazów z późnego okresu twórczości „śląskiego Apellesa” prezentowany jest na wystawie razem z oryginalną paletą malarską, która jest przechowywana w zbiorach Muzeum Tkactwa w Kamiennej Górze. Pochodzi ona z lubiąskiej pracowni Willmanna, co potwierdziły przeprowadzone w 2009 r. badania fizykochemiczne zachowanych na palecie resztek farb i bolusowego gruntu. Jest ona jednym z nielicznych elementów wyposażenia warsztatu lubiąskiego mistrza, które zachowały się do naszych czasów.

Prezentowane na wystawie wybrane dzieła malarstwa barokowego na Śląsku dobitnie nam uzmąwiają, że powstałe wówczas na tym terenie realizacje malarskie były nie tylko interesujące z ikonograficznego i historycznego punktu widzenia jako kulturowe świadectwa tamtej epoki, lecz także prezentowały zadziwiająco wysoki poziom artystyczny.

Większość z eksponowanych obrazów można bowiem traktować jako demonstracje wybitnych malarskich umiejętności ich twórców oraz popisy ich artystycznego mistrzostwa. Poszczególne dzieła dają widzom możliwość delektowania się znakomicie skomponowanymi scenami o niekiedy złożonej strukturze, świetnie ukazanymi postaciami ludzkimi wraz z ich otoczeniem, łądzącym ludzkie oko realizmem przedmiotów lub pełną wyrazu ekspresją gestów i mimiki twarzy, mistrzowskim światłocieniem nadającym przedstawieniom tajemniczą aurę, śladami wirtuozerskiego, niekiedy wręcz brawurowego prowadzenia pędzla czy wyrafinowaną kolorystyką opartą o paletę wyszukanych kolorów. Patrząc na zgromadzone na wystawie obrazy, można wręcz odnieść wrażenie, że mamy do czynienia nie z dziełami stworzonymi na prowincjonalnym obszarze monarchii habsburskiej, jakim w epoce baroku był Śląsk, lecz z przykładami sztuki powstałej w którymś z europejskich centrów artystycznych. Ta niewątpliwa wysoka wartość artystyczna obrazów sprawia, że zorganizowana w gliwickim muzeum kameralna wystawa jest atrakcyjna dla szerokiej rzeszy miłośników historii i kultury dawnego Śląska i jednocześnie stanowi swego rodzaju estetyczną ucztę dla koneserów dobrego malarstwa. I możemy jedynie żałować, rozkoszując się pięknem tych dzieł, że część z nich musiała aż tak długo czekać na odkrycie i dowartościowanie, a ich twórcy – na wydobyć z mroków zapomnienia i przywrócić im dawnej sławy.

Dr hab. Andrzej Kozieł – profesor nadzwyczajny w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego, kierownik Zakładu Historii Sztuki i Kultury Baroku. W latach 2012-2016 kierował projektem badawczym poświęconym fenomenowi malarstwa barokowego na Śląsku, realizowanym przez polsko-czeski zespół historyków sztuki w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Autor m.in. pierwszego polskojęzycznego monograficznego opracowania twórczości Michaela Lucasa Leopolda Willmanna (1630-1706) pt. *Michael Willmann i jego malarska pracownia* Wrocław 2013. Pierwszy kurator wystawy *Nieznane arcydzieła, nieznani mistrzowie. Malarstwo barokowe na Śląsku na nowo odkryte*, prezentowanej w Muzeum w Gliwicach pomiędzy 12 maja a 1 października 2017 roku.

Postscriptum DCLXXXVI

te dobre dni
kiedy mniej
cię nie ma

Postscriptum DCXCIII

jak tam jest?
wiekuiście
czasu nie ma

Postscriptum DCXCV

udzielasz się niechętnie
jakbyś wąpił
że jesteś

Postscriptum DCLXXXVII

uверить to jak
iść po śladach
których nie zostawiasz

Postscriptum DCXCIV

każesz się szukać
między wierszami
nieistniejących wierszy

Postscriptum DCXCVI

zejść ze znośzonych słów
w milczeniu
potem w ciszę

Postscriptum DCLXXXVIII

czas już
prostować ścieżki
może przyjdzie

Postscriptum DCLXXXIX

nie masz siebie
nie można mieć mniej
niż nic

Postscriptum DCXC

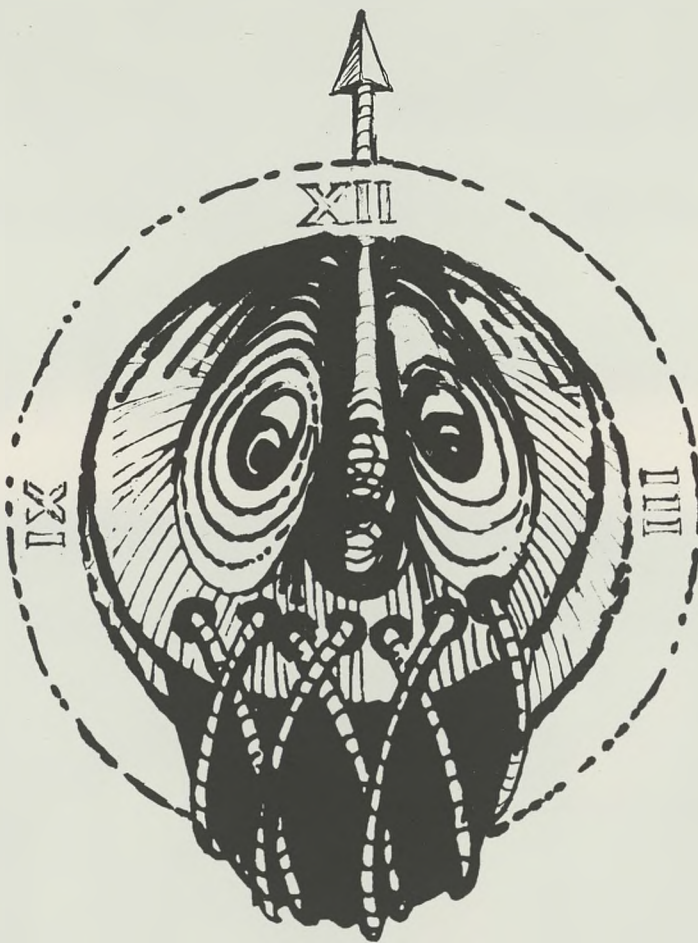
już po tamtej
niewiadomej stronie
odarty z przyjaznej doczesności

Postscriptum DCXCI

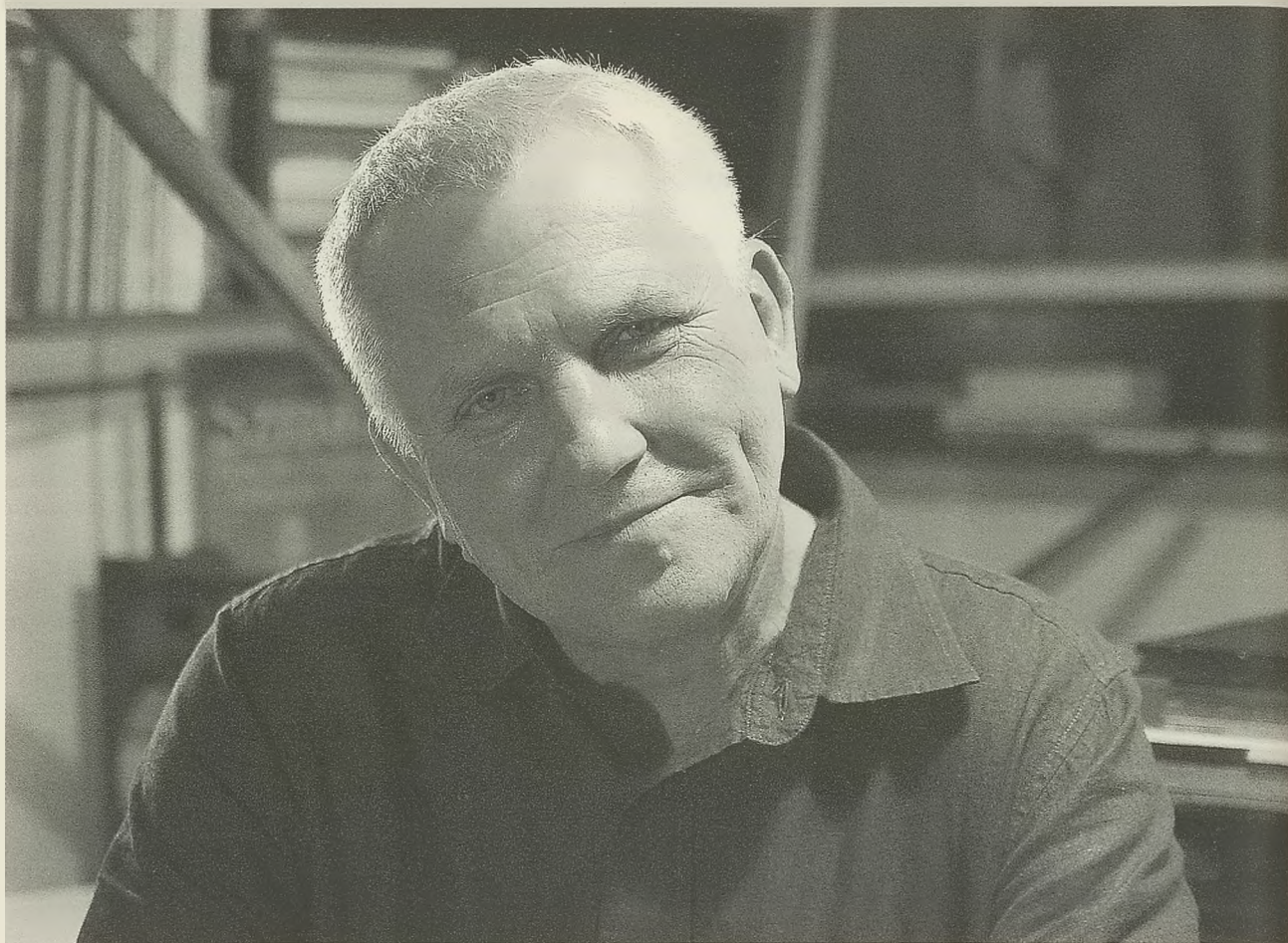
jak wyraziste musi być
twoje milczenie
by zyskać miano słowa

Postscriptum DCXCII

nie jest ciszą
tylko milczeniem
chce coś przez to powiedzieć



Rys. Wojtek Łuka



MICHALINA
WAWRZYCZEK-KLASIK

Ciche kadry



Subtelne, osobiste,
na tyle małe,
że wymagają przybliżenia,
pochylenia się nad nimi,
poświęcenia im czasu.
Jeżeli tak się stanie
– ujmują i zapadają w pamięć
na długo
– grafiki Jana Szmatocha.
Na przełomie maja i czerwca
mieliśmy okazję oglądać je
na żywo w katowickiej
Galerii Ateneum.
W ciemnej przestrzeni galerii
niewielkie, rozświetlone prace
były jak małe okna,
które kryją za swoją
szybą urzekający widok.

Jan Szmatloch, artysta, wieloletni profesor Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Od połowy lat 70. zajmuje się grafiką warsztatową (akwaforta, akwatinta) i rysunkiem. Jego prace na pierwszy rzut oka wydają się być tradycyjne, przedstawieniowe, wręcz akademickie. Ujmują rysunkową wirtuozerią, umiejętnym odtworzeniem fragmentu rzeczywistego świata, wyważoną kompozycją. Przywodzą na myśl dzieła dawnych mistrzów. Kiedy jednak poświęcić im więcej czasu, zaczyna się zauważać coraz więcej, odkrywać grę, którą ich autor prowadzi z widzem, z obrazową konwencją, z samym sobą.

Kadr

Pojęcie kadru związane jest z fotografią, zatrzymaniem chwili. Stanowi drobną część, wycinek obserwowanego świata, jest jak wspomnienie. Fragmentaryczne, ulotne, cenne.

Jan Szmatloch zapisuje otaczającą go rzeczywistość – od prostych przedmiotów – pojedynczych, martwych natur (tak jak te z czereśniami czy paprykami) po miejskie, śląskie pejzaże. Miasto ukazane zostaje raz w szerokim kadrze, prawie z lotu ptaka, a raz w dużo węższym, gdzie możemy zobaczyć pojedyncze budynki i ich fragmenty aż po kadr makro – same struktury ścian.

Bogaty rysunek, którym buduje tkanekę swoich grafik pozwala mu na dokonywanie wartościowania. Wydobyć tego, co najważniejsze, co ma być zachowane i na zatarcie mniej istotnych elementów. Działa jak pamięć, wybiórczo i subiektywnie. Niewielki format, czerń – biel, realizm przedstawienia, sposób komponowania obrazu przywodzą na myśl fotografię. Fotografię jako dziedzinę sztuki związaną z dokumentowaniem, opisywaniem i zachowywaniem. Towarzyszącą w codziennym życiu. Dlatego mimetyzm w twórczości Jana Szmatlocha jest nierozdzielnie związany z zagadnieniem pamięci.

Cisza

Prace artysty oparte są na równowadze, precyzyjnym wyważeniu każdej kompozycji. Pejzaże pozbawione postaci, zastygłe w czasie, pozbawione dźwięku i ruchu. Tak jakby jedyną osobą, do której należą, był ten, kto naprzeciw nich staje – wzorem tego, kto zapamiętał i „zapisał”. To osobista opowieść o miejscu, subtelna i refleksyjna. Drobnymi, delikatnymi śladami nawarstwiający się i budujący różnorodne struktury swoją dokładnością wskazują na czasochłonność i pełne spokoju opracowywanie graficznej matrycy. To prace, które nie atakują, nie krzyczą, raczej „wsiakają” w oczy. Cicho i miękko.



Jan Szmatloch, *Okno*, akwaforta

Śląsk

Śląsk w akwafortach Jana Szmatlocha to przede wszystkim miejsce życia. Pejzaż, który towarzyszy na co dzień, który poprzez to towarzystwo w pewnym stopniu ich autora konstytuuje. Wpływa na wyobraźnię, wrażliwość. Każde szukać piękna w miejscach nieoczywistych – odrapane mury, niszczone fanki, podwórka. I wzbudza silną potrzebę obrazowania tej przestrzeni, osławianej z pokolenia na pokolenie, trudnej, ale ważnej i kochanej. Wystarczy przywołać tutaj takie prace jak „Anker”, „Biała wstążka”, „In memorium” czy cykl „Bez adresu” i „Kalendarz śląski”.

Poezja

Prace Jana Szmatlocha mają w sobie wiele poezji. Poezji rozumianej jako wydobywanie, odkrywanie. Być może dlatego tak dobrze współgrały one

z wierszami Tadeusza Kijonki, w opublikowanym w 2013 roku wyborze wierszy *Czas, miejsca i słowa*. W zbiorze tym znajduje się krótki wiersz *Mój pokój*, który chcę tutaj przytoczyć, ponieważ ukazuje wspólne dla obu twórców miejsce życia w podobny sposób, jedynie przy użyciu innych mediów.

Mój pokój
Ściany pokoju mego szare
Tęsknią za słońcem i zegarem
Który opowie w niski wieczór
O ptakach co błękitem lecą

Niech słońce w oknie by zawisło
Rozsłało niebo ponad izbą
Że zeszkłe kwiaty ścian zmurszałych
Zakwitłyby i zapachniały

To opowieść osobista, nostalgiczna, to gra z pamięcią i zapominaniem, z opowiadaniem swojego świata ze świadomością nieuchronnego upływu



Jan Szmatloch, *Okno, akwaforta*

czasu. Bez patosu, zbędnych gestów, z pewnym dystansem.

Otwarte okno

Fenestra aperta – koncepcja obrazu jako otwartego okna jest pojęciem, które pojawiło się w renesansie. Jej autor – architekt, uczony – Leon Battista Alberti badał zasady perspektywy i zastanawiał się jak odtworzyć trójwymiarowy obraz na dwuwymiarowej płaszczyźnie. Dzieło malarskie w jego pojmowaniu miało być iluzyjnym, dokładnym odzwierciedleniem świata.

Miało oddziaływać jak widok z okna. Czyli pełnić funkcję, którą później przejęła fotografia. Takie odtwarzanie rzeczywistości, wręcz dokumentowanie jej, związane jest również z historią grafiki. Za pomocą precyzyjnego rysunku na płycie metalu utrwalano miejsca, zabytki, które mogli oglądać na własne oczy jedynie nieliczni. Szybka metoda powielania obrazu – produkcji odbitki graficznej, pozwalała na dostarczenie go szerszemu gronu zainteresowanych osób.

Jan Szmatloch do tych funkcji obrazu powraca, bawiąc się nimi i dodając

im kolejnych znaczeń. Wykorzystuje warsztat, zasady kompozycji, tematykę, są to jednak tylko sposoby do wykreowania wypowiedzi współczesnej, dotyczącej otaczającego go świata. Okno to w jego twórczości nie tylko rozpościerający się z niego widok, ale ważny element śląskiego pejzażu, to również nie tylko przedmiot umożliwiający spojrzenie na zewnątrz, ale też do wewnątrz – do wnętrza domu, związanego z osobistym, intymnym światem i jeszcze głębiej. Okno to przede wszystkim portal pozwalający dotrzeć do wspomnień, różnorodnych obrazów z przeszłości, do samego siebie.

Nature morte

I jeszcze kilka słów o martwych naturach prezentowanych na ostatniej wystawie. Pęczek papryk, kilka czerśni, ułożone jak w zielniku fragmenty roślin – stanowią maleńkie cząstki świata. Rzeczy „opisywane” w skupieniu, z dostrzeżeniem najdrobniejszych detali, zostają poprzez ten proces w jakiś sposób zarchiwizowane, zatrzymane. Widoczna w tych pracach przyjemność, odczuwana w obcowaniu z danym przedmiotem, pochylenia nad drobiazgiem, przekazywana jest odbiorcy. Tak samo jak zachęta do kontemplacji tego, co znajduje się tu i teraz.

Człowiek i miejsce

Twórczość Jana Szmatlocha oscyluje wokół zagadnienia miejsca.

Miejsca jako przestrzeni związanej z bliskimi nam osobami, wypełnionej przedmiotami, emocjami, wspomnieniami. Miejsca jako przestrzeni zamieszkiwanej. Człowiek i przestrzeń, w której się znajduje, traktowane są jako jeden organizm.

Oswajamy świat, w którym przyszło nam żyć, ale z drugiej strony on też oswaja nas. Stajemy się jego częścią. Nawet najbardziej osobista opowieść o danym miejscu ma znamiona uniwersalizmu, poprzez nieuchronną wspólnotę naszych doświadczeń. Miejsce staje się częścią nas niezauważalnie, cicho. Tak samo jak zapadają w pamięć prace, które można było do niedawna oglądać w katowickiej Galerii Ateneum.

Jan Szmatloch – urodził się w 1950 r. w Rudzie Śląskiej. Studiował na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (filia w Katowicach). Dyplom uzyskał w 1974 roku. Pracuje w macierzystej uczelni, jest profesorem katowickiej Akademii Sztuk Pięknych, prowadzi Pracownię Druku Wklęsłego. Uprawia grafikę warsztatową (akwaforta, akwatinta) i rysunek. Otrzymał stypendium twórcze Ministerstwa Kultury i Sztuki (Poznań 1978), stypendium Aldegrevier Gesellschaft (Münster 1985), stypendium „Nagroda Kulturalna Dolnej Saksonii, Śląsk 1992” (Hanower 1992). W latach 1975–2016 uczestniczył w 220 wystawach środowiskowych i krajowych oraz w ponad 85 wystawach grafiki polskiej na całym świecie. Uczestniczył również w międzynarodowych biennale i triennale grafiki, m.in. w Krakowie, Fredrikstad (wyróżnienie), Lublanie, Łodzi (medal), Frechen, Grado (nagroda), Baden-Baden, Grenchen, San Francisco, Biella, Londynie, Amadorze, Toronto (nagroda równorzędna, wyróżnienie), Bańskiej Bystrzycy (wyróżnienie), Leicester, Chamalières, Sarcelles, Bitoli, Warnie i Warszawie.

Instytut
gawędziarstwa

WITOLD TURANT

A stało się tak, że pewnego jesiennego dnia zapędziłem się aż na High Street. Tam znalazłem się przed budynkiem, na którym widniała tablica z napisem Scottish Storytelling Centre, czyli Szkockie Centrum Gawędziarstwa. Instytucja ta w kraju takim jak Szkocja jest czymś najzupełniej oczywistym. Ba, dziwiłbym się, gdyby jej nie było. Różne niesamowite i nadzwyczajne historie kłębią się dosłownie w powietrzu. Kiedy tylko wydostaniemy się z Waverley Station, który sam w sobie jest historią do opowiedzenia, a właściwie już opowiedzianą przez Waltera Scotta, powietrze drga tu od muzyki, oczywiście granej na dudach, a opowieści? Bardzo proszę – oto facet w okolicach czterdziestki w polowym mundurze kłęczy na chodniku przy wyjściu od strony Princes Street i prosi o wsparcie. Oczywiście weteran zamorskich harców brytyjskiej polityki, co zostało zapisane na odpowiedniej tabliczce. Dłuższą chwilę palę papierosa na ławce i oto widzę, jak od czasu do czasu weteran odzyskuje władzę w nogach i zasuwa całkiem ręco do najbliższego spożywczaka po kolejną puszkę piwa. Gdyby go zapytać, a opowieści? Bo w końcu człowiek pracuje, o jego dawne, a może i obecne życie, kto wie, jaką opowieść usłyszeliśmy. Nic zatem dziwnego, że powołano tu instytut od gawędzenia. Robi się to na estradzie, w pubie, w domowym zaciszu. Wystarczy spojrzeć na krajobraz i architekturę, by mieć pewność, iż jest tu o czym opowiadać. No i to opowiadactwo potraktowano, podobnie jak whisky, grę na dudach i rzucanie drewnianym balem, jako część narodowego dziedzictwa.

Gdyby nie te dawne opowieści, twórczość Waltera Scotta czy Roberta Louisa Stevensona, byłaby znacznie uboższa. Łatwo odnaleźć u obu autorów liczne wątki zaczerpnięte z dawnych legend i zasłyszanych w miejskich pubach i wiejskich zajadach opowieści. Stevenson nie stroni od historii upiornych, czemu nie należy się dziwić, jako że historia Szkocji obfituje w wątki krwawe i straszliwe, a gdy dodamy do nich posępny krajobraz z posępnymi górami i jeszcze bardziej posępnymi ruinami, to będziemy mieli komplet. Na wrzosowiskach na zboczach gór nocą szaleją wiedźmy i czarownice, a ruiny zamków są zamieszkałe lub przynajmniej nawiedzane przez różnego rodzaju niesamowite stwory. Bywają zjawy niosące swoje głowy pod pachą, inne włączają się bezużytecznie po zamkowych krużgankach, podzwaniając łańcuchami, jakby nie miały nic lepszego do roboty, a o tym, co może spotkać wracający późnym wieczorem z wiejskiego pubu wyludnioną drogą Szkot, lepiej nawet nie wspominać. Filmy opowiadające o szkockich zamkach sprzedanych wraz z upiornymi lokatorami bogatym Amerykanom nie wzięły się znikąd. Nie muszą dodawać, że owi lokatorzy nie byli entuzjastami takich transakcji, czemu dawali wyraz, i to jaki. No i mieli rację, bo nie wyprzedaje się dziedzictwa narodowego. Szkocka whisky na eksport? Proszę bardzo. Znam nawet Szkota, który uczy cudzoziemców gry na dudach. Ale szkockie upiory? Nigdy. Jednak w dobie rozszalałej turystyki i na to znaleziono radę. Nieopodal Instytutu Gawędziarstwa mieści się wejście do edynburskich lochów. Można także przejść podziemiami pod Royal Mile, szlakiem cmentarzy i grobów oraz odwiedzić sale tortur. Wielu organizatorów takich imprez reklamuje się, iż zatrudnia gawędziarzy, spośród których wielu jest laureatami popularnych tu konkursów. Trzeba się bać, a strach w najlepszym gatunku w cenie biletu.

Nie mogłem się nadziwić, że naród, który wydał żołnierzy znanych z odwagi i nieustępliwości, który wydał nadzwyczajne umysły Oświecenia, stworzył nowoczesny system bankowy, do tego stopnia lubi się straszyć. Pamiętajmy jednak, iż to w Szkocji narodził się Romantyzm i tu mają swój początek loże masońskie. Być może jest w tym wszystkim jakaś perwersyjna logika.

Liczne opowieści traktują o jasnowidzu z Braham, szkockim Nostradamusie. To bardzo ciekawa postać, nawet jeśli tylko jest wytworem wyobraźni. Zdania na temat istnienia bądź nieistnienia są podzielone, a sprawa jest na tyle poważna, że spierają się o niego historycy. Jest też trzecia szkoła, która utrzymuje, że jeśli nawet Coinneach Odhar alias Kenneth MacKenzie żył naprawdę, to jego przepowiednie przypisano mu znacznie później, a najczęściej już po wydarzeniach, które rzekomo przewidywał. Sceptyków najbardziej niepokoi wysoki stopień sprawdzalności przepowiedni jasnowidza. Z kolei jego entuzjaści właśnie w tym upatrują jego geniusz. Oczywiście tu aż się prosi o jakiś przykład, może dwa. Tak więc można by zacząć od krowy. A właściwie to od Fergusa, który za *wee dram of whisky* opowiedział mi historię tego proroctwa w pobliskim pubie.

– To, uważasz, wyglądało tak: Kenneth mieszkał po sąsiedzku z innymi członkami klanu MacKenzie z Fairburn. Pewnego dnia przepowiedział, że ich domostwo popadnie w ruinę, a w jednej z komnat zamieszka krowa, która tam się ociepli. Mało prawdopodobne, powiedziałbyś, tym bardziej, że z domostwa w Fairburn pozostała jedynie wieża. Co się jednak dzieje w 1851 roku? Kilkadziesiąt lat wcześniej ostatni MacKenzie z Seaforth, właściciel tego majątku odwała bezpotomnie kity, a ocalała z zabudowań wieżę jakiś okoliczny rolnik wykorzystuje jako stodołę z sianem, wypelnioną aż po strop, bo tutejszy naród jest bardzo praktyczny. Do wieży wchodzi cielna krowa bardzo łasa na sianko i jakoś udaje się jej przedostać na najwyższą kondygnację, ale brakuje jej konceptu, żeby zejść. Krowa siedzi tam i ryczy, zbiera się miejscowa publika z całej okolicy, by podziwiać niezwykle wydarzenie. Gospodarz nie spieszy się ze ściągnięciem jej na dół. Ostatecznie bydlę paszy ma w bród. Aż tu wreszcie krowa wydaje na świat cielaka i przepowiednia spełnia się w stu procentach.

- Czy aby na pewno nikt jej tam celowo nie zapędził?
- Dziwne pytania zadajesz. Nawet gdyby tak było, to co z tego? Miała być krowa? Była. Miała być wieża? Była. Miał być cielak? Był. Tylko Seaforthów miało nie być i nie było. Coś ci nie pasuje?
- Nie, nie. Wszystko gra. Tylko tak sobie myślę, że kiedy zna się treść przepowiedni i kiedy okoliczności sprzyjają, warto może jej trochę pomóc.
- Czy to coś złego?
- Ależ skąd.
- Mógłbym ci jeszcze kilka takich historii opowiedzieć, ale...
- Rozumiem. *Miss*, jeszcze jeden *wee dram* tego samego dla tego tu gentlemana.

Fergus przełknął sporą porcję ambrozji i odchrząknął.

– Powiem ci jeszcze, że nasz jasnowidz ustępuje popularnością takiemu Nostardamusowi z kilku powodów. Po pierwsze jego przepowiednie miały charakter raczej lokalny. Nie porywał się na przewidywanie losów świata, za to miał posłuch u bliższych i dalszych sąsiadów. Mówił im, co czeka przyszłe pokolenia ich rodzin i klanów. Szeroki świat mało go obchodził.

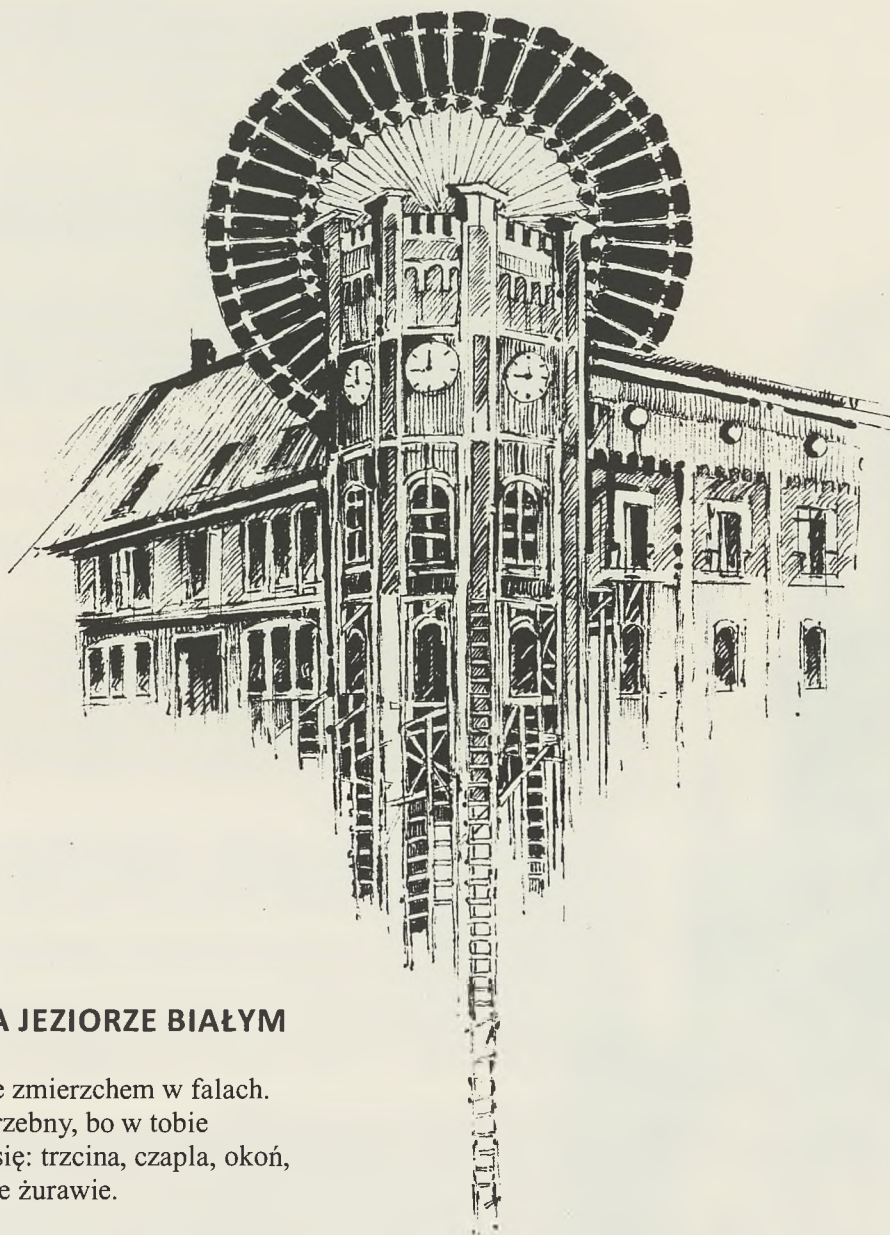
– A jednak słyszałem, że przewidywał kilka niezłych światowych zadym.

– Zgadza się, ale raczej przy okazji. Chodzi ci o tę historię z mostami na rzece Ness?



Rys. Wojtek Łuka

- Właśnie.
- To była całkiem lokalna przepowiednia. Całkiem przypadkowo zaplątała się w to II wojna światowa, a dokładnie twój piękny kraj.
- Jak to było?
- W jego czasach na Ness nie było mostów. On przepowiedział, że kiedy wybudują piąty, na świecie nastąpi chaos. Wybudowano cztery i nic się nie wydarzyło. Kiedy wybudowano piąty i mer sąsiedniego miasteczka miał właśnie przecinać wstęgę na nim, przybiegł zdyszany urzędnik z magistratu z wiadomością, że Hitler najechał Polskę. A co było dalej, wiesz.
- Ale most otwarto?
- No pewnie. Polska jest daleko, a most tutaj, a do tego bardzo ułatwiał ludziom życie. Poza tym nie jestem pewien, czy zaniechanie budowy powstrzymałoby Adolfa. Ale nie koniec na tym. Kenneth jasnowidz przewidział także dziewiąty most i nieszczęścia, jakie sprowadzi na okolicę.
- No to może lepiej było go nie budować.
- Nie pleć. Nie jesteśmy przesadni. Był potrzebny, to się wybudowało w 1987. I przez rok nic. Ale za to w 1988 mieliśmy wybuch i pożar na platformie wiertniczej Alpha w pobliżu Aberdeen. Zginęło 167 osób, nastąpił potężny wyciek do morza, a starty podsumowano na 1,7 miliarda funtów. Wystarczy?
- Owszem. Straszna tragedia.
- On to przewidział, tylko wiesz, nie miał pojęcia o ropie, wierceniach i takich tam.
- I wy tak sobie żyjecie z tymi przepowiedniami i nic nie robicie, żeby temu jakoś zapobiec.
- Daj spokój. W jaki sposób? Przepowiednia to los, a losu nie oszukasz. A poza tym niektórzy uważają, że go w ogóle nie było.
- Żartujesz!
- Nie. Nie ma żadnego wiarygodnego dowodu, że żył kiedykolwiek. To, co o nim wiemy, przekazuje nam ustna tradycja, tak jak ja teraz tobie. Wiesz, trochę się wypilo i łatwo coś dodać, ubarwić. Trzeba zainteresować słuchacza. Są natomiast zachowane w archiwum naszego Parlamentu akta sprawy z XVI w. dotyczące jakiegoś Coinneach Odhar oskarżonego o czary. Zachował się nakaz jego aresztowania. Nasz Kenneth Mac Kenzie miałby żyć w wieku XVII, czyli wszystko się rozjeżdża.
- No to był, czy nie było go?
- Tego nikt nie wie na pewno. Ale folklor i legendy mają swoje prawa. Poza tym nie wiadomo, co jeszcze może wypłynąć. U Anglików Robin Hood był przez stulecia legendą i co się nagle okazało? Że facet żył naprawdę. Pytanie, czy był taki, jakim go uwieczniono.
- Rozumiem. Tylko, że opis śmierci jasnowidza z Brahan brzmi tak prawdopodobnie, że uwiarygodnia tę postać.
- W rzeczy samej, jeśli coś brzmi wiarygodnie, to właśnie to. Skończył marnie. Jedni uważają, że spalono go żywcem w beczce ze smołą, a inni uważają, iż beczka była nabitą hacelami i że stoczono go w niej ze wzgórza, a dopiero potem spalono.
- Rzeczywiście oskarżono go o czary?
- Chyba nie. Była to raczej kwestia jednej nietaktownej przepowiedni. Otóż lord Seaforth pojechał w misji dyplomatycznej na polecenie króla do Paryża. Mijały miesiące, a hrabia nie wracał. Lady Seaforth, jego czcigodna małżonka miała wszelkie powody, by się niepokoić. Wezwała jasnowidza. Miał on już na swoim koncie kilka niekorzystnych, czy wręcz katastrofalnych, przepowiedni dotyczących klanu MacKenzie, a zwłaszcza Seaforthów. Przewidywał śmierć niektórych potomków, kalectwo, ruiny na skutek nieuleczalnego utracjuszostwa, a na koniec wygaśnięcie rodu. Jednak uchodziło mu to jakoś na sucho. Tym razem jednak przesadził. Na pytanie lady Seaforth, czy widzi co robi jej mąż, hrabia w Paryżu, odpowiedział z samobójczą szczerością, iż owszem, widzi go tarzającego się w rozpucie z całkiem sporą liczbą kobiet. Lady wpadła w gniew, podsycony poczuciem wstydu i życiowej porażki. Nie mając winowajcy pod ręką, wyżyła się na jasnowidzu, jak to nieraz bywało. Katarzyna Medycejska także była wściekła na Nostradamusa, kiedy przepowiedział śmierć jej królewskich synów. Kobiety nie wybaczą takich rzeczy.
- Zrobiło się późno. Do mojego pokoiku przy Bellevue Road był znaczny kawałek drogi. Wypiliśmy z Fergusiem *nightcap* i wyruszyłem w drogę, mając silnie ugruntowane poczucie ważnej roli gawędziarstwa w szkockiej tradycji ludowej. Co prawda nie dowiedziałem się, czy profesja ta zapewnia godne życie, natomiast jestem przekonany, że uprawiając ją, można się napić na koszt wdzięcznego słuchacza, pragnącego dotrzeć do źródeł szkockiego dziedzictwa, pojmowanego dość szeroko. Okazało się, że Instytut Gawędziarstwa ma swoje macki w różnych miejscach.
- Nazajutrz gdzieś w internecie wyczytałem, że przepowiednie jasnowidza z Brahan spisano w języku gaelickim i wiele jest dotychczas nieprzetłumaczonych. Jednak ich przełożenie jest jedynie kwestią czasu. Na razie nikt nie wie, co zawierają, ale może czas zacząć się bać? W każdym razie w Szkocji.



W KAJAKU NA JEZIORZE BIAŁYM

Jesteś jeziorem ze zmierzchem w falach.
Jesteś żywy i potrzebny, bo w tobie
Odzwierciedlają się: trzcina, czapla, okoń,
Olcha, wrzaskliwe żurawie.

Rodzisz się w tym, co zobaczyłeś i pomyślałeś.

Podwodna gałąź wskazuje patykiem na wszystko,
Co ciebie nie pomija. Wszelka obecność wokół i dalej
Nazywa ciebie. Wreszcie widzisz,
Bo masz swój świat.

(31 sierpnia 2016 w okolicy stacji wodnej Bienki)

ARCHIWUM DOMOWE

Dziś każdy mój wiersz biorę w cudzysłów.
Nie mówię już, nie milczę w nich ja, lecz goście.
Opuścili mój dom, a głosy ich wiszą,
Jak zdjęcia na ścianach.

CORAZ MNIEJ

Coraz mniej wierzę,
Coraz mniej nie wierzę
W siebie, w ciebie,
Pod bledniejącym niebem.

Spotkanie ledwo się zacznie,
Już się zatrzymuje,
Jak półprodukt,
Jak nasionko na pół zgniłe.

W niedokończeniu
Nasz dom, ty i ja.
Jedynym dziełem skończonym,
Coraz mniej naszym, jest czas.

MIKOŁÓW

Na Starym Rynku w Mikołowie we fletnię Pana
Dmucha polski Indianin, dźwięki rozjaśniają
Płaskorzeźbę Cypriana Kamila Norwida,
Który szedł we wrześniu 1845 roku od kapliczki św. Mikołaja
I wziął za nieba znak powstanie polskiej drukarni.
Poeta zmienia się w poetę, nie w Rafała Wojaczka
Ze znamieniem „roz-czaru”,
Lecz w Zdzińska Jaskułę,
Który w Restauracji Ratuszowa niedawno,
A jakby przed wiekiem: galaretę z nóżek jadł do piwa,
Śmiał się w głos przy anegdotach o Stefanii Skwarczyńskiej,
Wołał do nieobecnej ukochanej płynnie, szeroko,
Niczym młodo zakochany: „Sława, Sława, Sława!”
Więc zobaczyłem w gołębiach jaskółki w smokingach,
Choć wywiało je stąd zaraz po wakacjach.
Święty Wojciech nie widzi nic,
Zatrzymał się w kamiennych myślach tam,
Gdzie nie ma dróg lub dopiero je budują,
Gdzie nieobecność unosi się nad mokradłami.
Anioły kleją pierogi oraz inne dary Boże,
Za które przyjdzie ci zapłacić.
Kasa Stefczyka rozdaje, byś stracił czujność
I dobrowolnie wziął na siebie kłopoty.
Za szybą baru smutny diabeł zaprasza
Do bezgrzesznie parującej misy.
Pod trzema zegarami na niby-baszcie
Krzaczaste skrzaty klną na opozycję.
Więdną trzy flagi: żółto-niebieska,
Biało-czerwona, błękitna z wianuszkami gwiazd
W nastroju wiekuistego pokoju.
Norwid w *Psalmie Wigilii* przepowiada:
„Za prawo tedy do Polski obszaru
Dziękuję Tobie, któryś niezmierzony,
Wszech-istny – jednak z obłoków wiszaru
Patrzący na świat w prawdzie rozdzielony
Światło-cieniami czaru i roz-czaru”.

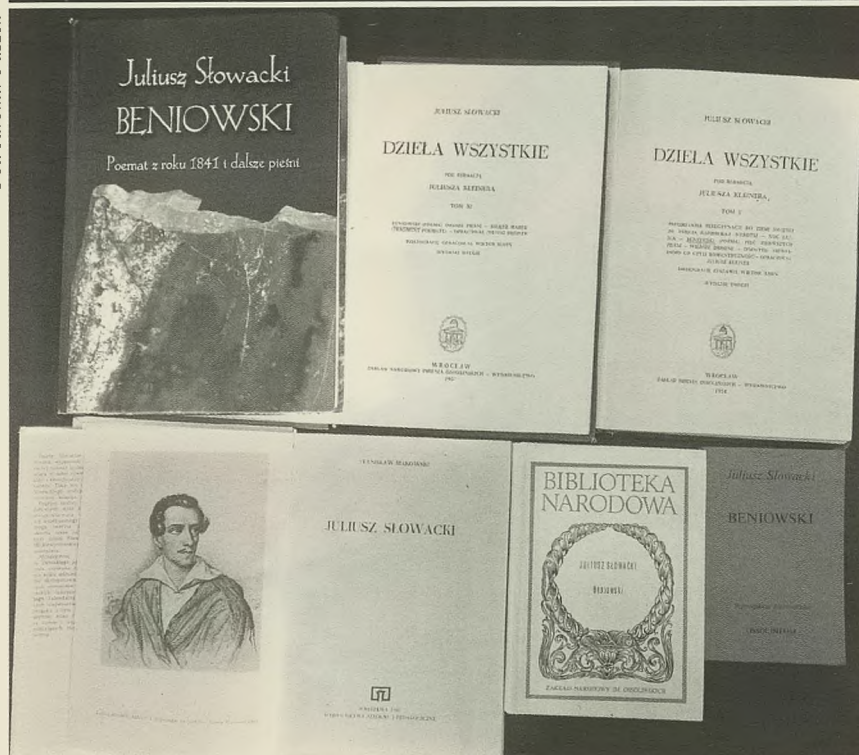
A bram nieskończoności
Jak nie widać, tak nie widać
Na tym padole przecinania się szlaków.

Przed Bożym Narodzeniem, Mikołów 2015, Przykop 2016

Zbigniew Chojnowski, ur. 1962 w Orzyszu, poeta, historyk literatury, krytyk literacki. Profesor zwyczajny Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Opublikował 9 zbiorów wierszy, 11 książek eseistycznych, zredagował wiele antologii. W 2012 roku ukazały się jego dwa wybory wierszy: *Kamienna kładka. Wiersze wybrane z lat 1980–2011* oraz *Mazurské odjezdy. Vybor poezie z let 1980–2011* (w języku czeskim, w przekładzie Libora Martinka).

BLASK ARCYDZIEŁ

Fot. Jaromir Paszek



Blask Beniowskiego

JERZY PÉSZEK

Juliusz Słowacki opublikował *Beniowskiego* w roku 1841 z podtytułem: *Poema. Pięć pierwszych pieśni*. Tom formatu szesnastki, na 176 stroniczkach, pomieścił 420 pełnych oktav (o jedynej skróconej do 4 wersów będzie jeszcze mowa). Dopiero w *Pismach pośmiertnych* poety, wydanych po 25 latach, znalazły się dalsze pieśni (od VI do XIV), a także warianty tekstu i porzucone – jak to bywa w brulionach – fragmenty. Dość powiedzieć, iż w rezultacie mamy 1227 kompletnych oktav, czyli – po przeczytaniu znanej większości Polaków wersji 5-częściowej – pozostaje nam do lektury cząstka obszerniejsza, w której pieśni mają niekiedy po dwa, a nawet trzy odmienne ujęcia. W moim szkicu cytuję tekst Słowackiego wedle brzmienia ustalonego przed drugą wojną światową przez Juliusza Kleinera w *Dzielałch wszystkich wieszcz*, stąd bierze się odnotowywanie wersji pierwszego wydania w tomie V (dział pierwszy: *Utwory wydane za życia poety*), a dalszych segmentów poematu – w tomie XI (dział drugi: *Utwory wydane z puścizny rękopiśmiennej*). Wznowienie przedwojennych

tomów wyszło w Ossolineum w latach 1954-1957. W roku 2014 ukazało się „nowe wydanie krytyczne” *Beniowskiego* (w oprac. Jacka Brzozowskiego i Zbigniewa Przychodniaka), które przynosi odmienną od układu Kleinera strukturę całości (10 pieśni oraz zachowane fragmenty pozostałych), ale nie daje licznych i znaczących – dla moich wywodów – poprawek tekstu, czyli emendacji.

Jest niepodważalnym faktem to, że 5 początkowych pieśni *Beniowskiego* stanowią skarbiec i źródło, powtarzanych przez Polaków przeszło półtora wieku (z okładem coraz większym!) sentencji i rymowanych, rytmicznych, pięknych sformułowań. Przypomnę kilka krótkich i znanych powszechnie (taką żywy nadzieję!) urywków tego poematu: „Pijące gardła, wasy, psy, kontuze; / A nade wszystko szczere, polskie dusze”; „Powieść taka, / Jak dawny, długi, lity pas Polaka”; „Trochę w tej mowie niegramatyczności”; „Jeżeli gryzę co – to sercem gryzę”; „Milcz, serce!”; „Muza mdleć zaczyna”; „Kłębami dymu niechaj się otoczyć; / Niech o młodości pomarzę pół senny”;

„Twój czar nade mną trwa”; „Chodzi mi o to, aby język giętki / Powiedział wszystko, co pomyśli głowa”; „Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy / Błękitnych polach”; „Dwa na słońcach swych przeciwnych – Bogi”. Z drugiego rękopiśmiennego sezamu (choć prawie dwa razy obszerniejszego!) zdecydowanie mniej klejnotów odnotowuję w antologiach bądź florilegiach cytatów. Oto kilka z nich: „Kto mogąc wybrać, – wybrał zamiast domu / Gniazdo na skałach orla” (ulubione powiedzenie Józefa Piłsudskiego); „To Czas się cofnął – i odwrócił lica” (o *Panu Tadeuszu*); „Idźmy... znów czasu Bóg... postąpił krokiem...”; „W Krymie nie spieszą się tak jak w Paryżu”.

Wystarczy porównać przytoczenia i wyjątki wierszy w dwóch podręcznych zbiorach, czyli w *Księdze cytatów z polskiej literatury pięknej od XIV do XX wieku* (oprac. Paweł Hertz i Władysław Kopaliński, Warszawa 1975) oraz *Skrzydlatych słowach* (oprac. Henryk Markiewicz i Andrzej Romanowski, Warszawa 1990), by się przekonać o przepaści, jaka dzieli pierwszy druk *Beniowskiego* od *Pism pośmiertnych* w pamięci czytelników; myślę, że tylko w okresie Młodej Polski ceniono bardziej te dwa tomy, przynoszące kolejne rapsody *Króla-Ducha* i dalsze pieśni poematu o Maurycym Kaźmierzu Zbigniewie (troja imion) Beniowskim od „utworów wydanych za życia poety”. Stąd moja decyzja o przyjrzeniu się przede wszystkim oktagonom z tego późniejszego korpusu tekstów.

Jeśli jest tak, jak pisze Stanisław Makowski w popularnonaukowej monografii poety (*Juliusz Słowacki*, Warszawa 1980, s. 69), że „Utwór ma więc charakter jakby swoistej, poetyckiej ‘encyklopedii’, w której wszystkie ‘hasła’ [...] są jednako ważne”, to mogę zacząć od hasła „Afrodyta”, dotyczącego – oczywiście – urody polskich kobiet. Wybranka Beniowskiego, Aniela, jest zestawiana z Jutrzenką i Wenus: „Jak Irys – albo Afrodyta” (XI, 240), a nawet z postaciami biblijnymi: „Ale Aniela, do Heglistki wcale / Nie dorosnięta... bliska Afrodyty / Pięknością – taka święta, że na fale / Stawu wejść mogła... i staw nie rozbiły / Nosiłby nóżki jej... – Jestem w zapale – / I oto mówię, że piękność kobiety / Nie jest... jak mówi ksiądz – czartów ułuda, / Lecz może, w duchu będąc – robić cuda” (XI, 205). I po takiej zwrotce następowałaby jeszcze bardziej poetycka oktawa, bo dotycząca realiów życiowych tego, że kobieta może być dla mężczyzny całym światem, gdyby Słowacki w manuskrypcie jej nie przekreślił! Ale niektórzy wydawcy nie zesłali tej strofy do odmian tekstu, gdzie tylko filolodzy zaglądają, i drukowali tę zwrotkę w całej okazałości. Czyli piękność kobiety może czynić cuda: „Lub robić sama przez się – lub się w drugą / Duszę przelawszy... być w niej siłą... mocą, / Zaczepną bronią w rękach – i kolczugą / Sercu... i słońcem, które świeci nocą, / I panią razem – i razem być sługą, / I nawet w świecie Aniołów pomocą, / Wdzięcznością cudną ducha nas obarczyć, / A świat dać, za świat stanąć – i wystarczyć” (XI, 205; wszystkie wyróżnienia – J.P.).

Słowacki pisał te oktawy pieśni VI równocześnie z mistycznymi strofami *Króla-Ducha*, stąd zapewne wołał tak „realistyczny” (jak na niego!) obraz kobiety zatuszować bardziej uduchowionym portretem Anieli, w którym jest towarzyszką Beniowskiego w walce ludów słowiańskich z niewolą narodową. Po przekreślonej oktawie czytamy wiersze podobne do tych, które charakteryzują podniosły nastrój strof poświęconych bojom Popiela: „Aniela była taką duszą – ona / Z Beniowskim tworzy jednego rycerza / I bohatera... Polska przez nią śniona / Święta jest – wielką – z góry już uderza / Duchem na wszystkie sławiańskie plemiona / I do żywota budzi... i przymiera; / Wielka i straszna, podniesiona lotem / Nad ludy... w ludach żywot budzi grzmotem” (ib.). Aniela zmienia się w Anhelicę (XI, 241) i jej „Piękności dziwny czar – rozwidniał oczy, / I to, co było Wenusowym pasem, / Po ciąg... na ludzi działalny – uroczy / Szedł z niej” (XI, 241-242). Do bóstw greckich lub rzymskich dodane są i egipskie (Ozyrys, Izйда), przy tym w wymyślnych i olśniewających rymach: Irys – kiry – Oziris (XI, 242).

W pierwodruku Aniela także była Afrodytą, jak przykładowo w pieśni I, gdzie mamy tzw. paragon piękności niewieściej wypełniony prawie kompletnie: „Chodziła jako łabędź lub anieli / Kolyząc się na giętkiej stopie – strzelna / Nie była swemi zrennicami – zgoła! – / Lecz oczy czarne jęj, paliły czoła. // Włosy jęj długie, krucze, w róg zwinięte, / Ciężyły głowie swą jedwabną wagą. / Ta sama głowa miała kształty święte, / I uświęcone sycerską powagą, / Smukłe, ku plecom w okrągłość ściągnięte – / Ktokolwiek widział marmurową, nagą / Florencką Wenus, nie weźmie za fraszki / Tego – co mówię tu, o formie czaszki” (V, 70). Chyba nie muszę przekonywać, że jest to konterfekt mniej wyidealizowany niż te z pieśni późniejszych, choć i tu powiedziano, że była „tak piękna, jak żadna śmiertelna” (V, 69)!

Pora na następne hasło. Niech nim będzie Bar, bo przecież w poemacie mowa o konfederacji barskiej i o „ambasadzie” krymskiej, na jaką skierowali Beniowskiego właśnie przywódce tej insurekcji. W rękopisach uchowały się oktawy, będące wstępem do drugiej części utworu Słowackiego. Pierwsza zwrotka brzmi dostojnie i bojowo (pod nagłówkiem *Illiada Barska* – z podwojoną literą „l”!): „Teraz mi pozwól, Boże, te Barszczany / Śpiewać, co bili się za Imię Twoje, / Których Ty bole widziałeś i rany / I wielkie bardzo – a rozpaczne boje / Od kraju, gdzie lśnią rozlane limany, / Po kraj, gdzie kopią bursztynowe słoje, / Szeregi w sławie rozkochane – bratnie, / Nosiły złote chorągwie – ostatnie” (XI, 226). Podwojenie „l” w nagłówku zwraca uwagę czytelnika na walory dźwiękowe strofy, na aliterację, sugerowaną wyrazami Barska, Boże, Barszczan, bili, bole, bardzo, boje, bursztynowe, bratnie, a także słowami z głoską „p” (pozwól, śpiewać, rozpaczne, po kraj, kopią). Cytowana oktawa stanowi zamkniętą całość, jest „jak błądy topaz, / Oszlifowany w różne **kostki rymu**” (XI, 72; nb.

strofa ta rymuje „topaz” z „samopas” i „popas”!). Takim „rymem maleńkim” (zapisano wedle gwary rodzimej lub po dziecięcemu: malenkim!) chce autor zarobić na „pośmiertne życie” (XI, 227), co mu się istotnie udało!

Na literę „C” można byłoby tu wybrać między czamarką Pułaskiego („Czamarę jego znano aż za Donem”; XI, 222) a grą słów, dotyczącą „cybernetyki” (od greckiego wyrazu, mówiącego o kierowaniu okrętem, kybernētikós, po dzisiejszą cybernetykę w informatyce) i etymologicznie bliższej leksyce słowiańskiej „cebernetyki”, bo ceber (‘wiadro drewniane o dwu uchach’) był znany już autorowi *Kroniki polskiej* w XII wieku. Wybieram gry słów, bo o tym wymiarze poezji Słowackiego za dużo się nie pisze! Zajmując się heglizmem i innymi filozofami epoki, a w tym i Bronisławem Trentowskim, autorem opublikowanego w roku 1843 tomu *Stosunek filozofii do cybernetyki, czyli sztuki rządzenia narodem*, poeta tworzy prześmiewczą oktawę o pseudo-Sokratesie i jego żonie Ksantypie: „Cebernetyka... zda się dla ochłody / Ksantypa, która często dom umiata, / Na Sokratesa leje ceber wody... / A potem mydli... tę pochodnię świata, / Łeb inclusive z nosem aż do brody – / Dobra Niemkini, ale nie skrzydłata / Jak Psyche... a swe dziatki pół-niemczy / Sadzają często do Cebernetyki...” (XI, 203). Tak więc filozofia poznańska postrakowana jest na równi z myciem i szorowaniem, a także wysadzaniem dzieci na nocnik! Oto inne oblicze barda!

Z tym rysem do portretu satyryka zgadza się też hasło na literę „D”. Będzie to piękny przykład anagramu w dialogu o Anieli: „Co myślisz... mój ty **Dzierzanowski?** rzecze... / Czy w Indiach, twoje musztrując Cypaje, / Widziałeś jakie oko, co tak piecze / I tyle ognia pod spojrzaniem daje? / Jeśli ta z naszych tu szponów uciecze, / Król powie, żeśmy obadwa mazgaje, / Żeśmy... tu poszli szukać tylko sińca, / A nie przywieźli żadnego gościńca...” // Na to pan **Dzierzwa-noski**... kłamca wielki, / Lecz człowiek tylko zepsuty w połowie: / „Ja trzymam tylko się każdej butelki, / Bom w Indiach... stracił... te rzecz... co się zowie / Miłością” (XI, 130). Punkt zawiera dystych: „Branecki przerwał: ‘Podcięła jak szczygła – / Czemuż języka tobie nie ustrzygła?’” (XI, 131).

Na literę „E” mogłaby stać się hasłem swojska, bo bliska wojska „Estetyka”, którą pielęgnuje się w Rosji: „Car jest wspólnik / Poetów... jest Minosem, Estetyką, / Szleglem... na niego patrzy pan Kukulnik, / Tragedią jaką zamyślając dziką... / **Za sceną bowiem stoi karaulnik**... / Z ogromną palką, szabłą lub motyką... / Z kibitką... z wielkim budników ogonem, / Jak *Débats* i Jules Janin z felietonem” (XI, 75; karaulnik – ‘wartownik’, budnik – ‘posterunkowy’).

Literę „F” reprezentuje w niniejszej poetyckiej encyklopedii słowo flądra, które jest jedynie zasugerowane przez polski słownik rymów (o czym pisał Słowacki już w *Kordianie*). Otóż ma rację autor, gdy dowodzi, że rymy wallenrodyzm i metodyzm wyczerpują listę rymów na „-odyzm” (dopiero później utworzono „fotoperio-

dyzm”!), więc musi wymyślić pseudo-włoski odyzm, by mieć trzeci rym (zob. V, 79: „Wallenrodyzność” czyli Wallenrodyzm [...]). Wprowadził pewny do zdrady metodyzm, / Z jednego, zrobił zdrajców sto tysięcy. / Tu nie mam więcej już rymu na odyzm, / Co od włoskiego *odiar-lo* – najprędzej / Może zastąpić brak polskiego słowa”). Tak samo jest z epitetem „mądry” posiadającym tylko jedną współdźwięczność, a mianowicie rzeczownik ichtologiczny „flądra, flądry”. Trzeci rym musiałby być znów okazjonalizmem, bo jakąś nieznaną lingwistom formą deklinacyjną rzeczownika „jądro”, by uzyskać frazę „z jądry” (podobne rzadkie narzędniki widać we frazach „dom wielki, stary, z płomienistymi okny i krążganki”, V, 64; „gwary różnemi i tętny”, XI, 110). Stąd bierze się jedyna w pierwodruku niekompletna oktawa w pieśni V, po wersji 92. Rzecz idzie o krytyków literackich związanych z paryskim „Tygodnikiem Literackim”, którzy wytykali Słowackiemu brak prawdziwej myśli, co określili jako „odjemność” (V, 106: „Tygodnik jakąś wynalazł odjemność”; V, 127: „Z tego więc poszło, że pisałem prozą, / *Odjemną*, mówię Tygodnik”).

Niedokończona oktawa (ib.) brzmi więc tak: „Odjemną! – czy od Tygodnika? Boże! / Kto tam odejmie co, ten będzie mądry: / Ty byś nie odjął nic sam, Pitagorze, / Z twoją tabliczką w rękę”. Hipotetycznie w 4. linijce byłby rym „z jądry” (np. Bo jak z jądry / Ktoś w Tygodniku pojawić się może?), a w 6. – „flądry” (np. Bezpłodni są na kształt zdeptanej flądry). Tu mała dygresja: gdyby brać pod uwagę sztukę rymowania Tuwima bądź Barańczaka, to widzę jeszcze jedną możliwość: Krytycy są jak Eumeja szpondry! – czyli też obrazy nieprzewidywalności (neologizm Słowackiego) życia literackiego emigracji. Oczywiście, ówczesna literacka i towarzyska poprawność polityczna (pojedynkowano się o mniejsze wydumane krzywdy czy nietakty!) nie pozwalała Słowackiemu na dokonanie w druku tej oktawy. Ale wścibski czytelnik mógł przecie obliczyć, ile jeszcze pozostało do dyspozycji rymów! Czyli z hipotetycznymi „jądry” jest tak, jak z formą deklinacyjną „węzy”, która w wersji o Cooperze funkcjonuje jako narzędnik (XI, 210: „Litwin jak ślimak zaraz rogi schował / I jak za węży Coopera Pothowak / Utonął w gęstych traw stepowych wniki / I ponurkował w swój las... w mateczniki”; zob. też wywody Kleinera: XI, 49; nb., świta tu hasło na „G”, boć węże to gady!). Uważam, że autor umyślnie nie dał zakończenia strofy, dając jednocześnie subwersyjny zarys („możliwe możliwości możliwego”) – strofującego bezpłodnych, bezmyślnych i notorycznie bezkarnych krytyków – finału oktawy! Czy w ten skomplikowany sposób, aludując do skrzydlatych słów Jamesa Joyce’a z *Uliksesa*, nie dowodzę, iż twórca *Beniowskiego* był arcy mistrzem w sztuce kreowania oktaw? Przypomnijmy sobie zresztą słynne uogólnienia infantylnej, bo wszak szkolnej, perswazji: „Dlaczego Słowacki wzbudza w nas zachwyt i miłość? [...] Dlatego, panowie, że Słowacki wielkim poetą był!” Oczywiście oczywiście w i z *Ferdynurke*.



Newsroom,



czyli
dziedziniec
cudów*)

**POLSKIE RADIO
KATOWICE**

WITOLD TURANT

Radiowy dziedziniec cudów, od razu dodajmy. Tu zaczyna się żywot wielu tematów i wątków poruszanych na radiowej antenie. Najczęściej u źródeł wszystkiego leży informacja, czyli news.

A zatem warto zadać sobie pytanie, co jest newsem, a co nim nie jest? Dawno temu pewien dziennikarz Timesa sformułował bardzo trafną, choć lakoniczną definicję: jeśli pies ugryzie człowieka, to zdarzyło się nieszczęście,

ale to nie jest news; natomiast jeśli człowiek ugryzie psa – no to mamy news pierwszej klasy. W Rozgłośni Polskiego Radia Katowice jest wiedza powszechna, szczególnie w Agencji Informacyjnej, gdzie reporterzy i autorzy

dzienników dniem i nocą starają się upolować news. Czasem informacje docierają tu same, gdyż ich waga jest tak ogromna, że zmiatają wszystko po drodze, ale najczęściej są wynikiem poszukiwań i pościgu reporterów.

Dziennikarze Radia Katowice muszą pamiętać, uczestnicząc w tym pościgu, który często zmienia się w wyścig, iż reprezentują radio publiczne, co znacznie podnosi wymagania dotyczące rzetelności i jakości informacji, które trafiają na antenę. Stawką jest wiarygodność. Znany amerykański aktor, Denzel Washington powiedział niedawno w jednym z wywiadów, iż ów wyścig o pierwszeństwo w zdobywaniu informacji przybiera rozmiary paranoi. Do odbiorcy docierają one coraz szybciej, ale są coraz mniej wiarygodne, bo dziennikarze nie mają czasu ich sprawdzać. Niegdyś w słynnej BBC obowiązywała zasada sprawdzania newsa w co najmniej dwu, a najlepiej w trzech źródłach. Tempo współczesnego życia zmienia nieco te zasady, ale istnieją granice, których zwłaszcza publiczne radio nie powinno przekraczać. O tym, że Rozgłosnia Polskiego Radia podaje informacje rzetelne, sprawdzone i że cieszy się zaufaniem słuchaczy, świadczy liczba wejść na stronę internetową, a także korespondencja i telefony od słuchaczy.

Jak to wszystko działa? Odpowiedź na to pytanie wymaga wglębenia się na moment w strukturę organizacyjną Katowickiego Radia. Piramidy nie poznaje się od jej szczytu, ale od podstaw. Nam będzie jednak łatwiej, jeśli rozpoczniemy właśnie od szczytu, czyli od Zastępcy Dyrektora ds. Programu, red. Marka Cieplińskiego.

– Mówiąc o informacji, należy pamiętać, że obsługujemy trzy subregiony, 19 dużych miast, kilkadziesiąt mniejszych ośrodków, wiele różnych środowisk, które są „producentami” i jednocześnie odbiorcami newsów. Ranga i znaczenie tych informacji są zróżnicowane. Staramy się z zachowaniem pewnych proporcji usatysfakcjonować wszystkich odbiorców. Służy temu m.in. tzw. rozszczepienie emisji programu**, a także nasza działalność internetowa***. Najwięcej uwagi poświęcamy wydarzeniom regionalnym i lokalnym. Wiemy jednak, że naszych słuchaczy interesuje także to, co dzieje się w kraju i za granicą i nie pomijamy takich tematów, ale to nie są nasze priorytety.

– Musimy pamiętać, że Rozgłosnia Polskiego Radia w Katowicach jest rozgłosnią misyjną i musimy poszukiwać równowagi pomiędzy wątkami wynikającymi właśnie z tego faktu a tymi, które mają zadowalać naszych słuchaczy. – Dodaje Piotr Ornowski, Prezes Zarządu Rozgłośni.

Wątki pojawiające się na szczycie drabiny ważności informacji dostarczanych przez Rozgłośnie Polskiego Radia w Katowicach, to oczywiście wydarzenia polityczne, społeczne, gospodarcze, kulturalne, ale Radio Katowice nie zapomina o ekologii, sporcie oraz, *last but not least*, o motoryzacji, często w kontekście problemów komunikacyjnych, czyli mówiąc inaczej, o korkach, wypadkach i utrudnieniach w ruchu drogowym.

Jakby na to nie spojrzeć, sporo dziennikarskiej roboty. Kto ją wykonuje? Oczywiście zespół Agencji Informacyjnej Katowickiego Radia. Na ogół w Rozgłosni dyżuruje dwóch reporterów – jeden w Agencji i jeden w Redakcji Nowych Mediów.

– Dzień w Agencji rozpoczyna się o godzinie 8.30 codziennym przeglądem rzeczy do zrobienia. – Mówi jej szef, red. Sławomir Herman. – To także czas i miejsce zgłaszania przez dziennikarzy własnych pomysłów tematów, którymi Radio powinno się zająć i wstępnym planem pracy na następny dzień. Jest to również czas podsumowania i oceny dnia poprzedniego, czyli krótko mówiąc, często przekazania reprimendy od dyrekcji programowej Rozgłosni. Nieco później – o godzinie 9.00 – telekonferencja z redakcjami terenowymi.

Drugą – równie ważną co reporterzy – grupą są serwisanci, czyli osoby, które opracowują i prezentują na antenie wiadomości. Ich praca rozpoczyna się przed godziną 6.00, a kończy po 24. W soboty i niedziele serwisanci pracują nieco krócej. Praca to na pozór niezbyt ekscytująca, bo często przy biurku, za pomocą takich narzędzi jak komputer, faks czy telefon (o dalekopisie nikt tu chyba już nie pamięta), ale potrafiąca chwila mimo wszystko dostarczyć sporej dawki adrenaliny. Rezultatem tego zespołowego wysiłku dziennikarzy Agencji, czyli newsroomu jest m.in. dwadzieścia wydań serwisów informacyjnych, trzy kuriery, magazyn reporterów Infostrada i audycja publicystyczna *Temat do dyskusji*. Trzonem tej redakcji są reporterzy. To przede wszystkim młodzi ludzie, którzy penetrują cały region, relacjonując najważniejsze wydarzenia. Wsparciem dla Agencji są redakcje terenowe, zwane anegdotycznie „zamorskimi”, w Bielsku-Białej i w Częstochowie.

Gdyby to zbiorowe dzieło podzielić na detale, to okaże się, że codziennie w dziennikach ukazują się około 15 informacyjnych materiałów dźwiękowych i kilkanaście tak zwanych „pisanek”, czyli informacji tekstowych. Od poniedziałku do piątku między godziną 15.00 a 17.00 ukazują się wspomniany już magazyn reporterów *Infostrada*. Składają się na niego mini



reportaże, relacje z ważnych wydarzeń, i cieszący się dużym zainteresowaniem serwis ekonomiczny.

Czas pomiędzy godziną 17.00 a 18.00 to pora na publicystykę. *Temat do dyskusji* to audycja zawierająca rozmowy o najbardziej palących problemach i dziejących się na naszych oczach procesach społecznych, gospodarczych i zjawiskach z dziedziny kultury, które zachodzą w naszym otoczeniu. Zwykle jest to rozmowa dziennikarza z zaproszonymi gośćmi – specjalistami z różnych dziedzin życia. Zakres poruszanych tematów jest bardzo szeroki: od konfliktów lokalnych po sprawy i wydarzenia o zasięgu międzynarodowym.

Warto wspomnieć, iż Agencja pełni również pewną szczególną rolę: jest szkołą dziennikarstwa radiowego, a także sprawdzianem przydatności do zawodu. W historii Radia Katowice większość późniejszych dziennikarskich znakomitości zdobywała pierwsze zawodowe szlify właśnie w newsroomie, jakkolwiek się na przestrzeni lat ta redakcja nazywała.

Jak mówi Sławek Herman, wszyscy pracownicy Agencji uważają, że ich praca jest w Radiu najważniejsza i bez nich rozgłosnia po prostu by nie istniała. Jest w tym trochę przesady, ale kiedy się nad tym zastanowić, to nie tak wiele – historycznie rzecz biorąc, dwoma podstawowymi funkcjami radia u jego początków było dostarczanie słuchaczom aktualnych i użytecznych informacji oraz muzyki uprzyjemniającej życie. Wszystkie inne funkcje i wartości narastały w radiu z czasem, wraz z rozwojem tego medium i rozwojem społeczeństw, którym radio służyło i nadal służy.

Rozgłosnia Polskiego Radia w Katowicach jest z całą pewnością przedsta-

wicielką zaawansowanego w swym rozwoju radiowego medium i dla takiej też społeczności emituje swój program, jak już tu powiedziano, w dużej mierze misyjny. Oznacza to pewien rodzaj sprzężenia zwrotnego: z jednej strony Rozgłosnia wspiera rozwój tej społeczności, ale z drugiej strony Radio Katowice musi sprostać coraz wyższym wymaganiom słuchaczy. Oznacza to w przypadku Agencji Informacji nie tylko konieczność udziału w wyścigu, o którym z obawą mówił Denzel Washington, ale także coraz większą dbałość o rzetelność i wiarygodność przekazywanych informacji. Można na zakończenie przypomnieć jeszcze jedną maksymę dziennikarską sięgającą korzeniami dość zamierzchłej przeszłości: wiadomości złe czy dobre, ale zawsze prawdziwe. Sądzę, iż stwierdzenie, iż Rozgłosnia Polskiego Radia w Katowicach nie ma pod tym względem na swoim terenie konkurencji, posiada, m.in. dzięki jakości pracy Agencji Informacji, bardzo solidne podstawy. ■

^{*)} Określenie to zapożyczyłem od Victora Hugo („Katedra NMP w Paryżu”), gdyż dotyczyło ono miejsca, gdzie zaiste działy się dziwne rzeczy. Pojawiali się ludzie i krążyły wieści. Każdy, kto przybywał do tego miasta musiał się otrzeć o Le Cour des Miracles, tak jak niemal każdy, kto przybywa do Radia Katowice i chce w nim zostać na dłużej musi się otrzeć o newsroom.

^{**)} Szerzej pisałem o tym w odcinku zat. *Radio w regionie*.

^{***)} Patrz odcinek *Spojrzenie w przyszłość*.

Rafał Olbiński i rzeczywista wyobraźnia

KARINA CICHA

Zazwyczaj, kiedy przeciętny człowiek ma kontakt ze sztuką współczesną, nie staje naprzeciwko rzeźby, płótna czy druku. Staje naprzeciwko dość poważnego dylematu. Wielość form ekspresji, jakie podejmują twórcy współcześni, może przytłaczać. Podobnie z tematami, dla których sztuka jest lustrem, choć nierzadko i krzywym zwierciadłem, w którym się one odbijają. Wreszcie i sama definicja sztuki sprowadzająca się właściwie do odpowiedzi na pytanie: co współcześnie, w dobie późnego postmodernizmu, mianem sztuki można określić.

Jeszcze nie tak dawno, bo sto lat temu, odpowiedź na to pytanie była by banalnie prosta. Za sztukę uznawano dzieła realizujące kanon piękna, tworzone przez uznanych artystów. Sprawy pokomplikowały się jednak, przybierając współcześnie formę dylematu właśnie. Czy sztuka musi być piękna? A jeśli tak, to jak odbiorca, stojący wobec sztuki, ma to piękno zdefiniować?

Pytania można by mnożyć i tak się przeważnie współcześnie dzieje. O zasadność sztuki w dobie kultury popularnej pytają sami artyści, o jej rolę społeczną pytają odbiorcy, o prawomocność pytają instytucje wystawienne. Sztuka dostarcza bowiem pytań – nie odpowiedzi, co, zresztą, nie jest jej wadą, a jedną z wielu zalet.

Inną z zalet sztuki, na co na gruncie teoretycznym zwracają uwagę badacze, tacy jak chociażby Teresa Kostyrko¹ jest to, iż może, potrafi ona i spełnia w stosunku do swego odbiorcy funkcję komunikacyjną, realizującą się w przestrzeni symbolicznej. Czy artysta mówi do nas poprzez obraz? Powiedziałabym raczej, zalecając uważne spojrzenie w przestrzeń płócien Rafała Olbińskiego, że jest tu więcej niż jeden tylko nadawca.

Artysta, działający nie tylko w sferze malarstwa, lecz również plakatu i inkografii, a więc formy będącej czymś pośrednim między obrazem

a plakatem, którą można by określić mianem drukowanego obrazu lub plakatu bez tekstu, bardzo często pozwala – głównie poprzez metaforyczność i symboliczność swych dzieł – by te otwierały odbiorcom nowe możliwości rozumienia. Rozumienia przestrzeni, barwy, bohaterów, świata przedstawionego, wreszcie – samej wyobraźni. Czy brzmi to rewolucyjnie? Czy może mamy tu do czynienia z pewnego rodzaju niedopowiedzeniem? Nie. Sztuka Rafała Olbińskiego jest szansą – jedną z niewielu, jeśli by spojrzeć perspektywicznie na to, co współcześnie pokazywane – na zrozumienie wyobraźni. I artysty i swojej własnej.

Analizując takie stwierdzenie w sferze czysto teoretycznego namysłu, nie powinno nas ono zaskakiwać. Traktujemy dzieła sztuki jako otwarte pola dyskursywne, bądź też – by powtórzyć za Umberto Eco – *dzieła otwarte*, które w procesie odbioru, a więc rozumienia, możemy aktualizować.

Przygoda z tym rozumieniem już się zaczęła. Wchodząc w przestrzeń wystawienniczą Centrum Sztuki Zamku Sieleckiego w Sosnowcu, minęliśmy plakat tejże wystawy, a na nim zwrócone ku sobie twarze utkane z sukni, zamknięte w ramach plakatu opery Giuseppe Verdiego *Simon Boccan-*

gra. Nie jest to jedyny plakat, który umożliwił zrozumienie wyobraźni.

Ta forma artystyczna, nierozdzielnie związana z nazwiskiem twórcy, jest niejako dialogiem trójstronnym. Oto bowiem stoi przed nami twórca opery, dramatu, tragedii, który przemawia nie poprzez tekst czy muzykę, ale poprzez wyobraźnię Rafała Olbińskiego – drugiego z uczestników dialogu. Na plakatach artysty wizualizują się obecne w innych tekstach motywy. Nie są one jednak wyjaśnieniem zawłości fabularnych libretta. Nie stanowią również didaskaliów dla dramatów. Przestrzeń plakatu bowiem rodzi przestrzeń interpretacji odbiorcy. Podsuwa mu ukradkiem tropy i skojarzenia, nie mówiąc jednak wprost.

Wreszcie trzecim, i niejako najważniejszym, w tej dyskusji form sztuki uczestnikiem, jest odbiorca. Odbiorca, który może nie znać intrygi, mającej na celu uczynienie *Boccanegry* dożą Genui. Odbiorca, który może nie rozumieć rozterek, jakie targają ojcem, który musi zdecydować, za kogo wydać za żonę dawno niewidzianą córkę. Odbiorca, który może spojrzeć na plakat Olbińskiego inaczej niż tylko na ilustrację istniejącego wcześniej tekstu.

Odbiorca spojrzy – co zobaczy? Przede wszystkim doskonałą i niezwykle precyzyjną kompozycję malarzką. Postacie ludzkie, czasem odrealnione w swej formie, czasem wzbogacone fantastycznymi elementami, a czasem jedynie do ludzi podobne, zazwyczaj stanowią centrum plakatowego przedstawienia, akcent, na którym powinna skupić się uwaga odbiorcy. Bohaterowie sztuk, będący jednocześnie bohaterami świata wyobraźni Olbińskiego, usytuowani zostają w otwartej przestrzeni, na tle nieba, stanowiącego powracający motyw w pracach artysty. Nasze, odbiorcze, rozumienie wyobraźni zostaje tutaj poddane próbie.

Gdyby jednak, oddalając się od płótna czy druku, przenieść ciężar rozważań na rolę samego odbiorcy w tym procesie, można by zauważyć, że przestaje on być bierny. Mówiąc inaczej, szereg przemian, jakie zaszły w sztuce w ogóle od lat 80. XX w. spowodowały, „że znika odbiorca jako specyficzna rola obecna w systemach relacji konstytuujących sztukę, i na tym, że jest ona dziś wypierana przez role zupełnie inne – konsumenta, uczestnika, twórcy-wa-narzędzia, routera”². Co takie podejście przynosi? Przede wszystkim konieczność zdania sobie sprawy z tego, że odbiorca staje się albo częścią procesu tworzenia sensu dzieła sztuki, albo jego uzupełnieniem. W drugiej kolejności świadomość, że jest on aktyw-

Simon Boccanegra • VERDI

Reprod. SCK Zamek Sielecki



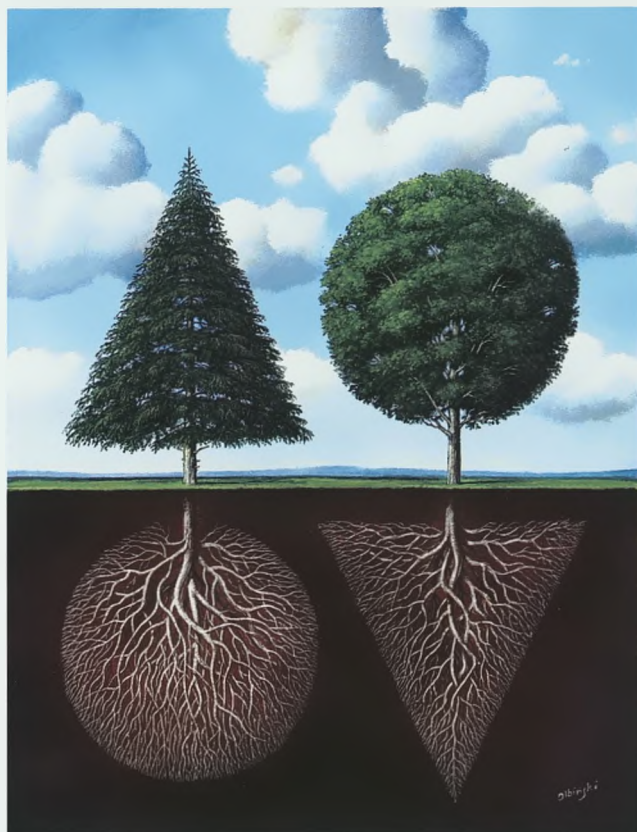
Olbinski



Przedawnione przypuszczenie



Świadek współczesności



Powierzchnowa analogia II



Odwrotność sentymentalnych ambicji II

RAFAŁ OLBIŃSKI

Sosnowieckie Centrum Sztuki-Zamek Sielecki, Galeria „Extravagances”

nym łącznikiem między działaniem twórczym a jego efektem końcowym w postaci dzieła. Wreszcie uznanie, że zarówno wyobraźnia artysty, jak i nasza własna, tworzą pewnego rodzaju uniwersum sensów, które wypełnia się w procesie odbiorczym właśnie.

Dlatego też patrząc w przestrzenie prac Rafała Olbińskiego, możemy albo dostrzec podobieństwo użytych w plakacie opery Straussa *Kobieta bez cienia* motywów do twórczości Chagalla, albo twarz roniącą łzy nad cię żarną bohaterką. Możemy wyobrazić sobie tytułową postać Cesarzowej, która udaje się na wyprawę, by zdobyć swój cień lub też założyć, że oto wступujemy do krainy, w której nic nie jest tym, czym się wydaje, gdzie noc miesza się z dniem, a fantastyka z realnością.

Z takim założeniem nie zdziwią nas i inne kompozycje, w których element magiczny czy też surrealistyczny przepłata się z realnością. Nie zdziwią nas, odbiorców, wyeksponowane nagie piersi stojącej w polu kobiety, zraszane deszczem spadających z nieba ryb. Bo i dlaczego miałyby dziwić? Rzeczywistość nie jest tylko tym, co obserwujemy na co dzień, a wyobrażenia nie zamyka się tylko w wymiarach oleju na płótnie.

Kobiece postacie towarzyszą Olbińskiemu i odbiorcom jego prac. Spoglądają na nas. Patrzą nam prosto w oczy dumnie i wyzywająco niczym *Królowa gepardów*, zajmująca centralne miejsce wystawy Zamku Sieleckiego. Są tajemnicze i uwodzicielskie z jednej strony, a z drugiej dominują w wykreowanej specjalnie dla nich przestrzeni. Bohaterki nagie, acz przyodziane w niedopowiedzenie. Otulone błękitem barwy nieba, które mają za plecami, bądź głębokimi brązami, w których ich ciała niemalże zatapiają się. Są jedną kobietą i wszystkimi kobietami na raz. Są łączniczkami między nami a nieskończoną przestrzenią wyobraźni.

Ta nieskończona przestrzeń, dzięki mocnym, nasyconym błękitem, nabiera w pracach Olbińskiego jeszcze innego, kosmicznego wręcz wymiaru, na którą rzeczywistość tu i teraz otwiera się lub której jest istotną częścią. I tak, drapacz chmur przestaje być jedynie drapaczem chmur. Wdziera się w wymiar kosmosu, a jego najbliższym otoczeniem są odległe od nas o miliony lat świetlnych planety. Taką kompozycja – poza być może zdziwieniem odbiorcy – pokazuje, jak płynne może być określenie i rozumienie samej przestrzeni malarskiej. Tak jak nie ma jednej interpretacji, tak nie ma jej jednej definicji. Zawsze bowiem zostaje ona wpisana

w któryś z namysłów teoretycznych, w któryś z – izmów. Analizując ją kulturowo, będziemy dostrzegać opozycje: nasze-obce, stare-nowe, powszechne-sakralne. Odnosząc się do świadomości zbiorowej, będziemy w tej przestrzeni szukać nie bohaterów, lecz archetypów, wzorców działania, wspólnych nam wszystkim. Z kolei skłaniając się w kierunku teorii uniwersaliów przestrzennych, będziemy mówić *stricte* o kompozycji – centrach, peryferiach, poziomach i pionach, o zorganizowaniu najdrobniejszego jej elementu. Może więc w tym momencie należałoby dostrzec konieczność metaforycznego odczytania tego, co przedstawia artysta i odrzucenia linearnej, przyczynowo-skutkowej perspektywy rozumienia otaczającego świata, skazanej na niepowodzenie, gdyż „świat nie bazuje na symetrii i oczywistości, ale paradoksalnie opiera się na niekoherencji i nielogiczności”³.

Jak bowiem inaczej wytłumaczyć wyrastające z ziemi białe gołębie, które zrywają się do lotu, gdy dojrzeją, zamiast nóżek posiadając korzenie? Można spróbować poprzez szczególny typ metafory, jakim jest katachreza i skojarzenie z naręczem ptaków z jednego z wierszy Herberta. Odniesienie literackie nie jest tutaj nie na miejscu, zwłaszcza jeśli przypomniemy sobie fakt, że Olbiński – poza sztukami malarskimi – jest także autorem zbioru *12 opowiadań*, gdzie sama opowieść i ilustracja żyją ze sobą w pełniej symbiozie, tworząc niejako ekfrazę oraz *Baśni o miłości i innych dziwnych przypadkach*, w których powstałe wcześniej obrazy stanowiły impuls dla doopowiedzianych później historii.

Można również założyć, całkowicie bez literaturoznawczych implikacji, że białe gołębie podrywają się do lotu, bo mają skrzydła, a więc mogą. Nie wyjaśni to oczywiście metafory, ale sprawi, że pocujemy się my, odbiorcy, w świecie proponowanego pejzażu komfortowo – zadowoleni, odnosząc go do dobrze znanych prawideł rządzących światem. Światem dobrze nam znanym, ale też światem rozumianym jako przestrzeń naszych działań.

W tej kwestii proponuje Olbiński spojrzenie, które staje się zarówno wizualizacją, jak i krytyką konsumpcjonizmu. Oto bowiem na kolejnych inkografiach znajdziemy glob dzielony przez miniaturowe postacie ludzkie na części niczym jabłko. Oto bowiem przyjrzymy się trudowi, z jakim jednostka dźwiga na swych barkach dumnie stojących przedstawicieli wielu różnych klas i grup społecznych. I choć można by pokusić się o przyklejenie

łatki „surrealistycznych” dla tych przedstawień, to jednak bardziej roztropne zdaje się zrozumienie, że z surrealizmem mamy do czynienia nie tyle na płótnach artysty, ale także w świecie, który nas otacza, którego prawidła autor po prostu ilustruje. Jeśliby bowiem uznać – za Jamesonem⁴ – że sztuka faktycznie wpisuje się w nurt logiki późnego kapitalizmu, to przyglądając się takim realizacjom, nie będziemy mogli odmówić im bycia i wizualnie i tematycznie osadzonym w postmodernizmie, a więc w dobie wzmożonej konsumpcji (dóbr, usług, produktów, towarów, stylów etc.) właśnie.

Trzeba mieć wyobraźnię, by rozumieć rzeczywistość, można by powiedzieć, patrzeć nie tyle na niektóre prace artysty, co na procesy społeczne, zachodzące wokół nas, które dla tych prac stanowią inspirację. Pamiętając, iż rolą sztuki jest – mimo bądź nader wszystko – komunikowanie, nadrzędną rolą odbiorcy staje się odczytanie komunikatu, a więc rozumienie. W przypadku wystawianych w Centrum Sztuki Zamek Sielecki w Sosnowcu prac Rafała Olbińskiego rozumienie zakłada zdanie sobie sprawy, że to, co rozpoznawalne, wpisuje artysta w zaskakujący, niecodzienny, czasem nawet fantastyczny, kontekst.

Tak skonstruowany przekaz nie traci jednak na aktualności, a można by powiedzieć, że zyskuje na pewnym uniwersalizmie. Obracamy się bowiem w kręgu kultury znanej Europejczykom, w kręgu tradycji przekazywanej w formie tekstów literackich, dzieł muzycznych czy filmowych oraz w kręgu inspiracji dokonaniem malarzy, grafików i plakacistów poprzednich epok. Prace Olbińskiego, doceniane i wystawiane na całym świecie, sukcesem zawdzięczają zarówno warsztatowi samego twórcy, jego oryginalności w wizualizacji dobrze znanych koncepcji, jak również obecności tych metafor i symboli, które odwołują się do tego, co kulturowo wspólne.

Powstaje więc pytanie, jak odczytywać treści przekazywane odbiorcom w postaci obrazów, plakatów czy inkografii. Odpowiadając, należałoby przywołać wspomnianą wcześniej koncepcję sztuki współczesnej jako symbolicznego komunikatu, a nawet pewnej formy dialogowości. Dialog kojarzy się przede wszystkim z wypowiedzią językową. Ze znajomością reguł, norm i zasad, które taką wypowiedź pozwalają zbudować. Ze świadomością leksyki, ale i gramatyki, dzięki której pojedyncze słowa

składane są przez nadawcę w dłuższe, logiczne i poprawne szeregi – zdania. Czy mamy więc do czynienia, mówiąc o sztuce w ogóle, w szczególności zaś o pracach Rafała Olbińskiego o języku wypowiedzi?

Niech poszczególne motywy, często pojawiające się w wielu pracach, stanowią odpowiednik leksyki, odpowiednik słownika, który artysta-nadawca komunikatu posiada. Każdy motyw będzie więc miał swoje konkretne znaczenie. Każdy motyw jednakże, będzie mógł – podobnie jak słowa – swe znaczenie chwilowo stracić czy zbudować na nowo na potrzeby konkretnej wypowiedzi. Patrząc na twarze kobiet, które spoglądają na nas z obrazów i inkografii możemy widzieć na raz i jedną i wszystkie kobiety. Spoglądając na wykreowane przestrzenie, rozpoznajemy w nich nieba i oceany, które mogą równie dobrze być ulotną chwilą, nieskończonością, areną wydarzeń lub po prostu ich tłem. Obserwując spadające na pole i nagie piersi stojącej na pierwszym planie kobiety z nieba ryby, zauważamy rytm, z jakim cała ta scena się odbywa. Rytm, który został wyznaczony poprzez powtórzenie, jednego, konkretnego motywu. Nagle też odkrywamy, spoglądając na odzienie *Królowej gepardów*, że jej działo nie dzieli przestrzeni, lecz stanowi jej spoiwo, że jest ona jednocześnie królową i gepardem.

Porządek sztuki rozumianej jako wypowiedź artystyczna zakłada analizę intelektualną⁵, zakłada zastanowienie się – poniekąd szkolne – nad tym wszystkim, co chciał przekazać odbiorcy artysta. Niestety, bardzo rzadko przy okazji takich zastanowień pyta się, czego odbiorca od artysty oczekiwał lub jaki komunikat zwrotny sformułował. Ile pytań zostało zadanych? Ile skojarzeń przywołanych? Na ile mieliśmy do czynienia z rzeczywistością, na ile z jej wyobrażeniem? Żeby jednak nie utknąć w pętli wpisywania odpowiedzi w bardziej czy mniej trafny klucz interpretacji, może warto byłoby na to strukturalistyczne rozumienie sztuki narzucić jeszcze drugi porządek jej odbioru, uzupełniający go niejako, a mianowicie zastanowić się, na ile ten komunikat artysty wzbudza w nas, odbiorcach, przeżycie estetyczne.

Sto lat temu sztukę definiowano jako dziedzinę realizującą w przedstawieniach kategorię piękna. Este-

tyka, a więc nauka o pięknie, pokazuje jednak, że jest to jedno z najbar-
ziej efemerycznych pojęć, wielo-
krotnie definiowanych na przestrzeni
wieków i wielokrotnie zmieniają-
cych swe kanoniczne realizacje. Jed-
nak, czego musimy być świadomi
w konfrontacji ze sztuką współczesną,
estetyczne niekoniecznie oznacza
piękne. Estetyczne może być zaska-
kujące, niebanalne, fraszobliwe, fa-
scydujące, niepokojące, intrygujące,
wzniosłe... Jaka jest *Królowa ge-*
***pardów*, a jaka *Kobieta bez cienia*?**
Analiza intelektualna wszakże nie
wyklucza przeżycia estetycznego,
które jest niezbywalne. Jednakże je-
go niezbywalność nie należy do struk-
tury dzieła, lecz do porządku odbior-
czego. Należy do nas, bo to my
wzruszamy się, niedowierzamy, obu-
rzamy się, wpadamy w zachwyt czy
oniemienie w kontakcie z dziełem. Po-
za bohaterami, niezwykłością pre-
zentowanych światów, unikatową sty-
listyką wykonania, jest to jeden
z cenniejszych darów, jakie otrzymu-
jemy w komunikacji z artystą za po-
średnictwem jego obrazów-komuni-
katów.

Jak jednak w tym procesie ułożyć wyobraźnię? Projektując plakat wystawy, artysta zwrócił się w stronę stwierdzenia Goethego, które uczynił jej mottem. Oświeceniowy cytat, cytat wieku rozumu, zdaje się nasuwać wątpliwości co do zasadności jego korelacji ze sztuką, zwłaszcza tą metaforyczną i kreującą światy surrealne. Zdaje się, bo jest tak tylko pozornie. Rozumienie sztuki, rozumienie tego, co jest jednym z elementów wspomnianego dialogu między twórcą a odbiorcą, podobnie zresztą jak rozumienie świata, wymaga od nas wyobraźni w tym sensie, aby dopuścić do świadomości fakt, że może być inaczej, niż zakładamy, że to, z czym mamy do czynienia na co dzień, nie jest jedyną słuszną drogą, a jedną z wielu możliwych.

Rafał Olbiński zadbał w swych pracach o to, aby wskazać odbiorcom jedną z dróg. Pokazał możliwości interpretacji dzieł operowych i teatralnych w plakatach, możliwość ich odczytania i wizualizacji ich motywów. Pokazał możliwości swej własnej wyobraźni, kreując światy odrealnione i symboliczne, lecz także otworzył furtkę dla wyobraźni nas, stojących już nie przed dylematem, lecz naprzeciwko Sztuki. W tym sensie wyobraźnia staje się narzędziem do komunika-

cji i rozumienia świata – zarówno artysty, jak i tekstów kultury, bądź tego, który nas otacza. W tym sensie wyobraźnia staje się jak prezentowane w Sosnowieckim Centrum Sztuki dzieła – rzeczywista.

Sztuka komunikuje. Komunikuje sensory i znaczenia, metafory i dosłowność, realizm i surrealizm. Pojedyncze dzieło staje się punktem wyjścia dla rozpoczęcia dialogu, do którego artysta zaprasza, a którego punkt ciężkości zostaje przerzucony na odbiorcę, postawionego przed dość trudnym zadaniem – co odpowiedzieć?

dr Karina Cicha – kulturowa podróżniczka, absolwentka filmoznawstwa i filologii polskiej UAM w Poznaniu. Doktorat obroniła w Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Wrocławskiego. Pracuje jako adiunkt w Katedrze Dziennikarstwa Ekonomicznego i Nowych Mediów Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach. Zajmuje się metodami i technikami wizualnego projektowania informacji, *design thinking* i *user experience design*.

¹ Cf. T. Kostyrko, *Pojęcie dzieła sztuki a sztuka współczesna*, w: *Estetyka i Krytyka* 5 (2/2003), tekst dostępny pod adresem: <http://estetykaikrytyka.pl/art/5/kostyrko.pdf> [dostęp: 03.06.2017].

² Marek Krajewski, *Od odbiorcy do uczestnika. Znikający widz i jego współcześni następcy*, w: *Co z tym odbiorcą? Wokół zagadnienia odbioru sztuki*, red. Monika Kędziora, Witold Nowak, Justyna Ryzek, Wydawnictwo Naukowe Wydziału Nauk Społecznych UAM, Poznań 2012, s. 79.

³ Marta Smolińska-Byczuk, *Puls sztuki: około wybranych zagadnień sztuki współczesnej*, Wydawca Galeria Arsenał, Poznań 2010, s. 51.

⁴ Cf. Frederic Jameson, *Postmodernizm i społeczeństwo konsumpcyjne*, tłum. P. Czapliński, w: *Postmodernizm – antologia przekładów*, red. R. Nycz, Universitas, Kraków 1998, s. 190 – 213.

⁵ Pod pojęciem analizy intelektualnej kryje się jednak pewne niebezpieczeństwo. Karol Franczak mówi, iż „intelektualizacja” sztuki staje się jednym z wielu składników współczesnego syndromu „uwiedzionego” społeczeństwa, które ma polegać na tym, iż specjaliści różnych dziedzin podają odbiorcom gotowe wyjaśnienia właściwie wszystkiego, co dla większości społeczeństwa stanowi nie tyle budowanie wiedzy w oparciu o obserwowalną rzeczywistość, a o raporty o niej. Cf. Karol Franczak, „Uwiedzienie” sztuki: problem intelektualizacji współczesnych działań artystycznych, w: „Kultura i Społeczeństwo” nr 1/ 2013, s. 69.



kRUCHa potęga

TADEUSZ MUSIOŁ

Takiej sytuacji w chorzowskim klubie nie było jeszcze nigdy. Owszem, spadek z ekstraklasy miał już miejsce, nawet trzykrotnie (1987, 1995, 2003), ale jego okoliczności oraz klubowy bałagan, w tym roku jest wyjątkowy. I nie da się ukryć, że, mimo wszystko, w Chorzowie powinna zapanować radość, bo to prawdziwe szczęście w nieszczęściu, że Ruch w przyszłym sezonie będzie mógł grać w pierwszej lidze. A do momentu pierwszej degradacji Ruch był JEDYNĄ drużyną, która nieprzerwanie grała w elicie.

Topór nad „Niebieskimi” wisiat od dłuższego czasu. Na to co dzieje się teraz w Chorzowie pracowano solennie nie od miesięcy, czy roku, ale od lat. Dramatycznie było już na początku XXI wieku, ale wówczas jakoś udawało się składać koniec z końcem. Degradacja w 2003 r.

okazała się być jedynie krótkim epizodem. Mocny ostrzegawczy sygnał, że w klubie dzieje się źle miał miejsce w 2007 r., kiedy czternastokrotny mistrz Polski mógł zostać pierwszym klubem w historii naszej ekstraklasy, któremu odmówiono licencji. Ze względu na spore zadłuże-

nie, piłkarska centrala odmawiała dopuszczenia zespołu do ekstraklasy, podkreślając ostateczność swojej decyzji, ale przy poparciu i gwarancjach władz lokalnych zdecydowała się ponownie rozpatrzyć wniosek i ostateczność, już ostatecznością nie była, a przeistoczyła się w *happy end*. – *Sytuacja była kryzysowa, ale cieszę się, skończyło się w ten sposób* – komentowała z uśmiechem ówczesna prezes Ruchu Katarzyna Sobstyl. To była szansa. Miała nastąpić poprawa sytuacji, były obietnice profesjonalizacji działań i czystości jeśli chodzi o finansowe zaległości. I chociaż ktoś będzie mówił, że w kolejnych sezonach Ruchowi udawało się sportowo awansować nawet do europejskich pucharów, to teraz, po latach, można stwierdzić, że z tamtej sytuacji wniosków nie wyciągnięto.

Już wtedy w Ruchu pojawił się późniejszy sternik tego klubu – Dariusz Smagorowicz, człowiek, który dziś budzi wiele, nierzadko skrajnych, emocji. Do klubu sprowadził go Mariusz Klimek, w pewnym momencie posiadający większość udziałów: – *Darka niezbyt ciągnęło do piłki nożnej, bo nie wiedział z czym to się je. Ale jak poczuł całą atmosferę futbolu połknął bakcyła*. Po kilku latach

Klimek jednak poróżnił się ze Smagorowiczem i w 2011 roku ten drugi kupił udziały tego pierwszego. W ten sposób Smagorowicz został większościowym udziałowcem Ruchu, a kilka miesięcy później został jego prezesem. W klubie jednak nie było kolorowo mówi Mariusz Śrutwa: – *Polityka Ruchu powodowała jednak, że zobowiązania rosły. Za wielkie pieniądze sprowadzano takich piłkarzy, a walka o licencje prowadziła do zaciągania kredytów z bardzo wysokimi odsetkami.* Na szczęście dla Ruchu problemy organizacyjne nie przekładały się na sportową rywalizację. Za czasów Smagorowicza Ruch trzykrotnie stał na podium Ekstraklasy i grał w europejskich pucharach. Ale Ruch staczał się coraz bardziej. Gdy Smagorowicz widział, że jest już bardzo źle poprosił miasto o gigantyczną pożyczkę – 18 milionów złotych. To była jedna z najgorętszych sesji rady miasta w historii Chorzowa. Prezydent Andrzej Kotala postawił sprawę jasno: – *Pomoc jest możliwa, ale kosztem innych inwestycji, m.in. stadionu.* Nie brakowało słów o szantażu: – *Moim zdaniem to było działanie celowe, żebyśmy nie mogli przeanalizować klubowej sytuacji. Od dawna Pan Smagorowicz wiedział, że sytuacja jest trudna, a z prośbą przyszedł tuż przed sesją* – mówił Jacek Nowak, przewodniczący Rady Miasta. Ostatecznie radni zaakceptowali pożyczkę, ale wyraźnie wskazywali winnego: – *Mam nadzieję, że ta sesja dała prezesowi Smagorowiczowi dużo do myślenia, bo to on doprowadził klub do takiej sytuacji. To wybór mniejszego zła* – mówił Kotala. Pożyczka była obfitą transfuzją mającą pomóc w otrzymaniu licencji, dzięki której Ruch wciąż był w ekstraklasie. W lipcu ubiegłego roku Dariusz Smagorowicz złożył dymisję. W klubie spędził dziesięć lat, z czego cztery w fotelu prezesa. Według wielu doprowadzenie klubu niemalże do bankructwa to głównie jego „zasługa”. Spłacając kolejne zobowiązania, Smagorowicz zaciągał kredyty na wieloprocentowe odsetki, grzebiąc klub coraz bardziej. Gdyby nie wspomniana już pożyczka zapewne dziś nie byłoby o czym pisać, bo Ruch, przynajmniej na jakiś czas, zniknąłby z piłkarskiej mapy Polski.

Miniony sezon, to nawet nie rollercoaster. To była równia pochyła. Piłkarze spisywali się przeciętnie, a dodatkowo pogubili się zarzą-

dający klubem. Choć wydawało się, że nadchodzi normalność. Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Akcjonariuszy powołało nową Radę Nadzorczą, zostawiając zaledwie dwie osoby z dotychczasowej, a przewodniczącą Rady – Aleksander Kurczyk zapowiadał nowe otwarcie i nowe życie. W sierpniu szefem klubu został Janusz Paterman. Biznesmen nie ukrywał radości i swoich ambitnych planów: – *To zaszczyt i wyróżnienie. Mam świadomość, że stoję przed poważnym wyzwaniem, ale ja się nie boję. Ruch mam we krwi i nie mogłem odmówić. Chcę zebrać wokół Ruchu osoby, które go kochają i wierzę, że będziemy w stanie razem powalczyć o piętnastą gwiazdkę.* Wraz z Patermanem do klubu mieli przyjść byli gracze Ruchu, m.in. Krzysztof Warzycha i Mariusz Śrutwa. Sprawy potoczyły się jednak niezwykle szybko i po trzech tygodniach Patermana w klubie już nie było. Wizje Ruchu rady nadzorczej i prezesa znacznie od siebie odbiegały i nie mogło być mowy o kompromisie. Rozmijano się m.in. w kontekście transferu Mariusza Stępińskiego do Francji. Paterman spodziewał się zarobić więcej i nie chciał się na niego zgodzić. W konsekwencji obaj odeszli z klubu – Stępiński do Nantes, a Patermana zwolnili. Decyzję tłumaczono tylko w enigmatycznych oświadczeniach. Stery na trzy miesiące przejął sam Kurczyk, jednocześnie szukając odpowiedniej osoby do zarządzania klubem. Chętnych nie było, więc, po wakacie, w styczniu ponownie został prezesem. A sytuacja Ruchu robiła się coraz trudniejsza. W międzyczasie za nie spłacanie zaległości Komisja Licencyjna PZPN ukarała „Niebieskich” odjęciem ośmiu punktów, cztery „zawieszając” pod warunkiem regulowania długów. Choć pojawiały się głosy, że to „zemsta stolicy” prezes Zbigniew Boniek za pomocą mediów społecznościowych zareagował dosadnie: – *Sami się karze poddali, czyli wiedzą, że kręcą i manipulują, później coś o jakiejś zemście mówią. Mali ludzie, szkoda kibiców i piłkarzy.* Cztery punkty odzyskano, ale atmosfera się zagęszczała. Jakby tego było mało w przerwie zimowej z klubem pożegnał się jeden z filarów zespołu Piotr Cwielongo.

Pomimo kłopotów wiosną chorzowianie prezentowali się bardzo dobrze. Potrafili ograć w Warszawie Legię, rozpoczynając serię sześciu

spotkań bez porażki. To dawało nadzieję. Ale później znów zaczęły dziać się rzeczy niesamowite. Po raz drugi w tym sezonie na stanowisko prezesa zatrudniony został Janusz Paterman, który kupił udziały Smagorowicza i został największym udziałowcem klubu. Po półrocznej nieobecności, jego plany jednak zbyt szybko się zmieniły. Różnica była taka, że przy drugim podejściu wcielił je w życie. Za Patermanem do klubu przyszedł m.in. Krzysztof Warzycha, który był przymierzany do roli wiceprezesa ds. sportowych. – *Ma spore kontakty w środowisku, ma renomę i szacunek. Dzięki jego pomocy mogliby trafić tutaj dobrzy piłkarze* – przyznawał Paterman. Losy potoczyły się jednak inaczej, bo jak królik z kapelusza wyskoczyła wieść, że z Ruchem żegna się Waldemar Fornalik. Były selekcjoner reprezentacji Polski, który był już po słowie z działaczami nie oczekiwał się podpisania umowy i postanowił odejść wydając oświadczenie: – *... to była decyzja zrozumieją tylko ci, którzy wiedzą jak blisko jestem związany z Ruchem i tworzącymi go ludźmi. (...) Niestety, wydarzenia ostatnich miesięcy – w tym szczególnie ostatnich dni – sprawiły, że nie czułem się już wyłącznie odpowiedzialny za osiągnięte wyniki...*”. Wprawdzie zespół był nad strefą spadkową, ale to był cios. Następcą Fornalika na ławce trenerskiej został, nie mający większego doświadczenia w tej roli, Krzysztof Warzycha. Widać było, że ustalając skład poruszał się po omacku. Niestety, do rozegrania było tylko siedem kolejek, na szukanie odpowiednich rozwiązań nie było czasu i misja nie została wykonana. Zadanie go przerosło i klubowa ikona nie zdołała uratować Ruchu. I choć utrzymanie naprawdę wydawało się mało prawdopodobne, to cios nokautujący, trzymając się bokserskiej terminologii, zadany został zdecydowanie poniżej pasa. O spadku zdecydował gol zdobyty przez Rafała Siemaszkę ręką. Ewidentną ręką, której nie dostrzegli jedynie sędziowie spotkania z Arką Gdynia. Do tego momentu Ruch prowadził 1:0 i mógł mieć isierkę nadziei, że w rozgrywkach jeszcze coś optymistycznego się wydarzy. Na strzelca posypały się gromy. Były selekcjoner, urodzony w Chorzowie Antoni Piechniczek grzmiał: – *Arbiter powinien mieć dożywotni zakaz sędziowania, a ja sam przerwałbym mecz. To jest skandal.* Skandal był,

ale rezultatu nie cofnięto, a meczu nie powtórzono. Były snajper niebieskich Mariusz Śrutwa dodawał: – *Ktoś powie, że nie spadliśmy tą ręką. Otóż spadliśmy. Gdyby nie ten gol, może Arka już by nie strzeliła? Może w ostatniej kolejce, u nas, mielibyśmy o co grać?* W Chorzowie próbowali jeszcze walczyć przy zielonym stoliku, ale nic nie wskórali. Marnym pocieszeniem będzie fakt, że jeśli kiedyś Ruch wróci do ekstraklasy, będzie w niej stosowany, wprowadzany już teraz, system VAR – video assistant referee, czyli nic innego, jak wideoanaliza. Ze Śrutwą można się zgadzać, albo nie, ale pewnie obie strony będą miały swoje racje. Wszak z 37 spotkań w sezonie Ruch wygrał tylko 10, a żadnego w fazie finałowej, kiedy to mobilizacja powinna być największa! Przy takim poziomie sportowym trudno myśleć o sukcesach. Zresztą wiadomo, że zawodnicy mimo zapewnień i zaprzeczeń, przy całej sytuacji klubu i medialnych doniesieniach, myśleli nie tylko o grze.

Ostatni mecz przy Cichej był tylko smutnym dopełnieniem całości. Starcie z Górnikiem łączna dla gospodarzy było jedynie grą o honor, a dla kibiców okazją do ujawnienia swojej głupoty. Z powodu rzucania rac na murawę, mecz kilkakrotnie przerywano. Ostatecznie udało się rywalizację dokończyć, choć trwa-

ła 23 minuty dłużej niż standardowe spotkanie. Mecz zakończył się remisem 2:2, obie drużyny spadły z ekstraklasy, a po końcowym gwizdku kilku wbiegających fanów gospodarzy powstrzymywali m.in. funkcjonariusze z konnego oddziału policji. Pożegnanie z najwyższą klasą rozgrywkową wypadło fatalnie i można śmiało twierdzić, że po czymś takim nikt zarządzający ekstraklasą, za klubem z Chorzowa tęsknił nie będzie.

Niewiele brakowało, by Ruchu nie było również na jej zapleczu. Pierwotnie Ruch licencję otrzymał, po czym ujawnione zostały dokumenty potwierdzające fakt niespłacenia premii graczom, którzy występowali w zespole w sezonie 2015/2016. Komisja ds. licencji przeanalizowała sprawę, po czym glejt na grę cofnęła, stawiając klubowi kilka warunków, jak łatwo się domyślić, finansowych. Walka o licencję trwała zdecydowanie dłużej niż zakładano, ale właściwy papier zdobyto. Władze Ruchu niemalże w ostatniej chwili uregulowały część premii, spłacili byłego trenera-koordynatora oraz doszły do porozumienia z klubem z Norymbergi, który partycipował w transferze Mariusza Stępińskiego. Udało się.

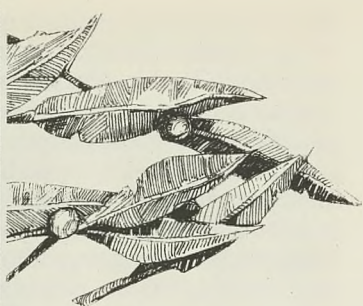
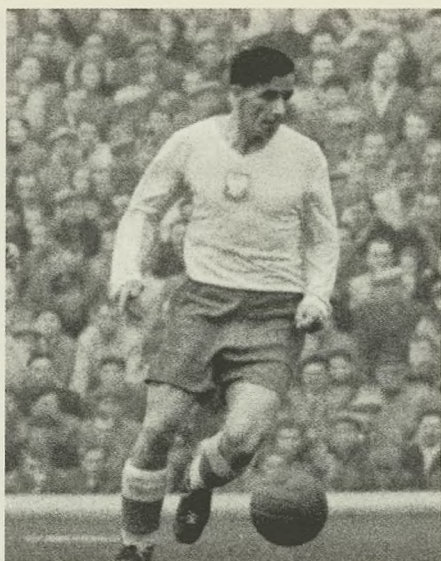
Ruch może grać w pierwszej lidze, ale co dalej? To pytanie jest owiane wielką tajemnicą. Wiadomo, że nie tylko piłkarze mają co robić.

W banku zastawiony jest herb klubu, czyli popularna „R-ka”. Mimo zawartych ugód, długi wciąż są. Sam Paterman jakiś czas temu przyznawał: – *Nie ma dnia, by nie kontaktował się komornik, zajęcia mnożą się z dnia na dzień. Konta są blokowane. Właściwie wydaje mi się, że klub pożyczył pieniądze już od wszystkich.* A jeden z klubowych działaczy dodaje: – *W tym klubie trupy nie wypadają z szafy, tutaj jest cmentarz.* W każdym razie, w Chorzowie nie wybrano drogi na skróty i czwartej ligi, choć może tak nakazywałby rozsądek. Znowu jest wyboiszcze i pod górkę. Czy 97-letnia maszyna jest taką trasą skutecznie pokonać? Czy pierwsza liga okaże się czyścim i uda się wprowadzić normalność. Czy może będzie tylko kolejnym etapem niezdrowej działalności i podobnie, jak po 2003 roku, Ruch kiedyś wróci do elity, ale problemy się nie skończą? Gdzie będzie Ruch na stulecie swego istnienia? Poczekamy, zobaczymy...

Tadeusz Musioł – dziennikarz redakcji sportowej Polskiego Radia Katowice. Specjalizuje się w piłce nożnej oraz hokeju na lodzie. Członek Międzynarodowego Stowarzyszenia Prasy Sportowej – AIPS oraz Klubu Dziennikarzy Sportowych.



Zdjęcia. Arch.



Gerard Cieślik, ur. 29.04.1927 r. w Chorzowie. Przez 12 sezonów w I lidze rozegrał 237 meczów i zdobył 167 bramek. Król strzelców 1952 r. – 11 goli; 1953 r. – 22 gole. Drugi najsukuteczniejszy w lidze: 1950 r. – 18 goli, 1951 r. – 19 goli, 1955 r. – 15 goli. W sumie w barwach Ruchu w różnych meczach zdobył 500 bramek. Z zespołem Ruchu wywalczył tytuł mistrza Polski w 1951, 1952 i 1953 r. oraz wicemistrzostwo w 1950 i 1956 r. W reprezentacji Polski zagrał 46 meczów i zdobył 27 goli. Dodajmy jeszcze 3 występy w reprezentacji Polska B. Najlepszy piłkarz Polski wybrany w plebiscycie z okazji 50-lecia Polskiego Związku Piłki Nożnej. W plebiscycie z okazji jubileuszu 75-lecia PZPN zajął 5 miejsce (za Kaziemierzem Deyną, Grzegorzem Lato, Zbigniewem Bonkiem, Włodzimierzem Lubańskim).

Grałem z Gerardem

HENRYK MARZEC

Wiedziałem, głównie z przekazów gazetowych, że jest taki futbolista. Reprezentant Polski, wyśmienity napastnik i wyborowy strzelec. Podpora Ruchu Chorzów, o którym mówiono: Jest Cieślik – jest Ruch. Nie ma Cieślika – jest bezruch.

Interesowałem się piłką nożną. Sam kopałem piłkę w AKS Niwka i to całkiem nieźle. Widocznie miałem to bracie ojca – Kazimierzu, który przed 1939 r. grał w pierwszoligowym zespole Śmigły Wilno. Nie było jednak okazji, by wybrać się do Chorzowa na stadion Ruchu i zobaczyć w akcji Gerarda Cieślika.

W końcu nadarzyła się taka okazja. Z ojcem pojechaliśmy na Stadion Śląski, 20 października 1957 r., na słynny mecz eliminacji do mistrzostw świata z ZSRR. Niesamowity mecz. Doping stu tysięcy widzów i olbrzymie emocje przez 90 minut. W bramce rosyjskiej stał Lew Jaszyn, jeden z najlepszych bramkarzy świata w tamtych czasach. A naprzeciw polska drużyna z Gerardem Cieślikiem. I stało się. Polska wygrała 2:1, a oba gole dla naszej reprezentacji zdobył Gerard Cieślik. Widownia niemal oszalała z radości. Gerard Cieślik został zniesiony na rękach przez rozra-

dowanych kibiców. Zapamiętałem ten mecz i Gerarda Cieślika.

Minęło sporo lat zanim osobiście zetknąłem się z Gerardem Cieślikiem. A było to spotkanie wyjątkowo miłe i sympatyczne. Otóż dziennik „Sztandar Młodych” (wydanie śląskie, którego byłem kierownikiem) ogłosił plebiscyt na najpopularniejszych i najlepszych sportowców Śląska na 25-lecie PRL. W doborowym towarzystwie razem z Józefem Schmidtem, Zbigniewem Pietrzykowskim, Marianem Kasprzykiem, Jerzym Chromikiem, Jadwigą Jędrzejowską, Edwardem Makulą, znalazł się Gerard Cieślik. Miła sympatyczna impreza kończąca plebiscyt odbyła się w Chorzowie, w Domu Kultury huty „Kościuszko”. I na tej imprezie miałem okazję porozmawiać z Gerardem Cieślikiem. Nie był już czynnym zawodnikiem. Zajął się trenerką, pracą z młodzieżą, m.in. był założycielem szkółki dla

trampkarzy w Ruchu. Współpracował z profesorem Murgotem, który w chorzowskim Startcie wychował całą plejadę młodych i dobrych piłkarzy. Przypomnijmy, że Start dwukrotnie zdobył mistrzostwo Polski juniorów. Po ukończeniu kursu instruktorskiego w katowickiej AWF przez pewien czas trenował Grunwald Halemba, Concordię Knurów. Był także, ale krótko, trenerem Ruchu. Nie uzyskał jednak większych osiągnięć w pracy trenerskiej.

Następne spotkanie z Gerardem Cieślikiem nastąpiło... na boisku piłkarskim. Katowiccy dziennikarze mieli sympatyczny kontakt z dziennikarzami z Ostrawy. Co jakiś czas spotykali się na boisku piłkarskim i rozgrywali towarzyskie pojedynki. Były takie uzgodnienia, że w obu ekipach może wystąpić jeden, a nawet trzech byłych zawodników. No i w ekipie katowickich dziennikarzy znalazł się Gerard Cieślik. W meczu z dziennikarzami z Ostrawy, na boisku w Witkowicach, zagrałem w drużynie z Gerardem. Sympatyczne przeżycie sportowe. Mecz przegraliśmy, nie pamiętam z jakim wynikiem. Pamiętam, że bramkę pięknym strzałem zdobył Gerard. A i mnie się poszczęściło. Też zdobyłem gola po dokładnym podaniu od Gerarda. I jak tu nie pamiętać o takim wydarzeniu.

Gerard Cieślik był niemal stałym gościem na Słupskich Dniach Sportu organizowanych przez redakcję „Sport” i władze miasta Słupsk. Młodzi chłopcy z uwielbieniem obserwowali Gerarda, który demonstrował im piłkarskie umiejętności. Zajęcia z Gerardem były dla nich olbrzymim i niezapomnianym przeżyciem. Dodajmy, że w mieście działał klub MKS „Cieśliki” Słupsk, który w juniorskiej rywalizacji całkiem dobrze sobie radził. To najsympatyczniejsze uznanie dla Gerarda za jego wkład w popularyzację piłki nożnej wśród młodzieży.

Droga Gerarda Cieślika na futbolowe wyżyny nie była specjalnie skomplikowana, ale obfitowała w wiele ciekawych wydarzeń, które nie zawsze pomagały mu w codziennym życiu. Ojciec Gerarda pochodził z Łabęd. Walczył o Polskę w powstaniach śląskich. W efekcie musiał po plebiscycie opuścić rodzinne strony i zamieszkał w Chorzowie-Batorym. Tutaj się ożenił. Gerard urodził się niecałe 250 m od boiska Ruchu. Zafascynowała go piłka nożna. Wspominał w jednej z moich z nim rozmów. „Zrobiłem sobie szmaciankę, z damskich pończoch i skarpet. Niezła była piłka, można było ją kopać, nawet odbiła się od ziemi. Chodziłem na treningi i mecze Ruchu. Stawałem zza bramkę i podawałem piłki. Wtedy mogłem kopnąć prawdziwą futbolówkę. Na początku wiosny 1939 r. poszczęściło mi się. Zostałem przyjęty do drużyny trampkarzy Ruchu i mogłem kopać prawdziwą piłkę”.

Wybuch wojny przyniósł nieszczęście. Rodzina uciekała przed Niemcami. Pod Wolbromiem ojciec zginął w czasie bombardowania. Z matką wrócili do Chorzowa. Gerard jako dwunastoletni chłopak musiał pomagać matce w utrzymaniu domu. Pracował w piekarni. Ciągnęło go jednak do piłki. Zaczął chodzić na treningi do niemieckiego klubu. Do gry namówił go Erwin Mikisch, który także po wojnie działał w piłkarstwie chorzowskim. Następnie zaczął grać w niemieckim Bismarckhutte SV.

W pierwszych miesiącach 1945 r. szybko skrzyknęli się działacze i zawodnicy Ruchu Wielkie Hajduki, którzy przetrwali wojenną zawieruchę. W gronie tym znalazł się 18-letni Gerard. Jego umiejętności piłkarskie natychmiast dostrzegli starsi koledzy. I Gerard szybko zaczął być podstawowym zawodnikiem Ruchu. Pierwszego gola dla Ruchu zdobył w zwycięskim meczu ze Zgodą Bielszowice 6:0 w eliminacjach okręgowych 12.09.1945 roku.

Od tego momentu o zawodniku chorzowskiego Ruchu było coraz głośniej w światku futbolowym. Nic też dziwnego, że szybko trafił do reprezentacji. Zadebiutował w niej w meczu z Norwegią 11.06.1947 roku. Polska przegrała 1:3, ale Gerard zebrał pozytywne recenzje za swoją grę. Pierwszego gola w reprezentacji zdobył Gerard w przegranym meczu z Rumunią w Warszawie 19.07.1947 roku. W następnych dwóch latach Gerard rozegrał 11 meczów w reprezentacji i zdobył kolejne gole (10 bramek). W drużynie reprezentacyjnej Gerard zaprzyjaźnił się z Mieczysławem Graczem – wyśmienitym zawodnikiem Wisły Kraków, który młodemu chorzowianinowi w dużym stopniu pomógł w rozwoju futbolowej kariery. Byli przyjaciółmi na boisku i poza nim.

W tym czasie Gerardem zainteresowali się inni. Były oferty z Łódzkiego KS. Podczas wizyty w Szkocji z reprezentacją Śląska jeden z tamtejszych klubów Aberdeen proponował mu roczny kontrakt za niekie pieniądze. Miał propozycje z belgijskich klubów. Namawiano go na wyjazd do USA. Odmawiał i dodawał, że w Chorzowie jest jego dom i jego Ruch.

Niewiele brakowało, aby opuścił Chorzów i Ruch. Niespodziewanie otrzymał kartę powołania do wojska. Stał za tym warszawski CWKS Legia. W Chorzowie powstało zamieszanie, ale postanowiono walczyć o Gerarda. Do akcji włączył się poseł Wiktor Markieška, przedwojenny zawodnik Śląska Świętochłowice i sympatyk Ruchu. Razem z Gerardem pojechali do Warszawy i poprosili o pomoc Aleksandra Zawadzkiego, który w pierwszych latach powojennych był wojewodą śląsko-dąbrowskim. Ten z kolei skontaktował się z marszałkiem Konstantym Rokossowskim. I problem został rozwiązany. Gerard został w Ruchu.

W następnych latach Gerard błyszczy na krajowych boiskach. Z drużyną Ruchu sięga po trzy tytuły mistrza Polski



Final plebiscytu „Sztandaru Młodych”. Laureat Gerard Cieślak odbiera upominek od autora niniejszego artykułu. Z boku Zbigniew Pietrzykowski również laureat plebiscytu.

i jeszcze Puchar Polski. W reprezentacji gra dobrze i skutecznie. Zdobycie kolejne gole.

Niezapomnianym przeżyciem był wyjazd na Igrzyska Olimpijskie w Helsinkach 1952 roku. Występ naszej reprezentacji nie był udany. Polska drużyna wygrała z Francją 2:1, ale przegrała z Danią 0:2 i odpadła z dalszej rywalizacji.

W następnych latach występował w reprezentacji, ale nie we wszystkich meczach.

W roku 1956 i 1957 niespodziewanie Gerard został „odstawiony” od reprezentacji. Zaczęto mówić, że jest za „stary”. Nie zagrał w 9 spotkaniach naszej reprezentacji. Zabrał go w drużynie w meczu z NRD na oficjalnym otwarciu Stadionu Śląskiego 22.07.1956 roku. Nie zagrał też w pierwszym meczu eliminacyjnym do mistrzostw świata z ZSRR – przegranym 0:3. Ówczesny trener reprezentacji

Ryszard Koncewicz nie widział Gerarda w drużynie, którą prowadził. Stawiał na młodszych, ale bez dobrych efektów.

Powrót Gerarda do reprezentacji wypadł wspaniale. Mam na myśli dwa gole zdobyte w pamiętnym meczu z ZSRR na Stadionie Śląskim. Zaliczył Gerard jeszcze 7 meczów w reprezentacji, w których zdobył trzy gole. Przyszedł jednak pożegnalny mecz w reprezentacji. Był to mecz 14.09.1958 r.: w Chorzowie, przegrany z Węgrami 1:3. Gerard Cieślak grał jeszcze w zespole Ruch przez rok. Postanowił jednak zakończyć boiskowe występy. Nastąpiło to 15.11.1959 r. w spotkaniu ligowym z Wisłą Kraków.

I tak skończyła się futbolowa przygoda jednego z najlepszych naszych piłkarzy, który na stałe wszedł do historii polskiej piłki nożnej. Wspaniały sportowiec i człowiek. Wierny swojemu Ruchowi.



Jego drużyną był zawsze Ruch Chorzów



Sprintem ze Lwowa do Bytomia

JERZY MACHURA

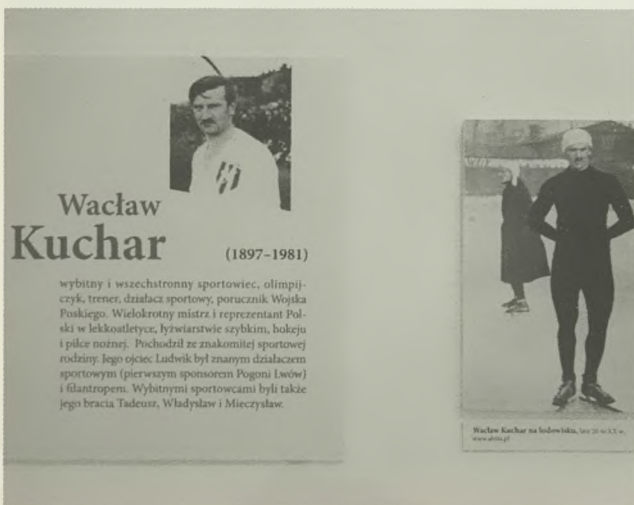
Że wiele łączy Bytom ze Lwowem dobrze wiedzą historycy i oczywiście sami mieszkańcy Bytomia. Także kibicom sportowym wiadomo, że w dziejach miejscowego klubu Polonia niepoślednią rolę odegrali lwowiacy, że tradycyjnymi barwami bytomskiej drużyny są kolory niebieski i czerwony, odziedziczone, podobnie jak herb klubowy, po Pogoni Lwów. Nic więc dziwnego, że akurat w tu-tejszym Muzeum Górnośląskim (w budynku przy ul. Korfańskiego 34) zorganizowano wystawę *Sport na Kresach. Początki*, nad którą pa-

tronat medialny objęła także redakcja „Śląska”.

Zgromadzone tu eksponaty i fotografie pochodzą ze zbiorów m.in. Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie, Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem, Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu czy Narodowego Archiwum Cyfrowego. Oglądać tu możemy m.in. wiernie odtworzony model Sali gimnastycznej Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” z 1884 r., sprzęt do ćwiczeń gimnastycznych, dawniejsze rowery (Lwowskie Towarzystwo Cyklistów), ówczesne klingi

szermiercze (Lwowski Klub Szermierczy), narty (Karpackie Towarzystwo Narciarzy), także łyżwy, sprzęt lekkoatletyczny – m.in. dysk, kulę i oszczep, a nawet piłkarski strój Pogoni Lwów z lat 20. XX wieku. Zwraca uwagę również pamiątkowy medalik z 1892 r., z okazji pierwszego Zjazdu TG „Sokół”.

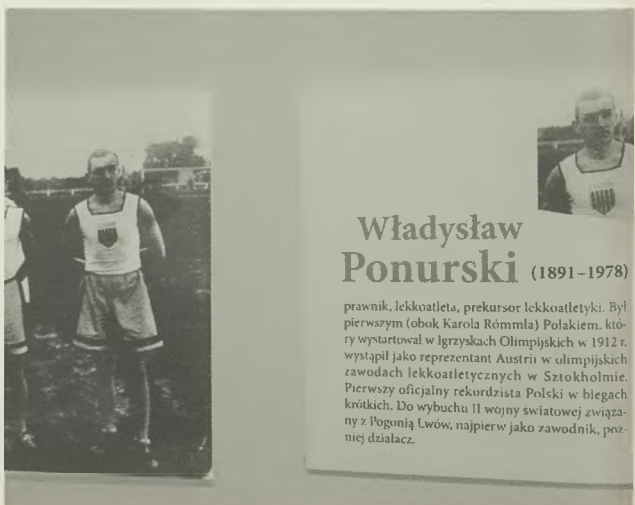
Zwiedzanie wystawy pozwala „przenieść się w czasie”, a co starszym miłośnikom sportu powspominać czasy, gdy sami w podobnych butach kopali podobną skórzaną piłkę, czy śli-



Wacław Kuchar

(1897–1981)

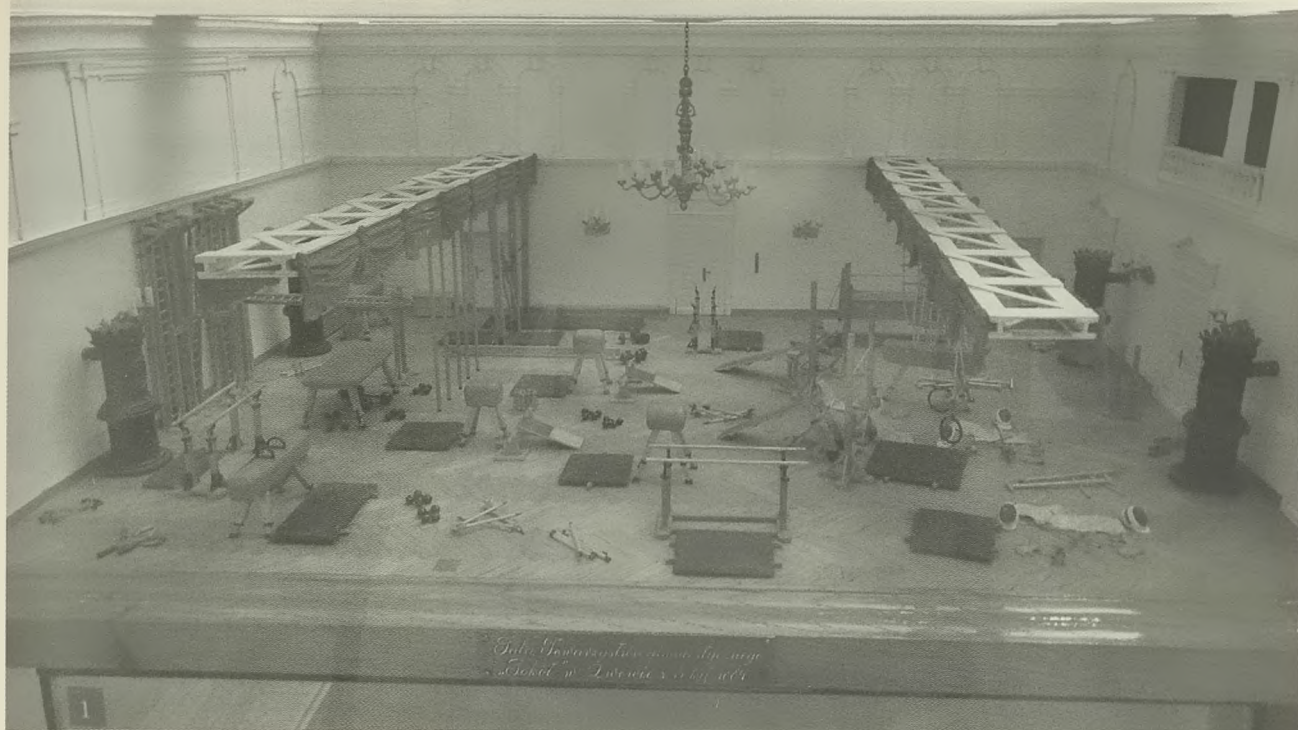
wybitny i wszechstronny sportowiec, olimpijczyk, trener, działacz sportowy, porucznik Wojska Polskiego. Wielokrotny mistrz i reprezentant Polski w lekkoatletyce, łyżwiarstwie szybkim, boksie i piłce nożnej. Pochodził ze znakomitej sportowej rodziny. Jego ojciec, Ludwik, był znanym działaczem sportowym (pierwszym sponsorem Pogoni Lwów) i filantropem. Wybitnymi sportowcami byli także jego bracia Tadeusz, Władysław i Mieczysław.



Władysław Ponurski

(1891–1978)

prawnik, lekkoatleta, prekursor lekkoatletyki. Był pierwszym (obok Karola Rómmla) Polakiem, który wystąpił w Igrzyskach Olimpijskich w 1912 r. wystąpił jako reprezentant Austrii w olimpijskich zawodach lekkoatletycznych w Sztokholmie. Pierwszy oficjalny rekordzista Polski w biegach krótkich. Do wybuchu II wojny światowej związany z Pogonią Lwów, najpierw jako zawodnik, później działacz.



zgał się na zbliżonych wyglądem łyżwach... Dzięki wystawie dowiadujemy się wiele o historii galicyjskiego sportu. Bo przecież działały tam nie tylko TG „Sokół” czy Pogoń Lwów, ale i: Czarni Lwów, Lechia Lwów, AZS Lwów, Pogoń Stryj, TKS Kresy Tarnopol, Rewera Stanisławów, Podiła Tarnopol czy Hasmonea Lwów.

W nazwie wystawy zawarto słowo: „Początki”, bo właśnie na Kresach Wschodnich, a w szczególności w Galicji narodził się polski sport, tu powstawały podwaliny kultury fizycznej naszego narodu. Tam przecież działali znani teoretycy i prekursorzy wychowania fizycznego jak: Wenanty Piasecki, Henryk Jordan, który przyczynił się do wprowadzenia lekcji gimnastyki do polskich szkół, Kazimierz Hamerling – jeden z pierwszych polskich sprawozdawców spor-

towych czy Władysław Ponurski – pierwszy Polak, który wystartował w Igrzyskach Olimpijskich, w 1912 r. w barwach austriackich jako lekkoatleta. Ich podobizny możemy zobaczyć na fotografiach, podobnie jak Karola Rommela, wybitnego jeźdźcę, trzykrotnego olimpijczyka – najpierw w barwach zaborcy Rosji, a potem już w reprezentacji Polski, dla której zdobył brązowy medal w 1928 roku. Dowiemy się tam także o Wacławie Kucharze – najwszechstronniejszym chyba sportowcu w dziejach Polski, reprezentancie kraju w piłce nożnej, hokeju na lodzie, łyżwiarstwie szybkim i lekkoatletyce.

Zatem, komu sport bliski, a zwłaszcza ten bytomski, niech bieży do Muzeum Górnolśląskiego, by w tytułowym „sprinterskim”, ale wielce pouczającym

tempie zobaczyć jak to było na początku. Ekspozycję zwiedzać można do 27 sierpnia br., a kogo interesują szczegóły i opowieści powinien skorzystać z propozycji spotkań z kuratorem wystawy – Mieczysławem Dobkowskim, który interesująco opowiadać będzie o sporcie na Kresach w dniach 20, 23 i 27 sierpnia.

Na marginesie taka oto refleksja: może ta wystawa wyzwoli choćby iskrę pozytywnych myśli i inspiracji u kibiców, a zwłaszcza u decydentów współczesnego sportu w tym mieście? Bo przecież, skoro Bytom, to nieodparcie kojarzą się nazwiska Szymkowiaka, Liberdy czy Anczoka – piłkarzy Polonii, przypominają się sukcesy futbolistów Szombierek, koszykarzy Stali Bobrek. Oj, marzy się kibicom z Bytomia powrót do świetlnych czasów... ■



Z BOGDANEM TOSZĄ rozmawia MAREK LYSZCZYNA



Reżyser „interdyscyplinarny”

– Zaczniemy od niezwykłego wydarzenia, które miało miejsce prawie 25 lat temu na deskach Teatru Śląskiego, trzy wielkie nazwiska – Josif Brodski, Czesław Miłosz, Tomasz Venclova – spotykają się przy okazji przyznania Brodskiemu tytułu doktora *honoris causa* na Uniwersytecie Śląskim. Podobno na uczelni można było, choć z trudem, jakoś znaleźć wolne miejsce, ale w Teatrze Śląskim już nie.

– Owszem, a to i tak była większa sala niż ta, gdzie powinno się odbyć spotkanie, czyli aula Uniwersytetu Śląskiego. Uruchamia pan najprzyjemniejsze obszary w mojej pamięci... Jak to się zaczęło? Rok wcześniej objąłem stanowisko dyrektora teatru i miałem kilka prostych założeń. Wśród nich był pewien rodzaj zobowiązania w stosunku do patrona teatru, Stanisława Wyspiańskiego.

Ważne było także to, że od 1983 w tym teatrze reżyserowałem. Spotkało mnie tam sporo przyjemności – były przedstawienia, które są dla mnie ważne do dzisiejszego dnia. Wśród nich pierwszy *Garbus* Mrożka z legendarnym aktorem śląskim Emirem Buczackim. To był aktor znany z roli przyjaciela młodego faraona w filmie Kawalerowicza, o niezwykłej urodzie, nadzwyczajna osobowość teatralna. To wszystko już legendy. U schyłku życia zagrał *Barona* w moim *Garbusie*. Następnym spektaklem była *Dacza* Ireneusza Iredyńskiego, która się okazała wielkim sukcesem frekwencyjnym. To nie były pozycje lekkie łatwe i przyjemne... to były różnego rodzaju zadania intelektualne, rozmowa z publicznością. Napawało mnie radością, że to znajduje oddźwięk. Potem było wiele innych przedstawień, wśród nich dwa nie-

zmiennie ważne: jedno z inspiracji dyrektora Jerzego Zegalskiego, sztuka Jarosława Marka Rymkiewicza, dzisiaj nieco dziwnej postaci w świecie literackim. Wtedy napisał kilka dramatów o niezwyklej prowokacji intelektualnej. Wśród nich był *Dwór nad Narwią* (1985 r., *przyp. red.*), o którym słyszę, że się wraca do niego także i dziś. W latach osiemdziesiątych było to bardzo szczególne rozliczenie z romantyzmem, i poprzez to rozliczenie próba diagnozy stanu duszy polskiej. To mnie fascynowało. Poza tym – to wyjątkowy utwór z punktu widzenia reżysera. Gdybym chciał zrealizować cały tekst autora, spektakl trwałby siedem godzin. Opracowanie tekstu nie było prostą pracą, trzeba było naprawdę najpierw mieć koncepcję, a potem według niej przygotować tekst.

– Czyli wtedy Rymkiewicz pisał takie dramaty „wagnerowskie”...

– Tak! Wszystkie te jego dramaty są takie wagnerowskie... Zdziwiłby się pan, to jak *Żmierzch bogów!* Ta sztuka dzieje się w jakimś opuszczonym dworku, do którego przyjeżdżają potomkowie rodzin szlacheckich, a najbliższym sąsiadem dworku jest romantyczny polski cmentarz i z grobów wychodzą bohaterowie polskiego romantyzmu. Na koniec spektaklu cały dworek wali się i dochodzi do zagłady tego świata, tej przestrzeni. Tak, dosłownie wagnerowskie założenia... Wspominam to jako wielką intelektualną przygodę. Ale muszę powiedzieć o jeszcze jednym przedstawieniu: *Dom, który zbudował Jonathan Swift* Grigorija Gorina. Miałem wtedy, jako młody reżyser, dużą otwartość na współczesną dramaturgię. Obcy był mi teatr publicystyczny, szukałem sztuk metafizycznych. To była sztuka napisana przez rosyjskiego Żyda, który miał szalone kłopoty z komunistyczną cenzurą. Był znany w świecie zachodnim, ale my nie znaliśmy jego teatru. Na jego sztukę trafiłem trochę przypadkiem i zachwyciłem się. Pomysł był taki, że tytułowy Jonathan Swift jest fundatorem pierwszego domu dla psychicznie chorych w Dublinie i staje się zarazem pierwszym jego pacjentem. Ten pisarz, którego wszyscy znamy od dziecka, nagle stanął przede mną jako pisarz polityczny. Wygłaszał tak zwane milczące kazania – w katedrze św. Patryka w Dublinie. To milczenie było bardziej wymowne i krytyczne w stosunku do władzy niż jakiekolwiek teksty. Koncept był taki, że władza utrzymuje społeczeństwo w pogładzie, iż mamy do czynienia z wariatem. Naraz dochodzi do zmiany – przychodzi nowy lekarz, który opiekuje się Swiftem i wyrokuje: on jest zdrowy! Na to władza mówi: niech pan się zastanowi! Jeśli jest zdrowy – musi zginąć! Tego rodzaju poglądy można przypisać tylko wariatowi. Taka sztuka oczywiście nie miała szans w ZSRR, gdzie wszystkich dysydentów kierowano do zakładów psychiatrycznych. Powiedziałbym, taka nadzrędną aluzja Gorina była oczywista. Wiąże się z tym jeszcze jedna anegdota. Premie-

ra była jesienią, dyrektor zdecydował, że to będzie nasza propozycja na Festiwal Sztuk Rosyjskich i Radzieckich w Katowicach. Po latach trzeba powiedzieć, że ten festiwal był niebywale lubiany przez publiczność. Dyrekcja płaciła frycowe, zapraszając Aleksandra Gelmana czy Michaiła Szatrowa, ale tak naprawdę przyjeżdżały najlepsze przedstawienia z Warszawy i Krakowa, z klasyką rosyjską, w świetnych inscenizacjach i ze świetnymi aktorami. Prawdziwy magnes dla publiczności. To wszystko ma taki związek z pańskim pytaniem, że kiedy w 1989 r. zmienił się system, zlikwidowano ten festiwal. Poszedłem wtedy do ówczesnego wojewody i zaproponowałem, żeby aktem wolności nie dla tego, że nam Sowietci każą, ale dlatego, że my chcemy zachować ten festiwal. Odrzucił człon radziecki i zostawić Festiwal Sztuk Rosyjskich. Akurat wtedy Krystian Lupa zrealizował *Braci Karamazowa*, Jerzy Grzegorzewski *Śmierć Iwana Ilicza* Tolstoja, była cała grupa najlepszych przedstawień według rosyjskiej literatury. Uważałem, że artystycznie przekonam go do tego pomysłu. Niestety nie znalazłem zrozumienia, a co więcej, padły na mnie podejrzenia o skłonności prorosyjskie – uzasadnione tylko w jeden sposób, literatura, w tym dramaturgia rosyjska, była dla mnie bardzo ważna. Znałem Natalię Gorbaniewską, znałem Giennadija Ajgiego – to był taki wnuk supematyzmu, przyjaciel Borysa Pasternaka, wielki poeta, przez lata kandydat do Nobla, zablockowanego oczywiście przez Sowietów. Do tego wspaniały tłumacz z francuskiego i polskiego. Jego ulubionym polskim poetą był Norwid. Chciałem zachować ten festiwal i stworzyć wokół niego dodatkowe wydarzenia także muzyczne – wtedy jeszcze Arvo Pärt czy Sofia Gubajdulina, Walentyn Silvestrov byli obywatelami rosyjskimi i można to było połączyć w pakiecie. Niestety odrzucano ten projekt. Ale ja się nie poddałem i zacząłem myśleć, co zorganizować w zamian. Stworzyłem projekt, który miał być analizą naszego stosunku do sąsiadów. I to mi się udało w dużym stopniu zrealizować. Wymyśliłem, że zaczniemy od Rosji. W 1987 r. Brodski otrzymał nagrodę Nobla, ja byłem wtedy w Hamburgu na stypendium Międzynarodowego Instytutu Teatralnego. Tam mnie zastała wiadomość i dzięki Bibliotece Polskiej miałem możliwość przeczytania Brodskiego, wszystkiego co się dało. Kiedy wróciłem dyrektor zapytał co chcę zrobić. Powiedziałem – *Marmur*. On się wtedy przeraził, ale powiedział: *skoro pan bardzo chce – to proszę*. Przedstawienie miało szereg różnych konsekwencji, zostaliśmy zaproszeni do Moskwy. W tym czasie Brodski przyjechał do Polski na zaproszenie Miłosza. Spotkaliśmy się kilkaset metrów stąd od Filharmonii Krakowskiej, w Krzysztoforach, po spotkaniu z ruscystami z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Byłem tuż przed moją premierą – Brod-



Spotkanie Czy literatura rosyjska jest nam potrzebna? 1993 r. od lewej: Bogdan Tosza, Josef Brodski, Czesław Miłosz, Tomas Venclova, Andrzej Drawicz

ski napisał mi dedykację z zaznaczeniem, że to tylko 80 kilometrów stąd.... Nie było szans, żeby pojawił się na premierze, ale w 1993 r. w styczniu zaprosiłem prorektora UŚ i rzuciłem pomysł, aby przyznać Brodskiemu tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego, akurat było 25-lecie uczelni, projekt spotkał się z entuzjazmem. Po Brodskim przyszedł czas na Barańczaka, Derride, Kapuścińskiego... Mnóstwo fantastycznych nazwisk. Uczę od 25 lat na UŚ i bardzo utożsamiam się z tą uczelnią! Wkrótce nastąpił wspaniały okres „rektorowania” Tadeusza Sławka, który sprawił, że coś istotnego się tutaj stało. A w teatrze byli Niemcy, dni Güntera Grassa... mieli być jeszcze Czesi. Jizi Menzel miał reżyserować *Mieszczanina szlachcicem* Moliere. Cóż... nie wszystko się udaje. Ale udało się bardzo dużo, miałem satysfakcję, że kontynuuję taką krakowską szkołę w Teatrze Śląskim. W moim odczuciu najlepszym dyrektorem teatru był Marian Sobański, którego Michał Grażyński ściągnął do Katowic, swojego kolegę

z ławy szkolnej. W 1936 r. nadano teatrowi imię Stanisława Wyspiańskiego. Chciałem z tego wszystkiego zrozumieć coś dla siebie. Zdałem sobie sprawę, że to jest jedyny teatr Wyspiańskiego w Polsce. Wyspiański jest największym w historii naszej kultury artystą interdyscyplinarnym! Poeta, dramaturg, reżyser, scenograf, malarz, grafik, rysownik, nawet kompozytor. Założyłem zatem w teatrze trzy galerie, na pierwszym piętrze, we foyer sceny kameralnej oraz na 2 piętrze, którą oddałem Romanowi Kalarusowi. Zawarliśmy umowę na konkurs na plakat do każdego spektaklu wśród jego studentów, a nagrodą był ich druk. W naturalny sposób powstała galeria plakatu. Na dużą scenę projektował prof. Kalarus. Otworzyłem też Malarnię – niebywałą przestrzeń – 13 listopada 1992 r. w piątek...

– W byłej łoży masonskiej....

– I napisałem o tym pierwszy tekst – dzisiaj wisi tam niestety inny... Napisałem, że to dawna łoża masonska, która oczekuje nowego życia. I tak się



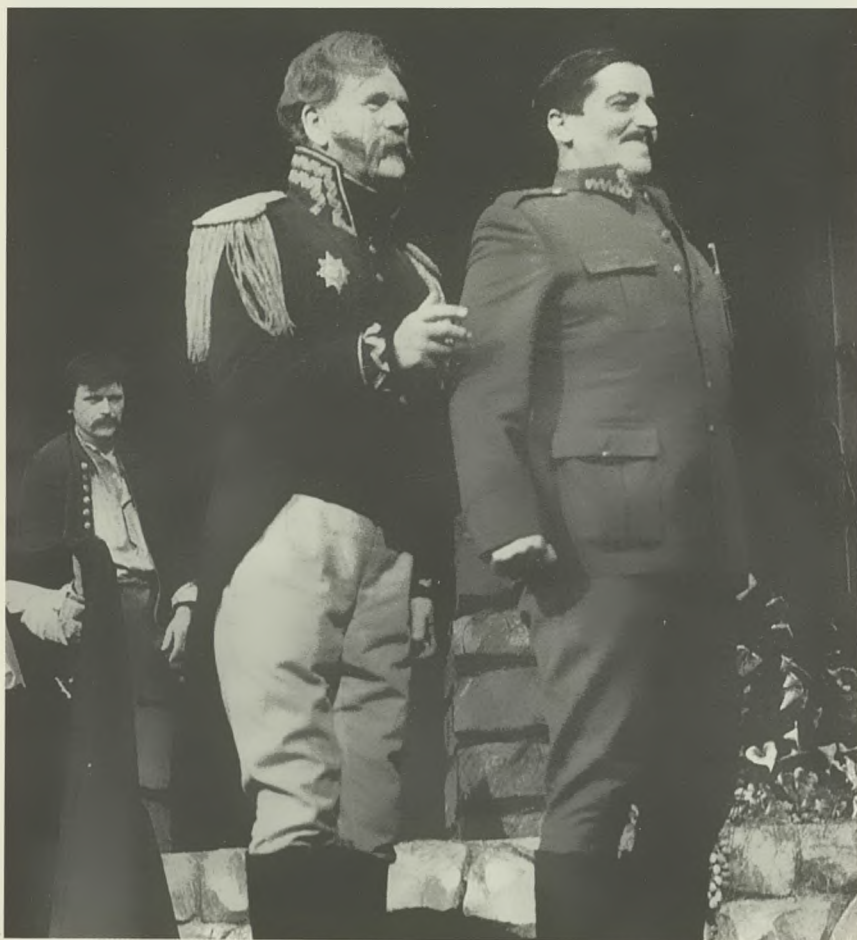
Dni Güntera Grassa. 1996, od lewej: Ryszard Krynicki, Sława Lisiecka, Bolesław Lubosz, Bogdan Tosza, Egon Naganowski, Bolesław Fac, Eugeniusz Wachowiak



S. Mrożek „Garbus”, reż. B. Tosza, scen. W. Lange, 1983

stało – otworłem tę przestrzeń na nowe formy. Oprócz spektakli, wieczorów poezji, akcji plastycznych, koncerty: Anna Górecka i Eugeniusz Knapik grali utwory Henryka Mikołaja Góreckiego, który siedział na sali w chabrowym sweterku... Szukaliśmy śląskich tropów... Białas, kompozytor żyjący po wojnie w Monachium – po raz pierwszy zagraliśmy go w Katowicach, Kwartet Śląski, wreszcie Witold Szalunek. Proszę sobie uświadomić jego awangardowość i opowieść o Hildegardzie z Bingen! Przejmuje mnie ból, że

tęgo nie zarejestrowaliśmy. Dzięki pani Danucie Musioł zrobiliśmy jednodniową wystawę *Kantaty masełkowej* Mozarta. Oboje byliśmy tak przejęci, że nikomu nie ufaliśmy, ani ona, ani ja. Bałiśmy się odpowiedzialności. Nikomu innemu tej warty przy kantacie nie oddaliśmy! To są nadzwyczajne rzeczy. Wśród nich jest także wieczór poezji Józefa Brodskiego, który on sam zaliczył do trzech najważniejszych wydarzeń w jego życiu. Muszę mu wierzyć. Powiedział wtedy, że pierwszy raz słyszał swoją poezję mówioną przez młodych ludzi.



J.M. Rymkiewicz „Dwór nad Narwią”, reż. B. Tosza, scen. B. Stopka, 1984

Zawsze dotąd ją recytował sam. Ogromnie się wzruszył. Te dwa pozostałe wydarzenia, to wtedy gdy się dowiedział, że do jego pierwszego wydania poezji w USA wstęp napisze Wystan Hugh Auden, a drugi, kiedy się dowiedział, podczas wywiadu w BBC w Londynie o znaczeniu jego *Kolędy stanu wojennego*. Zadzwonił wówczas Woroszyński, żeby mu powiedzieć, że *Kolęda...* była wierszem, którego się uczyli wszyscy internowani... Trzecie najważniejsze wydarzenie dla Brodskiego to wspomniany wieczór w Malarni...

– **Cofnijmy się do jeszcze wcześniejszych czasów. W 1979 roku wystawił pan w Częstochowie *Dom Bernardy Alba* Frederico Garcii Lorki. Jak ówczesna publiczność ją przyjęła?**

– Świetnie! Teatr poetycki... w tym tekście jest mnóstwo poezji... a jednocześnie tam był wpisany reżimowy, zamknięty sposób prowadzenia domu. To mnie przejmowało i utożsamiałem się z taką diagnozą. Publiczność bardzo intensywnie to czytała. Wszystkie kobiety marzą o Pepe Romano, który jest miłością kilku córek. Jedna z nich ukrywa zdjęcie pod poduszką. Trzeba było zdecydować coś z tym zdjęciem. Szukałem, nic mi się nie podobało... W końcu z fotografią wymyślił, że to będa ja! Zrobił mi takie zdjęcie w sepii i w ten sposób zagrałem w tym spektaklu... W tym świecie są fascynujące, kipiące emocje, to było niesamowite, byłem zafascynowany postacią babci, którą się ukrywa, bo jest szalona. Zagrała ją znakomita aktorka, pani Krystyna Biel-Wagner... Sporo wspomnień.

– **A potem realizował pan w Teatrze Śląskim *Pokojówki* Jeana Geneta – dość kontrowersyjny autor...**

– *Pokojówki* były później... dobrze układała mi się współpraca z aktorami, Maria Stokowska-Misiurkiewicz, Alina Chechelska, która zadebiutowała w sztuce Różewicza, a potem w moim *Mężu i żonie*. Doszła także Ewa Leśniak. Szukając pozycji, zaproponowałem Geneta. W czasie studiów założyłem teatr szkolny, ale nie taki dyplomowy, tylko dla nas, studentów reżyserii. Byłem jego niepisany dyrektorem, nie mogłem zatem zacząć od siebie [śmiej]. *Ścisły nadzór* Geneta to pierwsza sztuka, którą chciałem wystawić. W tym spektaklu grali tacy koledzy, jak Krzysztof Globisz czy Lech Dyblik, dziś znany z filmów Smarzowskiego. Niestety, panie profesorki na wydziale aktorskim zabroniły im udziału w tym przedsięwzięciu... Próbowaliśmy po nocach, ktoś w końcu zasnął na zajęciach i skończyło się małym skandalem. Zabroniono udziału w zajęciach poza tokiem studiów i przedstawienie nie doszło do skutku. Ale Genet pozostał we mnie, był dla mnie ważny. Wtedy też wiedziałem, od paru lat bowiem dostępny był już *Dziennik złodzieja*, że Genet ma coś wspólnego z Katowicami. Prosiłem, aby napisać do aresztu na Mikołowskiej, czy są jakieś ślady. Jak wiadomo, Genet został przyłapany na nielegalnej próbie

przekroczenia granicy i aresztowany z partnerem, to było chyba w 1938 roku. Ta sytuacja została opisana w *Dzienniku*. Otrzymaliśmy wtedy bezwzględną odpowiedź, żebyśmy się do tego nie miesza- li. Ale parę lat później, kiedy jeden z mo- ich kolegów w Zabrzu reżyserował *Ścisły nadzór*, opowiedziałem mu o tym i uda- ło mu się parę śladów znaleźć – zdjęcia z kartoteki policyjnej itp. Z *Pokojówkami* byliśmy w Brukseli, gdzie wystawili- śmy je z pewnym sukcesem.

– **Nazwał pan w 1993 r. Katowice mu- zyczną metropolią.**

– Wiedziałem, do jakiego miasta w sensie muzycznym przychodzę. Jestem chyba z ostatniego pokolenia uznającego, że reżyser to ktoś „interdy- scyplinarny”. Egzamin na reżyserię by- ły kiedyś sprawdzaniem znajomości li- teratury, teatru, plastyki, muzyki, obyczajowości itd. Prawdziwy reżyser musiał mieć na ten temat jakąś wiedzę. Kiedy tu przyszedłem, trochę już wie- działem o Katowicach, wiedziałem, że jest to miasto nacechowane muzyką. Ty- le tylko, że tacy kompozytorzy jak Hen- ryk Mikołaj Górecki czy Wojciech Ki- lar to byli kompozytorzy nie mojego pokolenia, poznałem ich, darzyłem wiel- kim szacunkiem, ale tak naprawdę uwa- żałem, że powinienem dokonywać od- kryć pokoleniowych. Kto napisał muzykę do *Pokolenia i Kanału Wajdy*? Jan Krenz – dziś znany jako wybitny dy- rygent, który jest rówieśnikiem An- drzeja Wajdy. Tak to się wtedy działo, na korytarzach szkół. Moim środowi- skiem byli tak zwani *stalowolcy*: Lasoń, Krzanowski, Gabrys, Knapik. Także Piotr Ratko, wtedy młody kompozytor, mieszkał przy Kościuszki. Jego utwór debiutancki wykonano na Warszaw- skiej Jesieni. Krótko potem wyemigro- wał do Niemiec. To była intensywna znajomość. Lasoń na dwa sezony został kierownikiem muzycznym te- atru, Knapik do *Dworu nad Narwią* pi- sał muzykę. Nad tym wszystkim cały czas stoi NOSPR, Antoni Wit jest dyrek- torem, to znakomity okres NOSPR. Jest to także bardzo dobry okres dla Fil- harmonii Śląskiej, czasy Karola Stryji, którego byłem sąsiadem... W pobliżu mieszkał także świetny organista Julian Gembalski. W kościele ewangelic- kim, 300 m za teatrem, odbywały się koncerty, ten kościół był głównym miej- scem Śląskiej Jesieni Muzycznej, tam rozbrzmiewały prawykonania utworów. Pojawiał się także Szalonek, Górecki, Świder... Jak człowiek uświadomi sobie klasę tych nazwisk to jest coś niesamo- witego. Miałem głębokie poczucie tego, w jakim środowisku się znalazłem. Wiele z tych przyjaźni trwa do dzisiaj. Do tego jeszcze trzeba dodać – w plasty- ce także działy się wielkie rzeczy! Mit Jerzego Dudy-Gracza, osobnego szaleń- ca, chorego na Polskę. Z drugiej strony genialna szkoła śląskiej grafiki – pozna- łem wtedy i zaprzyjaźniłem się z Tade- uszem Michałem Sitarą. Przy ul. Dwor- cowej była galeria Związku Artystów



Anna Kadulka w „*Śmierci Ofelii*” S. Wyspiańskiego – spektaklu otwierającym Scenę w Malarni, 13 listopada 1992 r.

Plastyków. Zobaczyłem wystawę pod ty- tułem *Próba generalna*, studentki Sia- ry. Jak mogło mnie to nie zainteresować? Zacząłem jej szukać, tak trafiłem do Ta- deusza, i tak do dzisiaj się przyjaźnimy. A owa studentka wyszła za mąż za Wło- cha i wyemigrowała. Trzeci krąg to An- drzej Urbanowicz, do którego przyjeżdża Henryk Waniek, Jerzy Illg. Ezoteryka z jednej, a z drugiej strony awangarda... Zaraz wróci z Francji Piotr Szmítke, w BWA zaczynają się rozmaite poszuki- wania i okazuje się, że Malarnia jest świetną sceną do różnych akcji pla- stycznych, szaleństw. Niewiarygodny tygiel.

– **Co nam daje w życiu teatr, litera- tura, muzyka?**

– Rozmawiałem z filozofem, autorem książki *Życie wieczne*, laureatem tego- rocznej nagrody im. ks. Józefa Tischne- ra. Trwała dyskusja, czy w ogóle istnieje życie wieczne. Z kimś kto jest agnostykiem może być kłopot. Z kimś kto jest wierzący też jest kłopot, ci dwaj z trudem się porozumiewają. Porozumieć można się tylko w jednym. Jeśli się prze- żyje godnie życie, to jedno tu na ziemi, jest wielka szansa na życie wieczne. Nie mam wątpliwości, że Josif Brodski, Czesław Miłosz zasłużyli na życie wiecz- ne. Także Stanisław Barańczak, którego moim zdaniem rola tylko rośnie. Bara- ńczak, jeśli mogę tak powiedzieć, wyda-

je ciągle nowe książki. Niedawno wyda- no libretta Mozarta, Purcella, w tłuma- czeniu Barańczaka. Jest jeszcze mnóstwo innych rzeczy... Wtedy w 1993 roku na scenie teatru stał także Andrzej Drawicz... *Czy literatura jest nam po- trzeba do zbawienia?* Chciałem zrobić wówczas taki panel, ostatecznie zrezy- gnowałem w tytule z tego zbawienia... Na scenie Miłosz, Netz, Venclova, Ba- rańczak, Brodski. Kiedy Brodski przy- jechał, odbyło się u mnie w domu wie- czorne przyjęcie. Powiedziałem mu o tym pomyśle, a on mówi, że to zły po- myśl, trzeba to odwołać, zamarłem, wszystko było już przygotowane, poskar- żyłem się Miłoszowi i Czesław Miłosz powiedział do Brodskiego: jesteś w błę- dzie, to jest najważniejszy temat w Pol- sce. A Brodski słuchał Miłosza jak ojca i zgodził się, ale zastrzegł, że nie będzie mówić, komentować, tylko czytać wiersze. I proszę sobie wyobrazić, Miłosz mó- wi o Dostojewskim, Barańczak o Man- delsztamie, Venclova o Brodskim, Netz o Puszkynie, a Drawicz o Bułhakowie. Kiedy Barańczak zaczął mówić o Man- delsztamie, Brodski nachylił się do mnie i spytał: *czy mogę powiedzieć wiersz Mandelsztama?* Sza! na sali. Netz o Pus- zkinie, Brodski do ucha – *wiersz Puszkina...* Szkoda, że pamięć o tym nie przy- brała różnych trwałych form...



Notatnik spóźnionego przybysza

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Bieda i bogactwo narodów a wędrowki ludów

Światowi nomadzi

Banałem jest powiedzenie, że ludzie od zawsze wędrowali i zmieniali miejsce zamieszkania. Ale sam proces migracji miał i ma zróżnicowaną intensywność oraz historycznie odmienny charakter. O kilku lat jesteśmy świadkami zmierzonych ruchów migracyjnych, których przyczyną są głównie procesy globalne, czyli ogarniające cały świat, złożony dzisiaj ze 193 niezależnych państw. Procesy te coraz wyraźniej dzielą glob na regiony bogate i biedne, bezpieczne i niebezpieczne, dające nadzieję na dobre życie lub ją niszczące. Wszystko to sprzyja przemieszczaniu ludzi z rewirów biednych i niebezpiecznych do bogatych oraz bardziej spokojnych. Wpływa też w znacznym stopniu na przeobrażenia społeczności lokalnych i regionalnych, o czym w książce „Rwący nurt historii” pisał przed laty Ryszard Kapuściński: *Być może nawet dojdzie do tego, że będzie powstawał świat regionów. A mnie fascynuje to, w jaki sposób dokonuje się degradacja i rozpad tych starych struktur, powiązanych z poprzednią epoką świata, i jaka będzie nowa konfiguracja.*

Płynna i niepewna rzeczywistość

W tym kontekście należy podkreślić, że nigdy wcześniej procesy migracyjne nie

występowały z taką siłą i nie rodziły tak ważnych zmian, jak w drugiej dekadzie XXI stulecia. Jednak nie wszystkie kraje i regiony podlegają przeobrażeniom w tym samym tempie, co wytwarza wielkie globalne rozszczępienie, wręcz cywilizacyjne pęknięcie. Dlatego żyjemy w świecie pozbawionym pewności, w którym nic nie jest dane raz na zawsze. No, może poza śmiercią i podatkami. Wręcz przeciwnie. Świat stał się coraz mniej przewidywalny a my poruszamy się wśród niewiadomych i czasem niewytłumaczalnych zmian. Kontynenty, kraje i społeczności lokalne zaludniają jednostki, będące w nieustannej podróży. Jedni podejmują to wyzwanie ponieważ tego chcą, a inni – ponieważ są do wędrowki przymuszani. Migracje zatem to nie tylko prosta zmiana miejsca pobytu ale coraz bardziej odczuwalne skutki w życiu społecznym, politycznym, ekonomicznym i kulturowym określonej rzeczywistości społecznej. Najbardziej jest to dzisiaj widoczne w państwach Europy Zachodniej, zwłaszcza w Niemczech i Włoszech, które zmagają się z wielką falą uchodźców i migrantów z Afryki czy Azji. Taka sytuacja skłania do sformułowania tylko z pozoru prostego pytania: dlaczego ludzie wędrują?

Ludzie wędrują, ponieważ...

Czasami człowiek podejmuje decyzję o wyjeździe pod wpływem silnych emocji. Częściej jest to jednak racjonalny zamiar, w którym istotne znaczenie przypisywane jest wyznawanemu systemowi wartości. Ludzie podejmują decyzję o wędrowce, gdyż w ten sposób dążą do rozwiązania swoich egzystencjalnych problemów. To właśnie one wywołują w nich poczucie rozdarcia między oczekiwaniami, marzeniami, a realnymi możliwościami ich realizacji. Inaczej mówiąc, osoby które nie mogą zrealizować marzeń poszukują miejsc, gdzie ich spełnienie jest potencjalnie możliwe. Dzisiaj takie peregrynacje są łatwiejsze niż jeszcze kilkanaście lat temu, ponieważ wiele państw tkwi w strukturach ponadnarodowych, ale sama migracja często staje się trudnym przejściem z jednego kręgu kulturowego do drugiego. Ludzie zmieniają więc otoczenie ze względu na wartości niematerialne, takie jak język czy kultura, bądź podejmują próby odnalezienia własnej tożsamości. Dążą do poznania świata i poszukują miejsca, które pozwoli rozwijać ich indywidualność i umożliwi samorealizację. Nie należy zapominać, że wciąż ważne, czasem najistotniejsze, pozostają zasoby materialne. Bezrobocie, niskie zarobki, konflikty czy zanieczyszczenie środowiska to nadal dominujące przyczyny zmiany miejsca zamieszkania.

Na marginesie wychodźców polskich

Sięgając chociażby do treści pamiętników polskich emigrantów łatwo można zauważyć, że pierwotną przyczyną opuszczenia miejsca zamieszkania była chęć poprawy sytuacji materialnej swojej i rodziny. W większej liczbie Polacy zaczęli

opuszczać rodzime społeczności lokalne w XIX w., kiedy rozpoczęła się intensywna emigracja zaoczniczna. Od tego czasu zmieniała się intensywność wyjazdów rodaków, a także ich przyczyny. Do czysto ekonomicznych dołączyły z czasem polityczne, a w końcu i kulturowe. Jeszcze kilka lat temu zasadniczymi warunkami migracji poszukiwano więc w motywacjach finansowych. Człowiek rozważając wyjazd analizował informacje o kraju potencjalnej migracji przede wszystkim w kontekście korzyści i strat płynących z opuszczenia dotychczasowego miejsca zamieszkania. Analizując współczesne przyczyny migracji coraz częściej skłaniamy się, zwłaszcza w socjologii, ku teoriom kulturowym, które akcentują wagę wspólnot narodowo-etnicznych. Istotne są również powiązania sieciowe występujące w grupach rodzinnych czy sąsiedzkich. Takie relacje ułatwiają podjęcie decyzji o wyjeździe jako ścieżce bezpośredniego kontaktu z bliskimi.

Pożegnania lokalnej ojczyzny

Wybrane perspektywy procesu migracji mają szczególne znaczenie na Górnym Śląsku. To region powszechnie określany jako migracyjny. Na taką etykietę wskazują chociażby statystyki, które dowodzą, że wpływ ludności ze Śląska jest procesem trwałym. Przebiegającym wszelako w poszczególnych okresach z różnym natężeniem, zawsze jednak przynoszącym określone następstwa i skutki w sferze społecznej, ekonomicznej i demograficznej nie tylko dla regionu, ale i kraju. Jako istotne efekty negatywne wyjazdów można uznać zaburzenia procesów reprodukcji ludności czy ubytek wykształconych kadr. Ale jako szczególnie ważne należy wskazać osłabienie więzi rodzinnych i spadek poziomu integracji społecznej, co przyczynia się do degradacji większych bądź mniejszych zbiorowości społecznych regionu. Ale migracja rodzi również rezultaty pozytywne. Ludzie wyjeżdżają, aby poprawić warunki egzystencjalne, a transferując zarobione pieniądze do Polski inwestują albo w swój świat prywatny, albo ożywiają regionalną gospodarkę. Ponadto, wędrując do państw o wyższym poziomie rozwoju gospodarczego uczą się na nowo określonego stylu życia. Podnoszą też kwalifikacje językowe, co na rodzimym rynku pracy pozwala im lepiej funkcjonować. Górny Śląsk jeszcze przed przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej był uprzywilejowanym w kontekście możliwości migracyjnych. Dotyczyło to zwłaszcza tych mieszkańców, którzy legitymowali się podwójnym obywatelstwem, polskim i niemieckim. Po przystąpieniu do Wspólnoty szanse na wyjazd w całym kraju uległy wyrównaniu, ale Górny Śląsk pozostał nadal regionem w poważnym stopniu naznaczonym ruchami migracyjnymi, starszej i nowszej proveniencji.

Felieton powstał we współpracy z dr hab. Anną Śliz, prof. UO, dyrektorem Instytutu Socjologii Uniwersytetu Opolskiego

Wystawa przygotowana przez Muzeum Śląskie w Katowicach to nie tylko nostalgiczny spacer po Paryżu, którego już nie ma, ale także zerkanie ukradkiem do pracowni artystów czy kawiarni, w których toczyło się barwne życie bohemy. To także podróż do miejsc poza stolicą Francji odwiedzanych przez przedstawicieli polskiej kolonii artystycznej.

Muzeum Śląskie podążyło tym razem w nowym kierunku – postanowiono dotrzeć do zbiorów prywatnych, rzadko pokazywanych, zazwyczaj niedostępnych dzieł polskich twórców. Na wystawie prezentowanych jest 175 prac artystów z ziem polskich przebywających w Paryżu w początkach XX wieku. Określenie „z ziem polskich” zwraca uwagę na fakt, że większość z nich to artyści pochodzenia żydowskiego.

Wystawę podzielono na kilka zakresów tematycznych. Prace w pierwszej części pokazują Paryż jako miasto w sensie mikro, czyli poprzez pracownię artystów. To tam przecież powstawały największe dzieła tego okresu, w tym portrety, autoportrety oraz akty. Wśród tych ostatnich warto wyróżnić akt jednej z najsłynniejszych modelek tamtych czasów – Alice Ernestine Prin, czyli słynnej Kiki de Montparnasse. Była muzą wielu malarzy i rzeźbiarzy, przyjaciółką i kochanką znanych artystów tworzących w Montparnasse w latach dwudziestych XX wieku. Kiki pozowała wybitnym twórcom, malowali ją m.in.: Chaim Soutine, Julian Mandel, Tsuguharu Fujita, Francis Picabia, Jean Cocteau, Arno Breker, Alexander Calder, Per Krohg, Hermine David, Pau Gargallo, Mayo i Too Salazar. Na katowickiej wystawie możemy podziwiać jej urodę na portrecie Maurycego Mędzyskiego. Obraz pochodzi z kolekcji Marka Roeflera (Villa la Fleur, Konstancin-Jeziorna).

Artyści często nawzajem malowali sobie portrety, w salach Muzeum Śląskiego możemy obejrzeć portret Xawerego Dunikowskiego namalowany przez Leopolda Gottlieba, portret Henryka Haydena pędzla Simona Mondzaina, wizerunek Louisa Marcoussisa autorstwa Alicji Halickiej. Na uwagę zasługuje także domniemany wizerunek awangardowego poety Guillaume’a Apollinairego.

Dzięki partnerowi Muzeum, Narodowemu Archiwum Cyfrowemu, pozyskano kilka zdjęć, w tym fotografię przedstawiającą pracownię rzeźbiarską Augusta Zamoyskiego, pozwala ona poczuć atmosferę miejsca, w którym powstawały znane dzieła. Na wystawie znajduje się rzeźba Augusta Zamoyskiego, przedstawia ona kubistę Louisa Marcoussisa.

Drugą prezentowaną w tej części wystawy rzeźbą jest „Madonna” Xawerego Dunikowskiego. W tym miejscu warto dodać, że niektórzy polscy arty-



Dyrektor Muzeum Śląskiego w Katowicach Alicja Knast i kurator wystawy Katarzyna Jarmuł-Niemczyk podczas wernisażu

Fot. Michał Jędrzejowski

Nostalgiczny spacer

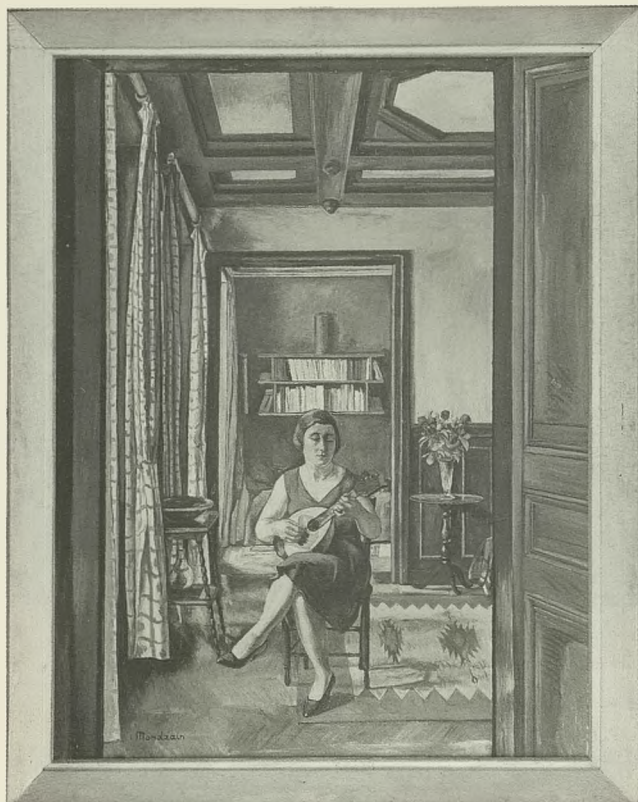
AGNIESZKA SIKORA

Z czym kojarzy się Paryż początków wieku XX? Z klimatycznymi kafejkami, artystami z rozstawionymi sztalugami wzdłuż Sekwany, z barwnymi wizerunkami kościołów, mostów i wąskich uliczek wylaniającymi się spod pociągnień pędzli... Taki właśnie klimat można poczuć na wystawie „Między Montmartre’em a Montparnasse’em. Dzieła artystów z ziem polskich, działających w Paryżu w latach 1900–1939, z kolekcji prywatnych”, którą można oglądać w Muzeum Śląskim w Katowicach (ul. Korfańskiego 3) do 15 października 2017 roku.

ści przebywali w Paryżu długo, innych pobyt był raczej epizodyczny, jak np. Xawerego Dunikowskiego czy Zofii Stryjeńskiej. Ta ostatnia pojechała tylko na wystawę polską w Paryżu – zaprojektowała bowiem elementy dekoracyjne dla polskiego pawilonu. Dunikowski był nieco dłużej. Dlaczego rzeźba Dunikowskiego znalazła się na wystawie Muzeum Śląskiego? Otóż przez pewien czas mieszkał on w pracowni znanego fryzjera francuskiego, polskiego pochodzenia Antoine’a Cierplikowskiego. Cierplikowski czesał największe sławy swoich czasów: Sarę Bernhardt, Josephine Baker, Édith Piaf, Brigitte Bardot. Projektował fryzury dla wytwórni filmowych, m.in. dla Metro-Goldwyn-Mayer. Prawdopodobnie Dunikowski wymyślał manekiny, do których Cierplikowski wykonywał modele swoich fryzur.

Paryż jako miasto w sensie makro prezentują prace przedstawiające dzielnice Montparnasse i Montmartre, ich zaułki, skwery, ulice, mosty... To właśnie tu osiedlało się wielu twórców, nie tylko przybywających znaną z Wisły. Tu znajdowały się znane ze spotkań artystów kawiarnie – Le Dôme i La Rotonde. Do stałych bywalców Le Dôme, których określano mianem *dômiers* należeli m.in.: Xawery Glinka, Henryk Hayden, Roman Kramsztyk, Henryk Kuna, Tadeusz Makowski, Eugeniusz Zak, Leopold Zborowski. W La Rotonde często prześiadywał Modigliani, który za alkohol lub drobne pieniądze szkicował portrety. Dzięki takim artystom jak Dawid Garfinkel możemy poczuć klimat tych miejsc.

W tej części warto także zwrócić uwagę na mniej znanego artystę, ale bardzo ciekawego akwarelistę – Bole-



Szymon Mondzajn, „Wnętrze” („Interieur”), 1929, wł. prywatna – kolekcja Villa la Fleur



Bolesław Biegas, „Ziemia” („La Terre”), 1902, wł. prywatna

sława Buyko. Na potrzeby wystawy udało się pozyskać dwa jego obrazy. Pierwszy przedstawia Montmartre ze świeżo ukończoną bazyliką Sacre Coeur, drugi – najstarszy w Paryżu most Pont Neuf.

Ważnym artystą, którego prace można podziwiać w Muzeum Śląskim jest Mojżesz Kisling. Jest on autorem nie tylko pięknych portretów, obrazów często malowanych pod wpływem swojego przyjaciela Amedeo Modiglianiego, ale również grafik i rysunków przedstawiających codzienne życie Paryża.

Ci, którzy na początku wieku XX przybyli do Paryża w większości weszli w krąg artystów École de Paris. W tym gronie odnajdujemy takie nazwiska, jak: Marc Chagall, Tsuguharu Fujita, Mojżesz Kisling, Tadeusz Mankowski, Louis Marcoussis, Amedeo Modigliani, Mela Muter czy Eugeniusz Zak. Kapiści, czyli Komitet Paryski, nie byli bezpośrednio związani ze środowiskiem École de Paris. Przyjechali do Paryża w 1923 roku. Byli wśród nich m.in.: Jan Cybis, Hanna Rudzka-Cybisowa, Józef Czapski, Artur Nacht, Dorota Seydenmann, Tadeusz Piotr Potworowski, Zygmunt Waliszewski. Większość z nich studiowała w pracowni Józefa Pankiewicza, mentora wielu młodych artystów tego okresu. Grupę z jednej strony jednoczyła fascynacja twórczością dawnych mistrzów takich jak Peter Paul Rubens czy Paolo Veronese, z drugiej natomiast wspólna pasja poszukiwań artystycz-

nych. Kapiści znaleźli się pod wpływem różnych nurtów – od malarstwa Paula Cezanne’a po kubizm. Na potrzeby wystawy udało się sprowadzić z Paryża wczesny obraz Józefa Czapskiego (biografa Józefa Pankiewicza). Mam tu również obrazy Jana Cybisa, Hanny Rudzkiej-Cybisowej i Zygmunta Waliszewskiego.

Artyści nie tylko mieszkali w Paryżu i fascynowali się tym niezwykłym miastem, ale potrafili także zachwycić się innymi zakątkami, wyjeżdżali do: Normandii, Bretanii, na południe Francji, w Pireneje, na Korsykę, do Hiszpanii, Włoch, na Sycylię... Efekt tych podróży można prześledzić na wystawie.

Nie zabrakło również prac indywidualistów, czyli tych, których nie da się zaszeregować do żadnej konkretnej grupy. Najlepszym przykładem są dzieła Bolesława Biegasa. Próbuje się go wprowadzić łączyć – podobnie jak Władysława Ślewińskiego – z bardzo silnym jeszcze na początku XX wieku nurtem symbolicznym, wielu jednak badaczy sprzeciwia się temu, dopatrując się w jego twórczości wielu cech secesji. Pozostaje więc Bolesław Biegas na rozdwojeniu, ale jego wielka indywidualność z pewnością zasługuje na osobną wystawę.

W jednej z sal zgromadzono prace pierwszych przybyszów, którzy stali się później przewodnikami dla polskiej kolonii artystycznej. To przede wszystkim Władysław Ślewiński, który jako je-

den z pierwszych (już jako dojrzały człowiek) przyjechał do Francji w 1888 roku. W wieku 32 lat zafascynował się sztuką i zaczął malować. Poznał Paula Gauguina i wyjechał do Bretanii, gdzie dołączył do stworzonej przez Gauguina Szkoły Pont-Aven. Jest tu również Józef Pankiewicz, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W jego twórczości możemy zaobserwować różne fazy zainteresowania, poczynając od realizmu poprzez impresjonizm, postimpresjonizm aż po próby orfizmu – nurtu stworzonego przez Roberta Delaunay’a z którym był zaprzyjaźniony i u którego w Hiszpanii przebywał w czasie I wojny światowej.

Wystawę dopełnia sekwencja tematyczna poświęcona mało znanej „Grupie Czterech”. Tworzyli ją malarze młodej generacji przybyli z terenu dawnej Galicji, artyści, którzy spotkali się w pracowni Aleksandra Archipenki w Berlinie. Byli to: Joachim Weingart, Alfred Aberdam, Leon Weissberg i Zygmunt Menkes, po przyjeździe do Paryża zawiązali grupę, będącą początkiem nurtu ekspresjonistycznego w sztuce.

Imponujący zbiór prac nieprzypadkowo zgromadzono w starej siedzibie Muzeum Śląskiego. Skrzypiące drewniane parkiety i piękne wnętrza przywołują klimat początków XX wieku, a tym samym idealnie nastrajają do podziwiania Paryża, który niestety już przeminał.



Alicja Halicka, „Martwa natura ze starką”, 1913, wł. prywatna

Między Montmartre'em a Montparnasse'em

Muzeum Śląskie



Natan Grunsweig, „Paryż”, lata 20. XX w.,
kolekcja Marka Roeflera, Villa La Fleur



Hanna Rudzka-Cybisowa, „Nad Sekwaną”, 1933 r.,
kolekcja Grażyny i Jacka Łozowskich



Dawid Garfinkel, „Kawiarnia du Dôme na Montparnasse”, lata 30. XX w., wł. prywatna, kolekcja Villa la Fleur

Zdjęcia: Tomasz Griessgraber/F. Śl., Witold Trółka/BP



Ogłoszenia listy uczestników X Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów dokonali (od lewej): dyrektor MKD Agnieszka Młynarczyk oraz dyrektor naczelny i artystyczny Filharmonii Śląskiej Mirosław Jacek Błaszczyk. Gościem spotkania był Andrzej Kosowski – dyrektor Instytutu Muzyki i Tańca.

Poznaliśmy uczestników

30 czerwca w Filharmonii Śląskiej, a jednocześnie za sprawą transmisji internetowej na kanale You Tube, odbyło się oficjalne ogłoszenie wyników kandydatów zgłoszonych do udziału w X Międzynarodowym Konkursie Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach. Protokół Komisji Weryfikacyjnej, w skład której weszli prof. Mirosław Jacek Błaszczyk, dyrektor artystyczny X MKD i dyrektor Filharmonii Śląskiej Henryk Mikołaj Góreckiego oraz prof. Tomasz Bugaj i dr Adam Wagner przedstawiła dyrektor konkursu Agnieszka Młynarczyk. Wraz z odczytywaniem protokołu zakwalifikowanych i rezerwowych dyrygentów, prezentowano na ekranie ich wizytówki. Dokonany wybór skomentował przewodniczący Komisji Weryfikacyjnej prof. Mirosław Jacek Błaszczyk, który wyraził nadzieję, że dokonano właściwej oceny nadesłanych materiałów, dopuszczając do pierwszego etapu dyrygentów

reprezentujących wysoki poziom artystyczny. Jednocześnie podkreślił, że nadesłane 171 zgłoszenia i materiały były bardzo zróżnicowane pod względem technicznym. Zaproponował więc, by w regulaminie przyszłego konkursu znalazł się zapis dotyczący wymogu nadsyłania w pełni w profesjonalny sposób zrealizowanych materiałów video, co pozwoli członkom komisji na lepszą pracę porównawczą. Gratulując wszystkim, którzy zostali zakwalifikowani do konkursu, zauważył jednak, że to dopiero zmagania z orkiestrą pokażą, jak młodzi dyrygenci pracują podczas prób i jakimi sposobami realizują zapisaną w partyturach muzykę. Przypomniał też, że wśród polskich dyrygentów w konkursie jest trzech laureatów Konkursu Młodych Dyrygentów w Białymstoku, uznając, że wraz ze studenckim konkursem dyrygentów we Wrocławiu to dobre drogi wyłaniania części polskiej ekipy „na Fitelberga”. Konkurs od-



Znaki i twarze miasta



bywać się będzie w dniach od 17 do 26 listopada 2017 roku.

Podczas spotkania w Filharmonii odbył się również premierowy pokaz przygotowanego we współpracy z Narodowym Instytutem Fryderyka Chopina spotu reklamującego X MKD, a także specjalna strona internetowa (fitelbergcompetition.com/pl/), która dostarczać będzie bieżących informacji zarówno uczestnikom konkursu, jak i dziennikarzom zainteresowanym tym wydarzeniem mediów.

Uczestniczący w spotkaniu Andrzej Kosowski, dyrektor Instytutu Muzyki i Tańca, współorganizującego MKD już po raz drugi powiedział, że ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego IMiT na współorganizację konkursu przeznaczonych będzie około 2 mln złotych. Zapewnił też, że pozwoli to na stabilne finansowanie najważniejszych polskich konkursów wykonawczych: IMiT podobnie jak z *Fitelbergiem* współpracuje też z *Wieniawskim*, na podobnych zasadach Konkurs Chopinowski współdziała z Narodowym Instytutem Fryderyka Chopina, a Konkurs Moniuszkowski z warszawskim Teatrem Wielkim – Operą Narodową. Komentując przedstawioną listę uczestników, stwierdził, że po raz kolejny widać, że muzyka łączy a nie dzieli, wyrażając jednocześnie nadzieję, że udział Syryjczyka będzie nie tylko symboliczny. Nie bez satysfakcji zauważył też, że w polskiej ekipie znalazła się trójka dyrygentów z Programu IMiT *Dyrygent – rezydent*.

Z orkiestrą Filharmonii Śląskiej i dyrygentami współpracować będą wybitni soliści: Piotr Pławner, Jakub Jakowicz i Tomasz Strahl.

Z kolei Edyta Sytniewska, naczelniczka Wydziału Kultury Urzędu Miasta Katowice, mówiła o ciągłej, bieżącej współpracy miasta z Filharmonią Śląską, którą każdy MKD dynamizuje, zwłaszcza w obecnym poczuciu zobowiązania wobec tytułu Katowic UNESCO – miasta muzyki. Miasto ufunduje III konkursową nagrodę w wysokości 15 tys. euro i wesprze działania promocyjne kwotą 100 tys. złotych. Nagroda główna wynosić będzie 25 tysięcy euro – laureat otrzyma także Złotą Batutę. W puli nagród są także koncerty z polskimi i zagranicznymi zespołami orkiestrowymi. Odbędą się również koncerty galowe: dwa w Filharmonii Śląskiej i jeden z Filharmonii Narodowej.

Podczas konferencji przedstawiono także pozostałych fundatorów nagród, współorganizatorów konkursu, partnerów, sponsorów, darczyńców i patronów medialnych.

Patronat medialny nad tym międzynarodowym wydarzeniem objął miesięcznik „Śląsk”.

Do udziału w X Międzynarodowym Konkursie Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach zakwalifikowało się 9 uczestników z Polski. Są to: Mateusz Czech, Rafał Kłoczko, Maciej Koczur, Maciej Kotarba, Wojciech Pławner, Dawid Runtz, Maciej Tarnowski, Maciej Tomasiewicz, Marek Wrónszewski. Na liście rezerwowej znaleźli się: Marta Gardolińska, Jacek Brzoznowski i Klemens Starybrat. Ponadto będzie można zobaczyć i usłyszeć pracę dyrygentów między innymi z takich krajów jak: Włochy, Izrael, Grecja, Litwa, Niemcy, Chile, Tajwan, USA, Hiszpania, Wielka Brytania, Czechy, Chiny, Japonia, Rosja, Singapur. Najliczniejsza ekipa reprezentuje Chiny (10 osób), silną reprezentację ma Polska, a z USA zakwalifikowało się 4 dyrygentów. (wk)

W niedzielę 14 maja odbył się w kościele Ojców Oblatów na Koszutce, zorganizowany przez „Silesię”, koncert na nowo odremontowanych organach. Instrument, firmy G. F. Steinmeyer & Co, zakupiono po 2000 r. od ewangelickiej parafii w Wuppertalu. Budowniczy zachowali rozkład głosów i typ brzmienia organów barokowych. We wnętrzu świątyni instrument brzmi szlachetnie, nie tworząc zbytniego zgłędu (którego tak nie lubił ksiądz Twardowski, otwierając tęskniąc w jednym ze swych pięknych wierszy do ciszy w kościele...). Zaletą organów u Ojców Oblatów jest także selektywność brzmienia poszczególnych głosów, ważna w przypadku wykonywania utworów polifonicznych. Inauguracji odnowionego instrumentu dokonał Władysław Szymański. Towarzyszyła mu skrzypaczka Ewa Warykiewicz-Siwy. Artyści zaproponowali program nawiązujący do przedwojennego, niezwykle elastycznego pojęcia muzyki kościelnej, w obrębie którego mieścić się mogło wszystko, co powstało lub zostało wtórnie użyte do wzbudzania wzniosłych pobożnych uczuć, włącznie z fragmentami oper i „chwytającymi za serce” świeckimi piosenkami. Argumentem dla takiego – bądź co bądź niezbyt ortodoksyjnego – doboru utworów mógł być fakt, że większość z nich reprezentowała różne odmiany stylistyki romantycznej. Tak więc, na pierwszy ogień poszedł Feliks Mendelssohn-Bartholdy. Władysław Szymański zaprezentował jedną z sześciu *Sonat organowych* niemieckiego kompozytora, w której – obok czytelnych nawiązań do faktur barokowych – usłyszeliśmy natrętnie liryczne, wręcz sentymentalne melodie, bliskie duchowi jego *Pieśni bez słów*. Do idiomu tak charakterystycznej dla romantyzmu „świeckiej muzyki religijnej” (czyli muzyki nie rezygnującej ze „światowości”) nawiązywały też inne pozycje organowe włączone do programu: efektowny wirtuozowski finał z I *Sonaty organowej d-moll* Aleksandra Guilmanta, stylistycznie bliski muzyce Mendelssohna, choć od niej kilka dekad późniejszy, oraz poemat organowy *In paradisum* Feliksa Nowowiejskiego (usłyszeliśmy trzy z dziewięcioczęściowego cyklu).

W Polsce obchodzono niedawno rok Nowowiejskiego, z racji 70. rocznicy śmierci. 70 lat od śmierci to szczęśliwy próg ustania prawnej ochrony praw autorskich: od 2016 r. spuścizna Nowowiejskiego, zazdrośnie strzeżona dotąd przez spadkobierców (do rękopisów przechowywanych w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu dostęp mogli mieć jedynie muzykolodzy co najmniej ze stopniem doktora), stała się dobrem publicznym. I rzeczywiście ruszyły prace nad skatalogowaniem twórczości, opracowaniem pomnikowej edycji utworów i wykonania. Wydobywanie z niepamięci nie jest w przypadku Nowowiejs-

Między nutami

MAGDALENA DZIADEK

Organy i smyczki

skiego publicystycznym sloganem. Kompozytor ten został już za życia zepchnięty na margines polskiego życia muzycznego przez frakcję kompozytorsko-muzykologiczną, która wzięła na siebie „obowiązek” budowania nowoczesnej formacji muzyki polskiej. Odmówiono mu wręcz rangi kompozytora narodowego. W PRL nie było o wiele lepiej, mimo że z różnych oficjalnych okazji wykonywano kilkakrotnie oratorium *Quo vadis* i operę *Legenda Bałtyku*.

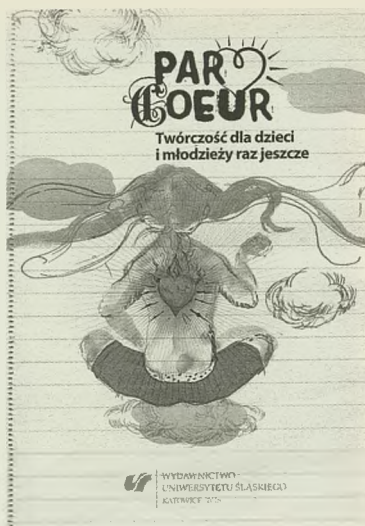
Nowowiejski nie jest łatwy do zdefiniowania jako kompozytor, gdyż jego utwory są nierówne. Najlepiej czuł się w muzyce przemawiającej do mas: pieśni chóralnej (*Rota!*) czy też w formach oratoryjnych (przed II wojną światową *Quo vadis* obiegło estrady całej Europy). Natomiast wiele utworów czysto instrumentalnych, zwłaszcza tych późniejszych, wykazuje charakterystyczne zawieszenie między skłonnością do epatowania tradycyjną wyrazowością ujętą w konserwatywną szatę dźwiękową a przymusem – być może sztucznie sobie narzuconym – reagowania na modernistyczne przemiany języka dźwiękowego. W zaprezentowanych przez Szymańskiego fragmentach *In paradisum* słychać wyraźnie, jak walczy ze sobą te dwie postawy: raz kompozytor serwuje nam tumany chromatycznych przejść a la Reger, to znowu wycofuje się w rejony sentymentalnej melodyki imitującej religijne uniesienia w sposób, w jaki to czynią „szlagiery”. Dużo w tej muzyce dość łatwej retoryki, i z tego powodu trudno ją prezentować poza liturgią, dla której zresztą została stworzona.

Jako „przerywniki” zabrzmiały na omawianym koncercie fragmenty solowej sonaty skrzypcowej Bacha,

a w wersji na skrzypce z organami – wyjątek z opery *Salomon* Haendla, *Kohysanka* Faurégo i sławna *Medytacja* z opery *Thais* Masseneta.

Głosy i smyczki

Jedną z ciekawszych prezentacji muzyki nowej w Katowicach był w ostatnim czasie koncert Cameraty Silesii i kwartetu smyczkowego Messages (27 maja, sala Kameralna NOSPR). Cameraty przedstawiać nie trzeba, a co do kwartetu – tworzą go cztery panie: Małgorzata Wasiucionek (I skrzypce), Oriana Masternak (II skrzypce), Maria Dutka (altówka) i Beata Urbanek-Kalinowska (wiolonczela). Są one absolwentkami uczelni warszawskiej i krakowskiej, a ich kariera rozwija się bardzo dynamicznie. Na omawianym koncercie zagrały tylko jeden kwartet smyczkowy – *II Kwartet „Messages”* Andrzeja Panufnika, od którego zresztą wzięła się ich nazwa. Swoje zadanie wykonały wyróżnienie, ukazując znane (już!) zalety swojej stylistyki: delikatność brzmienia, eksponowanie momentów lirycznych, skupianie się na muzycznych „małych narracjach”, wiodących do odkrywania niekonwencjonalnych rozwiązań kompozytorskich. W dwóch innych pozycjach programu, rozpisanych na rzadko stosowaną obsadę: chór (lub grupa solistów) i kwartet smyczkowy pełniły rolę towarzyszącą. Obie te pozycje – mowa o *The Extasies Above* Tarika O'Regana na solistów, chór mieszany i kwartet smyczkowy oraz *Pięciu hebrajskich pieśniach miłosnych* Erica Whitacre'a na chór mieszany i kwartet smyczkowy – należą do popularnego angloamerykańskiego repertuaru chóralnego, nastawionego na uniwersalność języka i komunikatywność. Chóry lubią to śpiewać, a ludzie słuchać – i na tym koniec, bowiem w zakresie sztuki kompozytorskiej są to czyste naśladownictwa rozwiązań neoklasycznych. Ze specyficznym wyrazem wymienionych kompozycji nieoczekiwanie zgrała się *Song to the Virgin Mary* Andrzeja Panufnika – utwór na dwa głosy solowe i chór mieszany – napisany w 1961 r. (na koncercie zabrzmiała druga wersja utworu z roku 1969 r.). Kompozytor, który właśnie w 1961 r. osiadł na stałe w Wielkiej Brytanii, sprawnie „wstrzelił się” swoją pieśnią maryjną w gust brytyjski – wysłała rzecz o utemperowanych emocjach, kryształowej fakturze i specyficznie chłodnej aurze, jakże odległa od modlitewnych wzlotów polskich kompozytorów: Pendereckiego, Góreckiego czy Kilara. I tym bardziej ciekawa. Koncetem dyrygowała Anna Szostak, a solistami byli: Magdalena Szostak-Krupowicz, Aleksandra Poniszowska, Angelina Roch-Domagała i Bogusław Kowalski.



Ogień opowieści

KSIĄŻKI

EWA BARTOS

Par coeur. Twórczość dla dzieci i młodzieży raz jeszcze to druga część studiów Iwony Gralewicz-Wolny i Beaty Mytych-Forajter nad literaturą dla młodych czytelników. Zawarta w podtytule informacja – „raz jeszcze” – odsyła do wydanej w 2013 roku dwuautorskiej monografii *Uwolnić Pippi! Twórczość dla dzieci wobec kultury*. W formie wykrzyknikowej tytułu zawarty został postulat uwolnienia interpretacji twórczości dla dzieci z „zamykanej na klucz szuflady z literaturą o niepoważnym adresacie”. Pippi Pończoszanka – bohaterka poczytnych książek Astrid Lindgren – stała się dla badaczek symbolem sprzeciwu przed traktowaniem po macoszemu pierwszych doświadczeń lekturowych. „Książki dzieciństwa bowiem to najważniejsze książki w życiu” – deklarowały autorki. Trzy lata od tamtej książki – „raz jeszcze” świat literatury pierwszej zaintrygował badaczki. Gralewicz-Wolny i Mytych-Forajter tym razem zaprosiły do współpracy innych literaturoznawców.

Książkę rozpoczyna wywiad z Aleksandrem Nawareckim, teoretykiem literatury i mikrologiem. Redaktorki słusznie zdecydowały się na odświeżenie tradycyjnej struktury książek zbiorowych i zrezygnowały z klasycznego wstępu na rzecz żywej rozmowy o literaturze. Dowcipny sposób prowadzenia dialogu i otwartość dyskutantów sprawiają, że choć poruszane są zagadnienia z zakresu filozofii i teorii literatury, to jednak czyta się je z przyjemnością. Aleksander Nawarecki wcielił się ni to w Piotrusia Pana, ni to Kosszałka Opałka, żartuje, oburza się na brak w tomie interpretatorów mężczyzn, oddanie pola rozważań kobietom, żeby płynnie od żartu przejść do poważnych rozważań nad siłą i wartością literatury dla dzieci i młodzieży. Doskonale uzupełniają i równoważą głos mikrologa Iwona Gralewicz-Wolny i Beata Mytych-Forajter. Ich rzeczowe pytania nadają narracji porządek i ład. To za sprawą zadawanych pytań, a także wygłaszanych kontrargumentów, Nawarecki ze skrzata – w sekundę – zmienia się w mędrca, snu-

jącego rozważania na temat literatury, historii, filozofii i życia.

Czytając zapis rozmowy otwierającej monografię, odbiorca stopniowo zgłębia wiedzę z zakresu literaturoznawstwa. Dowiaduje się, że poważnych rozważań o filozofii i egzystencji należy szukać w pierwszych lekturach z dzieciństwa. Dla trojga rozmówców przyjemność płynąca z lektury, rozumienie literatury jako przestrzeni zabawy i wspólnoty staje się najważniejszym czynnikiem organizującym dorosłą osobowość czytelnika. Roli, jaką spełniały pierwsze własne lektury, a także te zapośredniczone, czytane przez rodziców, ich zdaniem, nie można lekceważyć. Rozmowa pozbawiona jest zbędnego patosu, a czytelnik ma okazję uczestniczyć w ożywiającej i skłaniającej do myślenia wymianie poglądów dobrze rozumiejących się osób. Wraz z nimi zastanawia się nad rolą, jaką w życiu człowieka odgrywają lektury pierwsze.

Pomimo zastąpienia klasycznego wstępu rozmową, redaktorki nie zrezygnowały całkowicie ze wstępu. Czytelnicy oczekujący doprecyzowania założeń badawczych poczuja się usatysfakcjonowani po lekturze krótkiej notki na prawym skrzydełku tomu. Dowiedzą się z niego, że celem powrotu do literatury dla dzieci i młodzieży jest choć „uchwycenie [...] indywidualnego – choć nie zawsze uświadomionego – serdecznego związku, jaki łączy każdego dorosłego z uwewnętrznionymi lekturami czasu dzieciństwa”. Deklaracja ta nie jest pusta. Dwanaście tekstów, na które składa się *Par coeur*, łączy nie tylko przynależność utworów do literatury dziecięcej i młodzieżowej, lecz – przede wszystkim – często przez interpretatorki ujawniany emocjonalny związek z omawianymi przez siebie utworami. Pierwsze lektury, nie zawsze łatwe, czasem intrygujące lub przerażające młodego czytelnika, stają się dla auterek punktem wyjścia do prowadzonej po latach – innej – interpretacji. Interpretatorki, co ważne, nie o (d) powiadają wprost. Nie ma w tej książce miejsca na ckliwość i tani sentymentalizm. Literatura broni się za spr-

wą jej czytelniczek. Odkrywających lub uświadamiających sobie po latach sensy dawno przeczytanych utworów.

Dlatego też Wioletta Bojda swojej niesłabnącej fascynacji trudną dla małej dziewczynki powieścią *Arakon, gród Światowita* Anny Świrszczyńskiej upatruje w zauważonym przez siebie po latach stylistycznym pęknięciu w strukturze powieści. Świrszczyńska, pisząc młodzieżową powieść o losach pierwszych Słowian, podświadomie uruchamia inną opowieść, historię własną, związaną z II wojną światową. Dla Karoliny Jędrzych *Mała księżniczka* stanie się „opowieścią o sile wyobraźni”, a także okrucieństwie dorosłych, niezauważających krzywdy dziecka. Joanna Kisiel zagłębi się w świat baśni. *Królowa Śniegu* w jej interpretacji jest opowieścią o dojrzwaniu do bycia „prawdziwym człowiekiem”, inicjacji w świat dorosłych, która niekoniecznie musi oznaczać wyzbycia się pierwiastka dziecięcego.

Magdalena Kokoszka, analizując *Pchłę Szachrajkę* Brzechwy, przypomni jak za pośrednictwem małego owada poeta „obśmiał [...] rewelację dorosłości”. Krystyna Koziołek powróci do nurtującego ją fragmentu z *Dzieci z Bullerbyn*, zauważając w nim opis preinicjacyjny. Monika Ładoń skupi się na ważnym problemie, jakim jest przekazywanie dzieciom informacji o śmierci. Bernadeta Niesporek Szamburska przyjrzy się *Upartemu kotku* Iwana Bielszewa, próbując ponownie wcielić się w dziecko i zrozumieć swoją młodzieńczę fascynację. Joanna Soćko w eseju na temat czytania, analizując *Niekończącą się historię* odkryje, że „prawdziwa podróż po książkowej krainie staje się skokiem na głęboką wodę” – poddaniem się bezwarunkowo opowieści.

Marzena Walińska prześledzi pisane wspólnie opowieści o mitach dla najmłodszych. Małgorzata Wójcik-Dudek w losach Filifilinki dostrzeże opowieść o dojrzwaniu do akceptacji świata. Beata Mytych-Forajter, analizując *Krzeświwo* Andersena, pisze o mocy samej opowieści, będącej „iskrą”, pozwalającą podążyć czytelnikowi w wielu kierunkach. Książkę kończy szkic Iwony Gralewicz-Wolny o dwóch tłumaczeniach powieści Alana Alexandra Milne. *Fredzia Phi-Phi i Kubuś Puchatek*.

Wszystkie szkice łączy tytuł. *Par coeur* – zwrot Jacquesa Derridy, od którego, jak piszą redaktorki tomu, „pożyczamy frazę wzmacniającą związek pamięci (*appredre par coeur/uczyć się na pamięć*) i serca (*coeur/serce*), przypomina nam o sile tekstów noszonych w sobie, czytanych, przeżywanych, a nawet niejako przeżywanych/zjadanych, i dzięki temu wrastających w nas na zawsze”. Właśnie dlatego – przez serce – zbiór szkiców o literaturze dla dzieci i młodzieży czyta się z przyjemnością. Interpretatorki znalazły złoty środek na dokonanie interpretacji jednocześnie pełnej emocji własnych i obiektywnych sądów. Zauważony przez Nawareckiego brak mężczyzn w tomie paradoksalnie uatrakcyjnia książkę.

Par coeur. Twórczość dla dzieci i młodzieży raz jeszcze. Red. Iwona Gralewicz-Wolny, Beata Mytych-Forajter. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego. Katowice 2016, s. 262.



Misterium fascinans

KSIAŻKI

ANNA ZACZKOWSKA

Adam Regiewicz w *Kerygmaticznych figurach interpretacji* tworzy autorską propozycję metodologiczną, włączając w teorię literatury kerygmaticzność, traktowaną jako narzędzie lektury i krytyki. Jak zaznacza autor „Kerygmaticzne figury interpretacji” to uzupełnienie i rozwinięcie propozycji dotyczących analizy i interpretacji tekstu zawartych wcześniej w książce *Poza horyzontem. Eseje o sztuce czytania (Ćwiczenia z poszukiwania sensu)*. Poszczególne rozdziały pracy poświęcone są aktualnym problemom dyskursu literaturoznawczego (między innymi: o służebności interpretacji wobec tekstu w świetle lektury kerygmaticznej, o możliwościach humanistyki kognitywnej, kategoria „olśnienia” w procesie interpretacyjnym czytanie jako zdrada, walka jako metafora interpretacji). W książce autor reinterpretuje wybrane fragmenty Pisma Świętego w taki sposób, żeby przez ich pryzmat pokazać problemy krytyki literackiej i teorii interpretacji. Regiewicz imponuje znakomicie opartym warsztatem teoretyka literatury i znajomością filozofii, nawiązuje on też do najnowszych odkryć z dziedziny fizyki teoretycznej (Interpretacja wobec teorii światów możliwych). Autor często odwołuje się do kultury żydowskiej, wykorzystując w analizie nawiązania do symboliki hebrajskiej.

Regiewicz za Robertem Pisulą definiuje kerygmat jako głoszenie prawd wiary: „Kerygmat pochodzi z języka greckiego (kerygma) i oznacza głoszenie, wezwanie, proklamację prawdy o Jezusie Chrystusie, zawierającą w nauczaniu Kościoła pierwotnego cztery elementy: Obietnicę, Krzyż, Zmartwychwstanie i Dary Ducha Świętego”. W związku z takim rozumieniem kluczowego pojęcia wykorzystywanego przez autora należy zaznaczyć, że jego propozycja metodologiczna jest związana z chrześcijańską antropologią literatury i znajduje się na granicy pomiędzy literaturoznawstwem a katolicką teologią. W procesie lektury, analizy i interpretacji tekstu konieczne stają się osobiste doświadczenie religijne chrześcijanina. Kate-

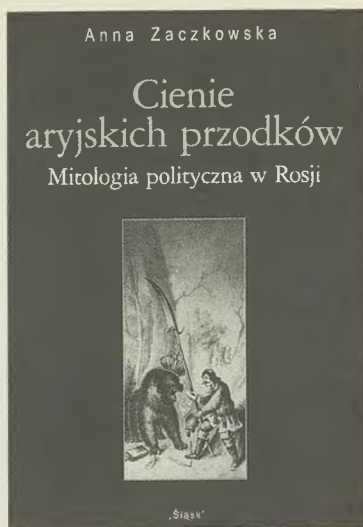
goria doświadczenia religijnego w humanistyce jest znacznie szersza i wiąże się z klasycznym ujęciem Rudolfa Otto i jego kategorią *numinosum* oraz eliadowskim rozumieniem *sacrum*. Zarówno Otto (protestancki teolog) jak i Eliade określają doświadczenie religijne jako wspólne dla wszystkich kultur, nie ograniczając tego doświadczenia do tylko jednej konfesji. Stąd moja uwaga krytyczna wobec lektury – analiza i interpretacja oparta na doświadczeniu religijnym nie musi być jedynie chrześcijańska. Jeżeli przyjmujemy, że kerygmat to „wezwanie do głoszenia wiary” (a nie tylko wiary chrześcijańskiej) wtedy strategia interpretacyjna oparta na egzystencjalnym doświadczeniu kontaktu z *sacrum* będzie obowiązywać religijnego czytelnika w praktycznie wszystkich tradycjach, w których powstały teksty ksiąg świętych (wyjątkiem będą oralne kultury proste, w których treść mitów była recytowana, ponieważ nie znano pisma i uczono się na pamięć). Czytelnik może (choć nie musi) wykorzystywać kerygmaticzne mechanizmy analizy, interpretacji i krytyki (nawet nieświadomie) jeżeli tylko należy on do „homo religiosus”.

Kerygmatyka jako narzędzie czytelnika i krytyka przywołała mi na myśl ściśle połączenie praktyki religijnej z lekturą tekstu ksiąg świętych obecne między innymi w tradycji judeochrześcijańskiej. Lektura nie tylko Biblii, ale też świętych ksiąg wielu tradycji może być połączona z określą praktyką kulturową. Czytanie tekstu księgi świętej staje się wtedy rytuałem. Jest nie tylko ćwiczeniem intelektualnym, ale także praktyką duchową, formą medytacji, modlitwy i głoszenia prawd własnej wiary. Postulowane przez Adama Regiewicza rozumienie lektury kerygmaticznej jest ściśle związane z tradycją judeochrześcijańską, ale lektura jako forma doświadczenia kontaktu z *sacrum* jest fenomenem uniwersalnym (podobnie jak osobiste lub grupowe doświadczenie mistyczne). Przykładem skrajnym może być tradycja wyznawców sikhizmu, gdzie w centrum

życia religijnego znajduje się księga traktowana jako żywy autorytet religijny, który jest wiecznym najważniejszym z nauczycieli. Lektura świętej księgi (Guru Granth Sahib) jest centralnym rytuałem, do tekstu wierni odwołują się w każdej sytuacji skrajnej. Sikhizm jest dosłownie religią żywej księgi (wykorzystuje tu termin związany z rozumieniem innych religii przez tradycję islamu, gdzie żydzi i chrześcijanie to ludzie „religii księgi” i są oni tolerowani w przeciwieństwie do bałwochwalców i pogan). Żywa księga jest największą ze świętości, a jej treść stanowi przedmiot wnikliwych studiów. Wyrazem pobożności jest praktyka wielogodzinnego czytania całości. Zniszczone kopie są grzebane podczas ceremonii pogrzebowej, podobnie jak w tradycji, gdzie hebrajski tekst jest święty, a zużyte egzemplarze Tory umieszcza się na cmentarzu. Z kolei w kulturze islamu tekst Koranu często stanowi pierwszy poznany fragment słów pisma. Pamiętajmy, że czasem praktyka lektury księgi świętej nie zakładała zrozumienia. Zaratusztrianie, mając świętą księgę, nie znali jej znaczenia, ponieważ stracili znajomość języka, w którym napisano Awestę, dopiero angielskie tłumaczenie w dziewiętnastym wieku zwróciło nam uwagę na znaczenie tekstu, który wcześniej poznawano, ucząc się na pamięć, bez rozumienia treści. Dla chrześcijan analiza i interpretacja Biblii ściśle wiąże się z odłamem, do którego należy czytelnik Pisma. W przypadku tekstu Biblii tłumaczenie jest czymś znacznie poważniejszym niż zwykła zdrada tłumacza (dla przykładu katolik czuje się „sługą bożym”, a prawosławny „niewolnikiem Pana”). Kontekst kulturowy z którego wyraża dana tradycja tłumaczenia Biblii wpływa na kerygmaticzną sztukę czytania. Biblia, którą analizuje i interpretuje prawosławny Rosjanin, irlandzki katolik i protestant z Holandii to jednocześnie trzy różne księgi, trzy tradycje tłumaczenia i trzy odmienne drogi rozumienia jednej tradycji (dla ilustracji problemu zawłaszczę metaforę buddyjską – są one niczym gałęzie wyrastające z jednego pnia, ale skierowane w odmienne strony). Trzy odmienne ścieżki głoszenia kerygmatu. Te uwagi odnoszą się do perspektywy odczytania lektury z punktu widzenia religioznawcy.

Lektura *Kerygmaticznych figur interpretacji* jest ważna, ponieważ odsłania odmienne perspektywy strategii czytelniczych, interpretacyjnych i analitycznych. Kerygmaticzny sposób odczytania pomaga zrozumieć to, co daje perspektywa doświadczenia religijnego. Bardzo podobało mi się wykorzystanie przez autora postaci z Nowego Testamentu – między innymi Judasza. Czytanie jako zdrada – misja Judasza to tytuł rozdziału, w którym Regiewicz wykorzystuje figurę apostoła jako trop, pozwalający ukazać metaforę zdrady interpretacyjnej. W strukturę rozdziału wpisana jest jednocześnie opowieść o życiu apostoła, teologiczny wymiar tej postaci i nowatorskie odczytywanie elementów teorii literatury. Proces śledzenia sposobu myślenia autora to fascynująca zabawa intelektualna. *Kerygmaticzne figury interpretacji* nie pozostawiają czytelnika obojętnym i biernym.

Adam Regiewicz: *Kerygmaticzne figury interpretacji*. Wydawnictwo Universitas, Kraków 2016, s. 304.



Rosyjscy neopoganie

KSIAŻKI

MIROŚŁAWA MICHALSKA-SUCHANEK

Polscy badacze rzadko podejmują temat nowych ruchów religijnych w Rosji. Tym bardziej cieszy monografia Anny Zaczekowskiej *Cienie aryjskich przodków* opatrzone intrygującym podtytułem *Mitologia polityczna w Rosji*. Osią rozważań autorka czyni neopogaństwo, kulturę popularną oraz mit polityczny i ich wzajemne relacje.

Ruchy neopogańskie rozwinęły w Rosji działalność w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Upadek systemu komunistycznego – jakkolwiekby na to patrzeć – posiadającego wszystkie cechy totalitarnej religii, ujawnił potrzebę poszukiwania innej formy społecznej świadomości, która zastąpiłaby dotychczasową. Społeczeństwo rosyjskie znalazło się wówczas w sytuacji, którą Émile Durkheim określa jako stan anomiczny. Na marginesie wypada wyrazić żal, że autorka, diagnozując przyczyny aktywności ruchów antypogańskich w Rosji, nie odwołuje się do studiów tego wybitnego francuskiego socjologa poświęconych religijności. Durkheimowska anomia, mówiąc krótko, występuje w okresach społecznych transformacji lub wszelkich kryzysów i załamania dotychczasowego porządku, gdy zachwianiu ulegają zasady i normy dotychczas gwarantujące stabilizację. Załamanie systemu uregulowań i wartości powoduje utratę punktów odniesienia i tym samym prowadzi do zagubienia człowieka w nowym porządku. Antidotum na anomie stanowi odnalezienie nowych ideałów i wzorców, w przypadku Rosji – spójnej narodowej idei i narodowej tożsamości. Zawiódł obiektywnie silny potencjał socjotwórczy religii, gdyż Cerkiew Prawosławna, której struktury przez lata skutecznie niszczone była zbyt słaba, by sprostać roli rządzący dusz. Jej słabość okazała się siłą neopogaństwa, sprzyjającą wzrostowi aktywności jego ugrupowań.

Rosyjskich neopogan Zaczekowska dzieli na trzy podgrupy: wspólnoty o ideologii neonazistowskiej, ruchy związane z ekologicznym odłamek New Age i grupy zajmu-

jące się czymś na podobieństwo działalności rozrywkowej (m.in. wszelkiego rodzaju bractwa rycerzy i wojów). Ideologie i formy działalności ruchów neopogańskich autorka prezentuje w szerokim historyczno-kulturowo-społecznym kontekście.

Przedstawiciele wspólnot mają wizję określonego ładu społecznego i własną historiozofię. Przejmują i modyfikują dawne mity rosyjskiej kultury, rekonstruują wierzenia dawnych Słowian, nawołują do duchowej rewolucji i odrodzenia słowiańskiej wspólnoty rodowej. Głoszą „świętość genotypu”, który z pokolenia na pokolenie nie tylko przekazuje cechy fizyczne, ale przede wszystkim zapewnia łączność z przodkami (rodem), bogami i tym samym dostęp do ezoterycznej wiedzy przeszłych pokoleń. W neopogańskich nowych religiach i mitologiach pojawia się przekonanie, że przodkowie współczesnych Rosjan są bohaterami cywilizacyjnymi i twórcami wszystkich wielkich cywilizacji ludzkości. Rosyjski neopoganizm mocno związany jest z kultem Ziemi, opisywanej jako święta matka i rodzielka dóbr, głosi mistyczną ekologię, według której tylko ten, kto jest silnie związany z Matką Ziemią i Rodowymi Bogami może osiągnąć doskonałość. Konkludując, Zaczekowska podkreśla, że ile istnieje w Rosji ruchów neopogańskich, tyle można naliczyć odmiennych mitologii, wszystkie one jednak reprezentują światopogląd, u którego źródeł leży fundamentalna kwestia rosyjskiej tożsamości. Stąd już tylko krok do ugruntowującego się we współczesnej Rosji nacjonalizmu.

Rosyjskie ruchy neopogańskie autorka monografii interpretuje jako jeden z nurtów polityki, kontynuację dawnej tradycji ezoterycznej, praktyczny przejaw dominacji zjawiska tzw. nowej duchowości, wreszcie element wpływający na kulturę popularną. Rzeczywiście we współczesnej rosyjskiej kulturze popularnej można odnaleźć liczne wątki neopogańskie – niektórzy mówią nawet o swojego rodzaju modzie na neopoga-

ństwo. Powstają nowe gatunki literackie (słowiańska fantastyka) i muzyczne (pagan metal). Zaczekowska przedstawia definicje i typologie słowiańskiej fantastyki łączącej elementy powieści historycznej, bajki magicznej i historii alternatywnej, a także przybliża twórczość pisarzy reprezentujących ten *genre*, między innymi Jurija Nikitina, Marię Siemionową, Siergieja Aleksiejewa i Wiktora Pielewina. Zapewne dokonane tu interpretacje utworów można by uznać za niepełne, nie literaturoznawcza analiza jednak była celem badawczy, lecz opis procesu rekonstrukcji słowiańskiego mitu i przekształcania historii w formę, mającą zastąpić komunistyczną wizję przeszłości, tzw. tradycję wynalezioną. Jej cechą dystynktywną, podporządkowaną obowiązującej ideologii politycznej stało się – jak czytamy w monografii – nawiązywanie do fantastycznej (bajkowej) wizji historii budowanej na intensywnie podsyconych kontrowersjach wokół zagadnienia początków państwowości Rusi Kijowskiej. Utrwalaniu tej wizji służy fałszowanie źródeł historycznych i związana z tym literatura z zakresu kryptohistorii, a także wspomniana już słowiańska fantastyka oraz mitotwórcze fałszerstwa literackie.

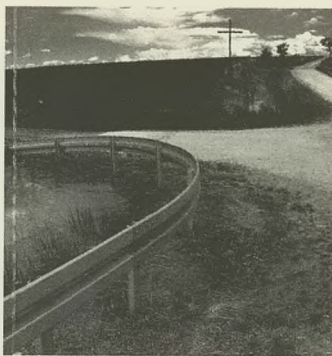
Mit polityczny funkcjonuje jako narracja, która podlega manipulacji w celu stworzenia okoliczności sprzyjających legitymizowaniu przemian politycznych. Zaczekowska wskazuje na rolę i miejsce propagandy w budowaniu politycznych mitów kolejnych rosyjskich autokratów (tradycja kultu jednostki). Przywołuje między innymi postaci Lenina, Stalina i Władimira Putina. Ten ostatni odniósł – w przekonaniu autorki – polityczny sukces, ponieważ wypracował koncepcję jednolitej tożsamości narodowej Rosjan, wykorzystując mity polityczne, często zbieżne z neopogańską mitologią (np. wspólnota krwi i ziemi jako podstawowa więź spajająca naród). Putina wspomaga kultura popularna – antyliberalna i antydemokratyczna. I nie dotyczy to tylko kultury tworzonej na zamówienie Kremļa, bo na przykład współczesna fantastyka rosyjska opisuje autorytarny model władzy, oparty na sile służb specjalnych.

Zaczekowska przestrzeń badawczą zakresła bardzo szeroko. Opisywane zjawiska postrzega interdyscyplinarnie – czerpie z wielu obszarów nauki: historii, kulturologii, politologii, socjologii, literaturoznawstwa, a nawet marketingu politycznego i technologii politycznej. To wielki atut monografii. Do niewątpliwych jej zalet należy zaliczyć także przejrzystą kompozycję i imponującą literaturę przedmiotu. Zabrakło mi tylko indeksu nazwisk, który z pewnością ułatwiłby odbiorcy poruszanie się po olbrzymim materiale. Listę mocnych stron książki dopełnia umiejętnie prowadzony dyskurs i „odhermetyzowany” język, co czyni ją atrakcyjną dla szerokiego odbiorcy.

Anna Zaczekowska: *Cienie aryjskich przodków. Mitologia polityczna w Rosji*. „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2016, s. 424.

Janusz Nowak

Biedny polski katolik
czyta Życie Keitha Richardsa



Nie taki biedny, skoro czyta...

KSIĄŻKI

MAGDALENA PIOTROWSKA-GROT

Tytuł debiutanckiej książki Janusza Nowaka zapowiada (auto)ironiczny komentarz wobec ludzkich zmagania z rzeczywistością, własnymi emocjami, światopoglądem skonfrontowanym z współczesną obyczajowością. Z jednej strony może zaowocować to pewnym rozczarowaniem, wszak tytuł skonstruowany jest właśnie tak, by wzbudzać zainteresowanie i pozwala na pewne presupozycje dotyczące semantycznego ładunku pomieszczonych w tomie utworów. Czytelnik nie odnajdzie jednak w poszczególnych wierszach wielu ironicznych przymrużeń oka, raczej dość poważne komentarze dotyczące pozornie nieistotnych szczegółów ludzkiej rzeczywistości. Odnajdzie w tym tomie także lektury. Ow „biedny polski katolik” czytający *Życie Keitha Richardsa* „czyta” bowiem także inne życia, sceny z codzienności i... książki.

Proces lektury przebiega w poszczególnych wierszach przynajmniej dwutorowo. Z jednej strony oparty jest na cytowaniu czy parafrazowaniu niezwykle zróżnicowanych tematycznie i chronologicznie tekstów kultury – od wierszy Adama Mickiewicza, poprzez T. S. Eliota, aż po piosenki zespołu The Rolling Stones. Autor bynajmniej nie ogranicza się jedynie do cytacji czy wykorzystania danych słów w funkcji motta, wprowadzenia. Poddaje je interpretacji, polemizuje, dopowiada ciągi dalsze. Jedne z owych prób konfrontacji z cudzym tekstem są bardziej udane, inne mniej, ale przyznać należy, iż człowiek z wiersza nigdy nie ukrywa się za frazą zapożyczoną, dodaje kilka własnych słów, sądów czy wątpliwości.

Zanim przyjrzymy się drugiej wyczytanej przeze mnie lekturowej ścieżce, jaką podejmuje Nowak w omawianych utworach, warto zadać dość prymarne pytanie: o konstrukcję lirycznego podmiotu. Owo pytanie może wydawać się banalne, zakorzenione w kursie klasycznej poetyki, jednak dla tej poezji po prostu nie jest obojętne i warto je

zadać. W tomie przeważa trzecioosobowa forma gramatyczna, podmiot jest specyficznie zdystansowany, nieco oddalony, czasem zadziwiony, jednym słowem wewnętrznie rozdarty – z jednej strony zintegrowany z opisywanym światem, z drugiej, będący poza pewnymi jego strukturami. Perspektywa ta zmienia się drastycznie w przypadku cyklu ostatniego, mianowicie w *modlitwach i prośbach*. Te stają się osobiste, wszelka odpowiedzialność za słowo spoczywa na osobie mówiącej, emocjonalny ładunek tekstów przybiera na sile, przybierając konfesyjny charakter.

Drugi tor lektury to po prostu metaforyczna konstrukcja zainicjowana w tytule tomu. Bohater liryczny wierszy Nowaka często przyjmuje strategię obserwatora, „czyta” i interpretuje gesty, dostrzeżone sytuacje, przyrodę. Doszukuje się w nich sensu, cech wskazujących na naturę otaczającego nas świata.

W tym miejscu zaznaczyć należy, iż na tom składa się kilka części, cykli, w ramach których poszczególne wiersze łączą temat lub poetycka forma. Po pięciu inicjalnych tekstach następuje pięć cykli: *doktorzy Kościoła mówią; lamenty, skargi, pieszczoty; soliloquia; obrazy, historie, sny; modlitwy i prośby* (w spisie treści figuruje jedynie tytuł *modlitwy*). Konstrukcja tomu ewidentnie została przemyślana, tworzy kompletną całość.

Trudno opisywać tę poezję przy pomocy filologicznej terminologii, gdyż zgodnie z podtytułem czwartej części tomu stanowi ona zbiór wyciętych z życia scen, ludzkich historii i jednostkowych emocji. Nie da się ukryć, że także prywatnych zmagania z religijnością, która w tomie raciborskiego poety sprężona jest silnie z cielesnością i codziennością. Ten rys poetyckiego świata świetnie oddaje utwór *palimpsest bożonarodzeniowy*, w którym padają słowa: „duch / pulsujący w gorącym / upojonym wilgocią / ciele

i serce / podane na purpurowej od krwi / dłoni” [s. 47]. Owo zespolenie cielesności, ludzkich słabości z poszukiwaniem Boga i ścieżki wiary jest w tomie Nowaka tematem dominującym. Bohater liryczny zmaga się z potrzebą religijnych doświadczeń, kontaktu z *sacrum*, sprzężonym z dojmującym poczuciem braku i nieobecności czy niemożności epifanii: „nasze kościoły nie pachną / jak dawniej / Obecnością” [s. 13]. Choć oczywiście pobrzmiewa w tych tekstach rozczarowanie i lęk, iż oto sztuczność zdominowała współczesną rzeczywistość, którą zdaje się rządzić przede wszystkim zasada „rozpadu”, to omawiana poezja nie jest zbiorem utyskiwań na niszczący i butwiejący świat, a raczej wyraźną próbą zadomowienia się i poznania specyfiki owych przemian, w których przecież człowiek wykreowany w wierszach nieprzerwanie uczestniczy. Ta konsolidacja religijności i codzienności (a także ekonomii), tak specyficzna dla współczesności, nie ogranicza się jedynie do wplecenia w kwestę wiary elementów somatycznych. To przede wszystkim wykorzystywanie zakorzenionych w kulturze europejskiej obrazów zaczerpniętych z mitologii i Biblii, przy jednoczesnym nadawaniu im nowych kontekstów, jak w wierszu *Dzień siódmy – Wielki poniedziałek...*, w którym w szpitalnych dekoracjach trwają formalne przygotowania do Zmartwychwstania, a: „smutny Charon / już chyba przyszył / do bluzki brakujące guziki” [s. 80].

Omawiana książka stanowi poetycki debiut wprawnego i świadomego czytelnika, niezaprzeczalnie jednak rządzący się pomimo tego prawami „juwenilnych” wprawek. W związku z tym nie zabraknie w publikacji utworów, które określić należy właśnie mianem takowych ćwiczeń z treści i formy poetyckiej. W tomie zamieszczone zostały bowiem wiersze chaotyczne, nieco nieprze-myślane, stanowiące specyficzny zapis strumienia myśli. Znajdą się oczywiście odbiorcy, którzy staną w ich obronie, twierdząc, iż odzwierciedlają one rozdraganie ponowoczesności, nieregularny rytm ludzkich myśli i emocji. Współczesny czytelnik przywykł jednak do tekstów zdecydowanie silniej skonceptualizowanych, przynoszących odbiorcy interpretacyjne wyzwanie. W książce *Biedny polski katolik czyta Życie Keitha Richardsa* takich tekstów miejscami po prostu brakuje – tam, gdzie przeważają dość proste relacje i obserwacje odziane w poetycki płaszcz. Nie oznacza to, że nie odnajdziemy w tomie utworów ciekawszych, opartych na grach słownych i interesujących skonstruowanej metaforyce, jak na przykład utwór *modlitwa dłużnika*.

Tom ten zdaje się być zdecydowanie bardziej zapisem przemyśleń ubranych w poetycką formę, wykorzystujących semantyczne możliwości metaforycznych konstrukcji, niż próbą udziału w wyścigu o palmę pierwszeństwa w świecie poetyckiego nowatorstwa. To niemal „relacja na żywo” z życia współczesnego człowieka na rozdrużu (co może nieco nazbyt dosłownie obrazuje okładka tomu), ale w owej prawdziwości właśnie może kryć się poetycki walor utworów Nowaka.

Janusz Nowak: *Biedny polski katolik czyta Życie Keitha Richardsa*. Biblioteka „Topos”, Sopot 2017.

KRÓTKO O KSIĄŻKACH

BOGDAN WIDERA



Marta Matyszczak:
Tajemnicza śmierć Marianny Biel.
Wydawnictwo Dolnośląskie,
Wrocław 2017,
s. 296.

W piwnicy familoka przy ulicy 11 listopada w Chorzowie odkryto ciało emerytowanej i właściwie zapomnianej już gwiazdy miejscowego teatru muzycznego Uciecha. Wypadek czy morderstwo? Jednym z detektywów i narratorów tej opowieści jest pies. Obserwacje, przemyślenia i wspomnienia przygarniętego ze schroniska kundelka Gucia są momentami bardzo zabawne, ale książka Matyszczak nie jest powieścią sensacyjną z przymrużeniem oka. To raczej czarny kryminał trochę w stylu amerykańskim (u Chandlera też zresztą znajdziemy sporo humoru). Autorka zastrzega się, że według swojego widzimisię namieszała w topografii Chorzowa, ale – moim zdaniem – w scenografii tego miasta czuje się „u siebie”. To jeden z elementów, dla których ta powieść mnie zachwyciła. Zna region, opisuje go z wielkim talentem. Matyszczak ma ponadto wyobraźnię, potrafi świetnie konstruować fabułę, obdarzona jest ponadto absolutnym słuchem jeżeli chodzi o „mowę ulicy”. Znakomite wyczucie współczesnego języka. Nie chcę zdradzać szczegółów akcji, żeby nie pozbawić czytelników przyjemności. Dodam jedno: wszystkie osoby z kręgu podejrzanych mają jakieś swoje mroczne sekrety, które musimy odkryć, zanim dotrzemy do rozwiązania kryminalnej zagadki. Chorzowskiej autorce gratuluję naprawdę kapitalnego debiutu książkowego. Wszystkim polecam, bo lektura jest nie lada przyjemnością.



Agata Christi:
Przeznaczenie.
Przeł. Monika Strupińska.
Wyd. Phantom Press
International, Gdańsk 1992,
s. 192.

Myslałem, że przeczytałem już wszystko, co wyszło spod pióra tej wspaniałej autorki, a tu nagle „u bukinistów” kupiłem tę niewielką powieść o kolejnej przygodzie bardzo już leciwej panny Marple. Tym razem staruszka decyduje się przyjąć zlecenie z zaświatów. Zmarły, bogaty finansista, którego spotkała raz w życiu chce, żeby wyjaśniła sprawę sprzed lat, ale nie zostawia jej żadnych informacji. Liczy na jej zdolność wyczuwania zła. I oczywiście się nie zawiedzie. Kryminalna perełka. Jednak przywołuję tę osiągalną już chyba tylko w bibliotekach starość z innego powodu. Chcę zachęcić wszystkich do zainteresowania się stoiskami ulicznych sprzedawców książek. Można tam tanio kupić naprawdę wartościowe pozycje i znaleźć tytuły nam bliskie, które pożyczylismy kiedyś komuś niegodnemu zaufania na wieczne nieoddanie.



Jonas Jonasson:
Stulątek, który wyskoczył przez okno i zniknął.
Przeł. Joanna
Myszkowska-Mangold.
Wyd. Świat Książki,
Warszawa 2015,
s. 416.

Kolejna książka, którą bardzo polecam na wakacje, bo świetnie się czyta i budzi w duszy optymizm. Drugiego maja 2005 Allan Karlsson kończy 100 lat. Bardzo chce uniknąć urodzinowego przyjęcia, które w domu spokojnej starości organizuje dla niego siostra Alice, ma je też uświetnić miejscowy radny, zapowiedziały się również lokalne media. Przewidziany jest tort, nie ma jednak wódki, którą lubi. Ze swojego parterowego pokoju wyskakuje przez okno do ogródka i rusza w świat. Oczywiście rozpoczynają się poszukiwania przeradzające się w pewnym momencie w pościg, bo policji się wydaje, że staruszek wdał się w kryminalną aferę. Allan w towarzystwie nowo poznanych przyjaciół skutecznie wymyka się pogoni. Poszukuje ich jednak nie tylko policja... Fabuła jest sensacyjna, akcja pełna nieoczekiwanych zwrotów, autor nie liczy się w ogóle z prawdopodobieństwem. Wielka ucieczka urozmaicona jest obrazami z barwnego życiorysu stulątka, który przez prawie cały XX wiek podróżował po świecie i poznał praktycznie wszystkich możliwych tego świata (m.in. generała Franco, prezydenta Trumana, Stalina, Mao itd. itd.). Brał udział we wszystkich ważnych wydarzeniach, przeszedł Himalaje, wynalazł sposób na wyrób wódki z koziego mleka... Doskonałe antidotum na mroczne „kryminały” skandynawskie.



Patryk Oczko:
*Marek Dziekoński.
Konceptja – Kreacja
– Konteksty.*
Wyd. Muzeum Miejskie
w Tychach, Tychy 2017,
s. 128.

Od dłuższego czasu odnotowuję w tej rubryce publikacje Muzeum Miejskiego w Tychach poświęcone architekturze tego młodego przecież miasta i jej twórcom. Kolejną pozycją z tej serii jest niniejsze wydawnictwo poświęcone Markowi Dziekońskiemu, autorowi wielu obiektów w tym miejscu zrealizowanych. Ten album z rozbudowanym tekstem towarzyszy wystawie poświęconej architektowi, którą w tyskim muzeum można oglądać do 9 września. Dziekoński przez wiele lat związany był z Miastoprojektem Nowe Tychy. Razem z Ewą Dziekońską zaprojektował wiele budowli – od budynków mieszkalnych po obiekty sportowe i gmachy użyteczności publicznej. Pracował też we Wrocławiu, gdzie jego dziełem jest np. budynek Panoramy Racławickiej. Poza bogatym materiałem ilustracyjnym książka zawiera obszerną bibliografię oraz aneksy z wykazami poszczególnych projektów.



ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

W Strzegomiu

Gdy członkowie Komisji Ustalania Nazw Miejscowych, działającej w latach 1945-1950 przy Ministerstwie Administracji Publicznej, później przy Prezesie Rady Ministrów, przystępowali do pracy związanej z rekonstrukcją bądź z kreowaniem polskich nazw miejscowych na obszarach ziem zachodnich i północnych przyłączonych do Polski po II wojnie światowej, nie mieli większych kłopotów z przywracaniem na polskie mapy i drogowskazy nazw słowiańskich w języku niemieckim tylko substytuowanych, z charakterystycznymi niemiecko-polskimi morfologicznymi odpowiedniościami, a w dodatku w Polsce zawsze znanych w wersji rodzimej – takich chociażby, jak: Wrocław (*Breslau*) czy Opole (*Opeln*). Do tej śląskiej pary nazewniczej dołączyć można Bytom (*Beuthen*), Gliwice (*Gleiwitz*), Głogów (*Glogau*), Łądek-Zdrój (*Bad Landeck*), Koźle (*Kosel*), Kędzierzyn (*Kandrzin*) – tego wyraźnie słowiańskiego brzmienia nie zdołała zatrzeć funkcjonująca od roku 1934 nazwa *Heydebreck*, upamiętniająca Petera von Heydebrecka, dowódcę oddziału Freikorpsu, walczącego przeciw powstańcom śląskim pod Górą Świętej Anny, zdobywcę Kędzierzyna, Trzebnicę (*Trebnitz*), Świdnicę (w bulli wrocławskiej z roku 1245 *Zuidniza* – zapis potwierdzający pochodzenie tej nazwy od *świdy*, *świdwy* – rośliny, chociaż niemiecki substytut *Schweidnitz* wywoływał wtórne skojarzenia z wyrazem *Schwein* „świnia”) czy *Legnicę* (w tym wypadku niemiecki substytut *Liegnitz* spowodował dość długie utrzymywanie się po roku 1945 wariantu *Lignica*; ostatecznie wygrała *Legnica* nawiązująca do oczywistego rodowodu od „roz-LEG-łego, równinnego pola, terenu”).

Przed paroma tygodniami na moim szlaku wykładowo-odczytowym znalazł się bardzo stary gród dolnośląski *Strzegom*, już w bulli wrocławskiej z roku 1155 wymieniany jako gród kasztelański: *Gradicem Ztrigom*, czyli „grodzie Strzegom” (w zapisie z roku 1202 *Ztregom*, z ro-

ku 1245 *Stregom*). Powiedziałem jego mieszkańcom, z młodzieżą szkolną na czele, że i z rekonstrukcją nazwy ich miasta nie było w roku 1945 większych kłopotów, chociaż niemiecki jej odpowiednik *Striegau* powodował w przeszłości błędne skojarzenia i fałszywe rekonstrukcje („Strzygłów”, „Strzygłowa” i nawet „Trzy Góry”!).

Struktura nazewnicza *Strzegomia* jest dla historyka języka oczywista: to forma utworzona archaicznym przyrostkiem dzierżawczym „-j” od nazwy osobowej *Strzegom*, używanej w średniowieczu jako imię, a pochodzącej od imiesłowu biernego czasu teraźniejszego *strzegom*, a ten od czasownika *strzec*, *strzeżę*. Żył więc ktoś o imieniu *Strzegom* (*Strzegoma*, *Strzegomowi*, *Strzegomem* – jak *Adama*, *Adamowi*, *Adamem*), a jego gród to był *Strzegomj*. Sufiks „-j” nie zachował się do czasów piśmienniczych, ale zmiekczył poprzedzającą go spółgłoskę: *Strzegom* i takie brzmienie – z miękkim „m” na końcu – utrzymywało się przez wiele wieków. Koło XVII-XVIII stulecia wygłosowe miękkie spółgłoski wargowe stwardniały, więc i *Strzegom* zaczął być wymawiany jako *Strzegom*, a jedynym współczesnym śladem pierwotnego miękkącego przyrostka i utrzymującej się po nim miękkości wygłosowego „-m” są postacie przypadków zależnych: *do Strzegomia*, *ze Strzegomia*, *Strzegomiowi*, *Strzegomiem*, *w Strzegomiu*.

Dopowiedzmy, że równie archaiczny oraz tożsamy strukturalnie i znaczeniowo jest położony w starożytnej Panonii słowacki z pochodzenia *Strzegomj*, potem *Ostrihom* (po polsku *Ostrzyhom*), dzisiejszy węgierski *Esztergom*.

Warto też uświadomić sobie formalną paralelę między *Strzegomiem* i takimi nazwami miejscowymi, jak: *Bytom*, *Radom*, *Oświęcim*, *Stradom* czy *Wrocław* i *Jarosław*. One też zostały utworzone dzierżawczym przyrostkiem „-j” od osobowym imion *Bytom* (*Bytoma*, *Bytomowi*), *Radom* (*Radoma*, *Radomowi*), *Oświęcim* (*Oświęcima*, *Oświęcimowi*), *Stradom*

(*Stradoma*, *Stradomowi*), *Wrocław* (*Wrocława*, *Wrocławowi* – z dawn. *Wrocisław*, *Wrocisława*, *Wrocisławowi*) i *Jarosław* (*Jarosława*, *Jarosławowi*). Ich pierwotne brzmienia zatem to *Bytomj*, *Radomj*, *Oświęcimj*, *Stradomj*, *Wrocławj*, *Jarosławj*, późniejsze – *Bytom*, *Radom*, *Oświęcim*, *Stradom*, *Wrocław*, *Jarosław*, a po stwardnieniu wygłosowych spółgłosek wargowych – *Bytom*, *Radom*, *Oświęcim*, *Stradom*, *Wrocław*, *Jarosław*. Oczywiście – tak jak w wypadku *Stradomia* – jedynym śladem owej prymarnej wygłosowej miękkości są postacie przypadków zależnych: *Bytomia* – *Bytomowi* – *Bytomiem*, *Radomia* – *Radomiowi* – *Radomiem*, *Oświęcimia* – *Oświęcimowi* – *Oświęcimiem*, *Stradomia* – *Stradomiowi* – *Stradomiem*, *Wrocławia* – *Wrocławowi* – *Wrocławiem*, *Jarosławia* – *Jarosławowi* – *Jarosławiem*.

Od starych słowiańskich imion *Racibor* (od *ratiti* „walczyć” i *boriti* „walczyć”), *Luban* i *Poznan* także stworzono nazwy grodów: *Raciborj*, *Lubanj*, *Poznanj* – późniejsze *Racibórz*, *Lubań*, *Poznań*, a ponieważ wygłosowe spółgłoski tych form nie były wargowe, ich miękkość w pierwszym przypadku utrzymuje się w stanie nienaruszonym.

Tych zaś Czytelników, którzy przy lekturze dzisiejszego odcinka o Strzegomiu mieli skojarzenia brzmieniowe z innym dolnośląskim miastem – Strzelinem, informuję, że ten ostatni (niem. substytut to *Strellin*), leżący nad Oławą, dopływem Odry, jest albo nazwą dzierżawczą utworzoną przyrostkiem „-in” od imienia osobowego *Strzala*, albo – czego nie wyklucza prof. Stanisław Rospond w swym „Słowniku etymologicznym miast i gmin PRL” z roku 1984 – nazwą topograficzną, nawiązującą do wyrazu pospolitego *strzala*, *strzał* rzeki w znaczeniu „głównego kierunku, w którym bieży woda, nurt, prąd”, a odnoszącego się do odcinka Oławy w tym miejscu płynącej.

Dla Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tychach 2016 rok był pod wieloma względami niezwykły. Po pierwsze – razem z naszymi czytelnikami i sympatykami świętowaliśmy jubileusz 60-lecia istnienia. Po wtóre – otrzymaliśmy do dyspozycji nową siedzibę Biblioteki Głównej mieszczącą się w nowoczesnym budynku Mediateki. Po trzecie – nastąpiła zmiana na stanowisku dyrektora, które od 1 lipca 2016 roku objęła Anna Krawczyk. Te wszystkie przemiany nie tylko nie ograniczyły naszej pracy, ale także stały się źródłem motywacji i zachętą do podejmowania nowych działań w kolejnych latach.

Jako najstarsza instytucja kultury w Tychach jesteśmy świadomi zadań i wyzwań, które stawia przed nami otoczenie. Tyska księżnica – Biblioteka Główna z siecią trzynastu filii bibliotecznych – na co dzień realizuje zadania statutowe, dbając przy tym o wysoki poziom merytoryczny i najlepsze standardy obsługi użytkownika. Przejawem tego było otwarcie nowych działów i sal (Czytelnia Multimedialna, Bajkoteka – minisala kinowa), oddanie do rąk czytelników zbiorów Czytelnicy poprzez wypożyczanie weekendowe i nocne książki i czasopism czy wzmocnienie pozycji Działu Muzycznego i Książki Mówionej, kiedyś perełki śląskiej aglomeracji. Dzisiaj to miejsce, które ofertą kusi pasjonatów muzyki, a od niedawna także kina (w kwietniu 2017 roku uruchomiliśmy wypożyczanie filmów), wspiera również osoby niewidome, niedowidzące i dyslektyków. Zainteresowani znajdą tutaj stanowiska odsłuchowe, bogate zbiory audiobooków (w tym tytuły obcojęzyczne), płyty z kursami do nauki języków obcych, których znaczną część pozyskałaliśmy dzięki dotacji z Fundacji PGNiG im. Ignacego Łukasiewicza, wspierającej rozwój kompetencji językowych mieszkańców Tychów.

Przejawem troski o użytkownika i filarem promocyjnym czytelnictwa jest w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Tychach szeroki wachlarz imprez, zawsze z książką w tle. Wiele z nich, by wspomnieć chociażby Tyskie Dni Literatury, Spotkanie z muzyką, Świat na wyciągnięcie ręki, Klub Motyli Książkowych, Ogólnopolskie Urodziny Książkowego Misia czy Ogólnopolski Tydzień Czytania Dzieciom, na trwałe wpisało się już w kalendarz literacko-kulturalnych wydarzeń w naszym mieście. Ostatnie miesiące przemian sprawiły jednak, że biblioteka mogła zaproponować tyszanom nowe projekty. Znalazły się wśród nich Bajkoteka



Bajkoopowiadacz – spotkania popularyzujące czytanie wśród najmłodszych

Miejska Biblioteka Publiczna w Tychach Literacko-kulturalne serce miasta

i Sztuka X Muzy – bezpłatne projekcje bajek i filmów, Tury Kultury – spotkania z ludźmi literatury oraz szeroko pojętej kultury i sztuki, piszącymi i tworzącymi dla dzieci, młodzieży i dorosłych, a także Noc Bibliotek, podczas której odwiedzający mają okazję zwiedzić biblioteczne przestrzenie, wziąć udział w przygotowanych atrakcjach i dobrze się bawić. Do najmłodszych adresujemy ponadto Bajkoopowiadacza (spotkania z Wróżką Ellą, która – przebrana w strojne szaty – opowiada bajki), Pacynki w akcji (przedstawienia teatryku pacynkowego), Zabawę ze sztuką (zajęcia kreatywne) oraz różnego rodzaju warsztaty. Na zajęciach praktycznych w bibliotece dzieci uczą się m.in.: czerpania papieru, podstaw sztuki drukarskiej, dekorowania bombek i pierników, przygotowywania ozdób świątecznych.

książek dla najmłodszych – DZIECIO-OPAC – dzięki niemu maluchy, dopiero rozpoczynające przygodę z czytaniem, mogą odsłuchać opisu treści danej pozycji.

Wszystkim wielopłaszczyznowym przedsięwzięciom, podejmowanym z rozmysłem decyzjom czy nowatorskim rozwiązaniom poświęca jeden cel – zadowolenie czytelnika. Takiego, który sympatyzuje z nami od lat, korzystając z bibliotecznych dobrodziejstw oraz tego, któremu świat książki był dotąd obcy. Nasza determinacja na nic by się jednak zdała, gdyby nie dobre duchy biblioteki. W zacnym gronie osób i instytucji wspierających działania tyskiej księżnicy są: wódcze miasta, służby mundurowe, wśród nich Straż Pożarna, Policja i Straż Miejska, wojsko, leśnicy, a także darczyńcy, przychylna nam lokalna prasa, nade wszystko zaś rzesze oddanych przyjaciół.

Zebrane w artykule fakty, spostrzeżenia czy refleksje składają się na obraz Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tychach jako takiej, która nieustannie się rozwija, starając się w swojej działalności łączyć tradycję z nowoczesnością. Instytucja, którą zwykło się utożsamiać z ciszą i spokojem, tętni życiem, intryguje, przyciąga, jest miejscem otwartym, zaprasza każdego. To w niej bije literacko-kulturalne serce miasta.



Książkomat, wrzutnia i selfchecki – za ich pomocą czytelnicy mogą samodzielnie wypożyczać i zwracać książki

Zdjęcia: z archiwum MBP w Tychach

HOT CLUB DE COLOGNE (Niemcy)

ESTRADA NA KAMPUSIE

UL. RUDZKA 13

JUBILEUSZOWY

X MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL

JAZZU
TRADYCYJNEGO

DIANE DAVIDSON (USA)

2017
19 – 20 SIERPNIA

WSTĘP WOLNY

Sobota, 19 sierpnia

■ godz. 12.00

JAZZ NA ULICY - prezentacje zespołów festiwalowych
ul. Rynekowa obok FOCUS PARK i HALO Rybnik

■ godz. 16.00

PARADA NOWOORLEAŃSKA z udziałem muzyków
oraz grup tanecznych i teatralnych.
(Plac JPil - Deptak - Rynek - Kampus)

■ godz. 17.00 KONCERTY:

- FIVE O'CLOCK
- HOT CLUB DE COLOGNE (Niemcy)
- TRADITIONAL DIXIE STOMPERS (Słowacja)

■ godz. 21.30

Festiwalowy jam session
(sala kameralna TZR) - bilety 10 zł

Niedziela, 20 sierpnia

■ godz. 17.00 KONCERTY:

- SOUTH SILESIAN BRASS BAND
- LIBERTY JAZZ TRIO (Rosja)
- DIANE DAVIDSON (USA)
& DIXIE COMPANY

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:

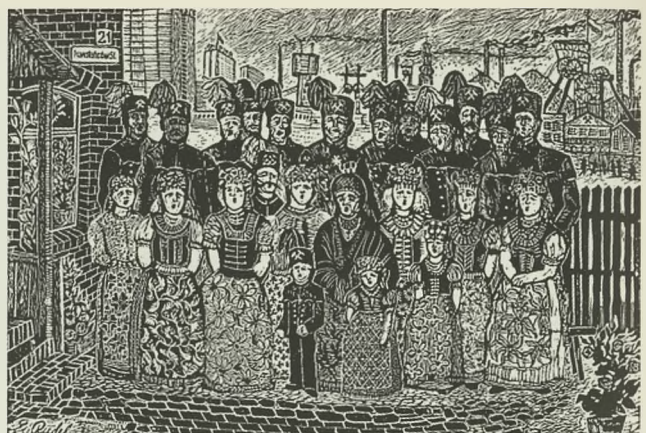
Wiesława Konopelska

Jan Picheta

Joanna Kotkowska

Janusz Ireneusz Wójcik

Maria Sztuka



Rudolf Riedel, Rodzina śląska, papier, linoryt. Katowice 1982

Fot. ze zbiorów Muzeum Górnośląskiego

Rok 1922 na Górnym Śląsku

KATOWICE. Konferencja naukowa pt. „Rok 1922 na Górnym Śląsku. Granice, administracja, społeczeństwo” odbyła się 14 czerwca w Centrum Edukacyjnym IPN w Katowicach „Przystanek Historia”. Referaty wygłosili: dr hab. Lech Krzyżanowski (UŚ), dr Andrzej Drogoń (US), dr hab. Zbigniew Hojka (UŚ), Renata Skoczek (Muzeum w Chorzowie), Zbigniew Gołasz (IPN Katowice), dr Miłosz Skrzypek (UŚ), dr Bernard Linek (Państwowy Instytut Naukowy – Instytut Śląski w Opolu), a także dr hab. Maciej Fic (UŚ), ks. prof. dr hab. Jerzy Myszor (UŚ) i dr Mirosław Węcki (UŚ). Konferencja koncentrowała się wokół kilku kluczowych problemów związanych z pierwszym okresem funkcjonowania województwa śląskiego. Dyskutowano o tym, jakie były międzynarodowe i krajowe regulacje prawne, które uwarunkowały funkcjonowanie województwa śląskiego i wpłynęły na specyfikę tego regionu w stosunku do reszty obszaru II Rzeczypospolitej. Ponadto poruszano problem nowo powstałej granicy i jej wpływu na determinację sytuacji gospodarczej i życie mieszkańców regionu. Konferencja była wstępem do wydarzeń, które będą miały miejsce w latach 2018–2022, kiedy to w kraju obchodzone będą setne rocznice wydarzeń związanych z odrodzeniem Państwa Polskiego. W lipcu tego roku minieła 95 rocznica przyłączenia Górnego Śląska do II Rzeczypospolitej. Z tej okazji w Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach odsłonięta została pamiątkowa tablica, na której widnieje napis: *Pamięci powstańców śląskich oraz działaczy narodowościowych, którzy swą pracą i ofiarą krwi przyczynili się do powrotu Górnego Śląska do Macierzy oraz śląskich rodzin, które przez pokolenia – pomimo germanizacji – zachowały polską kulturę, tradycję, język i miłość do Ojczyzny – Polski. Z nich wyszli dzielni patrioci i bohaterowie, którzy wywalczyli przez wieki oczekiwane połączenie z Ojczyzną.*

Uczniowie Stefana Suberlaka w Muzeum Górnośląskim

BYTOM. Wystawa *Czarno-biały świat* to trzecia prezentacja sztuki naiwnej w Muzeum Górnośląskim, towarzysząca międzynarodowemu Art Naif Festiwalowi. Tegoroczna ekspozycja przybliży twórczość śląskich grafików samorodnych: Mariana Jędrzejewskiego, Jana Nowaka oraz Rudolfa Riedla. Wszyscy oni byli uczniami Stefana Suberlaka – malarza, grafika, absolwenta katowickiego Wydziału Grafiki ASP w Krakowie, który w okresie PRL prowadził zajęcia w ogniskach plastycznych i wpłynął na twórczość wspomnianych artystów. Każdemu z nich udało się jednak wypracować własny, odrębny styl. Na wystawie *Czarno-biały świat* prezentowane są prace linorytne powstałe w ostatnich trzech dekadach XX oraz na początku XXI w. Wystawę *Czarno-biały świat*, przygotowaną przez Urszulę Batko i Małgorzatę Kłych, będzie można oglądać do 13 sierpnia w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu.

Odtworzono pracownię Antoniego Halora

SIEMIANOWICE ŚLĄSKIE. Z okazji przypadających 12 lipca 2017 roku 80. urodzin wybitnego artysty Antoniego Halora rodem z Sie-

mianowic Śląskich (artysta zmarł 10 lutego 2011 r. w Katowicach), reżysera filmowego i telewizyjnego, artysty plastyka, literaturoznawcy i publicysty, w Muzeum Miejskim miało miejsce wyjątkowe wydarzenie: odbyło się uroczyste otwarcie nowej wystawy stałej pt. „Antoni Halor – *Opowieści miasta z rybakiem w herbie*”. Tytuł jest nawiązaniem do książki jego autorstwa, która wydana w 1997 roku stała się podstawowym źródłem wiedzy o podaniach i legendach związanych z miastem. Wystawa składa się z dwóch części – biograficznej i literacko-baśniowej. Pierwsza z nich stanowiąca odtworzenie pracowni artysty, ukazuje przedmioty codziennego użytku, książki, fotografie, prace plastyczne – udostępnione przez żonę artysty, Bogumiłę Hrapkowicz-Halorową oraz syna, Jakuba Halora. W kącie multimedialnym jest wyświetlany film dokumentalny o twórczości tego wszechstronnego artysty – reżysera filmowego i teatralnego, plastyka, pisarza, badacza historii i kultury Śląska. W części poświęconej siemianowickim legendom znalazły się plansze ilustrujące najważniejsze opowieści, m.in. o trzech braciach – Siemionie, Macieju i Michale (założycielach Siemianowic, Maciejkowic i Michałkowic), o utopcach, o białej damie i upiorze. Swoje miejsce znalazła też opowieść o żołnierzach napoleońskich, którzy wracając z Rosji dopełnili tutaj żywota, znajdując pochówek pod kapliczką (zwaną „Panienką”) przy Parku Miejskim. Twórcą scenariusza wystawy, aranżerem wnętrza i autorem przebogatych kolorystycznie, pełnych baśniowej fantazji plansz jest Jarosław Bednarz – plastyk Muzeum, absolwent katowickiej ASP. Manekin żołnierza napoleońskiego z repliką munduru (będącego rekwizytem filmowym wprost z filmu „Popioły” Andrzeja Wajdy) został przygotowany przez Artura Garbasa – pracownika działu historii. We wrześniu, w katowickiej Galerii Artystycznej nastąpi odsłonięcie popiersia Antoniego Halora, dłuta siemianowickiego artysty rzeźbiarza Jacka Kicińskiego. Z tej okazji otwarta została również wystawa pt. „Życie i twórczość Antoniego Halora (1937–2011)” ukazującą wybrane prace z każdej z dziedzin. Wydarzenie odbyło się w ramach XXV Dni Siemianowic Śląskich.

Katowicka ASP górą!

KATOWICE. XVI Międzynarodowe Triennale Małe Formy Grafiki Polska – Łódź 2017 zakończyło się sukcesem organizatorów i ... katowickiej ASP. Organizatorom, czyli Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi można pogratulować ogromnego zainteresowania konkursem, ponieważ do udziału w tegorocznej edycji zgłosiło się 632 artystów z 53 krajów, którzy nadesłali 2099 prac. Na wystawę międzynarodowe jury w składzie: przewodniczący Sepp Hiekisch-Picard (wicedyrektor Kunstmuseum w Bochum), Elżbieta Fuchs (kuratorka Triennale, dyrektor Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi), Giuliano Santini (dyrektor Międzynarodowego Centrum Grafiki Artystycznej KAUS w Urbino), prof. Witold Kaliński (prowadzący Pracownię Rysunku na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych im. W. Strzemińskiego w Łodzi) oraz prof. Andrzej M. Bartczak (prowadzący zajęcia z grafiki warsztatowej na Wydziale Artystycznym Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi), zakwalifikowało 914 prac 384 artystów z 47 krajów. Najlepsze zestawy prac zostały wyróżnione Medalami Hono-



Fragment stałej ekspozycji w Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich poświęconej Antoniemu Halorowi

rowymi, zaprojektowanymi przez łódzką rzeźbiarkę Ewę Tyc-Karpińską. Wśród 14 laureatów znalazło się aż troje artystów z Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach: Agata Niżnikiewicz, Michalina Wawrzyczek-Klasik i Andrzej Łabuz. Szczególnie miło nam powitać w gronie nagrodzonych Michalinę Wawrzyczek-Klasik, która od lat współpracuje z naszym miesięcznikiem. Artystka, współtwórczyni grupy „Bezpośrednio” (wraz z Arturem Masternakiem i Michałem Klasikiem) jest absolwentką ASP w Katowicach, dyplom z wyróżnieniem uzyskała w 2010 r. w pracowni serigrafii prof. W. Węgrzyna, posiada również dyplomy dodatkowe w pracowni intermedii prof. A. Romaniuka oraz pracowni malarstwa prof. I. Walczaka. Pani Michalina jest stypendystką Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Na zaproszenie Europaisches Kulturzentrum w Köln reprezentowała swoją wystawą Katowice podczas obchodów 20-lecia współpracy Köln i Katowic, uczestniczyła w kilkudziesięciu wystawach i projektach krajowych oraz międzynarodowych. Serdecznie gratulujemy!

Martyna Czech w bielskiej BWA

BIELSKO-BIAŁA. Bielska Jesień to ogólnopolski konkurs malarstwa, który od 55 lat organizuje Galeria Bielska BWA w Bielsku-Białej. Na przestrzeni lat formuła konkursu zmieniała się, ale cel pozostał ten sam – prezentacja aktualnych poszukiwań i osiągnięć w dziedzinie malarstwa i szerokie upowszechnianie sztuki. Od 2013 roku zasady Bielskiej Jesieni są maksymalnie demokratyczne, ponieważ dopuszczają do udziału zarówno absolwentów wyższych szkół artystycznych, jak i osoby, które nie mają takiego wykształcenia, lecz wykazują się aktywnością twórczą i dorobkiem. Ostatnie biennale, w 2015 roku, wygrała 25-letnia Martyna Czech, studentka Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, z pracowni prof. Andrzeja Tobisa. Dziś Martyna Czech jest już absolwentką i ma za sobą kilka wystaw zbiorowych, wystawę indywidualną w Galerii Potencja w Krakowie oraz tytuł TALENT TRÓJKI 2017 przyznany przez Program 3. Polskiego Radia w Warszawie.

– Malarstwo jest dosłownie moim życiem, każdy obraz posiada historię opartą na faktach, łączy nie tylko krytycyzm świata ludzkiego, którego jestem obserwatorem – przedstawicielem, ale i krytykę samej siebie. Emocjonalne obrazy są obserwacjami przefiltrowanymi przez mój umysł. Powodem do malowania jest nie tylko określone wydarzenie czy osoba – również ważny jest mój stosunek do obiektu czy tematu. Dwojake spojrzenie jest konfrontacją wrażliwości na świat zwierząt z nienawiścią do świata ludzi, efektem tego zderzenia jest obraz/ból wewnętrzny – mówiła Martyna Czech przy okazji wystawy w Galerii Potencja.

Tytuł wystawy – „Jad”, kurator Jakub Banasiak określa, jako adekwatny do silnych emocji, które artystka przenosi na płótno. – Malarstwo Czech jest gęste od farby, a konfiguracje poszczególnych elementów tak osobliwe, że niejednokrotnie musi upłynąć chwila, zanim uświadomimy sobie na co patrzymy. A patrzymy w zasadzie na trzy motywy: jeden dotyczy kaźni zwierząt, drugi toksycznych relacji z najbliższymi (najdalejszymi?), trzeci, być może splatając pozostałe – cielesności, seksualności, choroby. Farba jest u Czech jeszcze



Wśród laureatów XVI Międzynarodowego Triennale Małe Formy Grafiki Polska – Łódź 2017 znalazła się trójka z katowickiej ASP: Agata Niżnikiewicz, Michalina Wawrzyczek-Klasik (w środku) i Andrzej Łabuz

jedną wydzieliną, a weryzm przedstawień pozwala mówić wręcz o abiektualnym charakterze tego malarstwa. To twórczość afektywna, malarstwo kardiogram emocjonalnych poruszeń. Powodem do namalowania obrazu nie jest u Czech intelektualna spekulacja czy inspiracja którąś z uniwersyteckich mód, lecz przeżycia, impulsy, odruchy. Zazwyczaj bolesne, traumatyczne, niedobre. To zatem malarstwo odruch na podłę zachowania najbliższych; na cierpienie – własne i cudze; na chorobę; na nieszczęście; na niezabliźnione krzywdy. Martyna Czech maluje jadem – mówi kurator Jakub Banasiak. Wystawa malarstwa Marty Czech pt. „Jad” potrwa w Galerii Bielskiej BWA w Bielsku-Białej od 7 września do 8 października 2017 roku. Wernisaż będzie miał miejsce 7 września. Wystawa indywidualna jest Nagrodą Dyrektora Galerii Bielskiej BWA dla laureata Grand Prix Bielskiej Jesieni, czyli nagrody finansowej fundowanej przez patrona honorowego biennale – Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W 2017 roku Galeria Bielska BWA organizuje 43. Biennale Malarstwa Bielska Jesień 2017. Laureatów poznamy 9 listopada. Wystawa Marty Czech oraz 43. „Bielska jesień” są objęte patronatem miesięcznika „Śląsk”.

Jubileusz cyfrowej kreacji

CZĘSTOCHOWA. Na XX Międzynarodowy Konkurs Cyfrowej Fotokreacji „Cyberfoto” wpłynęło 280 prac 60 autorów. W tym roku jury w składzie: Krzysztof Jurecki (przewodniczący), Krzysztof Zajac, Arkadiusz Ławrywianiec oraz Sławomir Jodłowski, zakwalifikowało na wystawę 87 prac 36 autorów oraz przyznało nagrody. Zwyciężyła Patrycja Pawęzowska z Będzina pracą *Zwinstun I*. Nagrody zdobyły też: Magdalena Samborska z Pabianic za *Mitologie domowe* i Marzena Kolarz z Krakowa za cykl *O chorobie. Modlitwa o zdrowie*. Wyróżnienia otrzymali: Mirosław Iskra ze Stalowej Woli za cykl prac: *Przyszłość, Przeszłość i Terażniejszość*, Izabela Retkowska z Torunia za *Matuzalema*, Jacek Szczerbaniewicz z Jeleniej Góry za *Zakryte oczy*. Jury przyznało też dwa wyróżnienia honorowe – dla Jolanty Krawiec z Bydgoszczy za *Dreamland* oraz Konrada Chrzanowskiego z Warszawy za *Wizualizując dźwięk*. Wystawę można było oglądać w Galerii Art-Foto Regionalnego Ośrodka Kultury od 28 kwietnia przez cały maj. Pokazano też prace częstochowian: Joanny Sidorowicz, Jarosława Dumalskiego oraz Małgorzaty Kozakowskiej. Wernisaż był doskonałą okazją, by zastanowić się, czy i w jaki sposób konkurs przyczynił się do popularyzacji fotografii cyfrowej, stymulowania dyskusji oraz stworzenia środowiska.

Frytkowa przeprowadzka

CZĘSTOCHOWA. 24–25 czerwca w Parku Lisiniec odbył się Częstochowski Festiwal „Frytka OFF-jazd”. Zmieniona nazwa, nowe miejsce. Gdy impreza startowała przed kilku laty, była elementem programu rewitalizacji ulicy Piłsudskiego, zwanej też Aleją Frytkową. Ale i w nowym miejscu frytek nie zabrakło. Zadbali o to food trucki. Główną gwiazdą sobotniego koncertu był Kult. Zagrali też: Jazzombie (czyli Lao Che z Pink Freud), Organek, Daria Za-



Martyna Czech
– laureatka Grand prix Bielskiej Jesieni 2015

wiałow oraz częstochowska grupa Meek Oh Why?, znana już z występu na Enea Spring Break. W niedzielę zorganizowano piknik teatralno-muzyczny. Wystąpiły teatry: Barnaby, Kalejdoskop, 3.5, Hom, prezentujące różne stylistyki. Przygotowano także warsztaty bębniarskie, żonglerskie, puszczenie baniek mydlanych, żywe pomniki. Zabawę animowali członkowie Stowarzyszenia „Przybij Piątkę”, Yawa, A kuku Bębny Częstochowa oraz Tęczówka Studio. O muzykę zadbali DJ-e – Biernaski (sobotnie afterparty), Kacper Kapsa i Grzegorz Bojanek. Zamiast tradycyjnej parady frytkowej na finał zorganizowano Czarcią Noc.

Wokół Beksińskiego

CZĘSTOCHOWA. Miejska Galeria sztuki nie ustaje w organizowaniu wydarzeń promujących wystawę *Beksiński. Drugie Muzeum*. 25–28 maja odbyły się kolejne. Wśród nich były: wykład Elżbiety Hak o obrazach mistrza, spotkania z Remigiuszem Grzelą, autorem *Hotelu Europa* (2009), Jarosławem Skoczkiem, wydawcą dziennika *Beksińskiego* i rozmów pt. *Beksiński. Dzień po dniu kończącego się życia* (2016), z Anną i Piotrem Dmochowskimi. Odbiła się także premiera filmu dokumentalnego *Rok z Beksińskim* Magdaleny Fijołek i Adama Bednarskiego, rejestrujący powstawanie nowej wystawy oraz rozmowy z przyjaciółmi artysty. Poza tym zaprezentowano wirtualną ekspozycję *De profundis. Podróż przez świat obrazów Zdzisława Beksińskiego*, którą można zwiedzać do końca września w okularach VR. Również z tej okazji Wojciech Kołsut przygotował spektakl inspirowany *Beksińskim Powrót marionetek – Sen 62*. W projektowaniu scenografii i kostiumów pomagała Katarzyna Kołsut. Muzykę skomponowaną przez częstochowianina Piotra Hummela, podczas spektaklu wykonywały Milena Szczukiecka oraz Ola Migoń.

Uczył się grać w częstochowskim getcie

CZĘSTOCHOWA. Krzysztofa Komedę, doskonałego kompozytora i światowej sławy jazzmana wspominaliśmy 27 maja podczas Dnia Samorządu Terytorialnego. W koncercie *Trzy dźwięki Komedy*, przygotowanym przez Wojtkę Mazolewskiego i jego kwintet, wystąpili znamienici goście: Leszek Możdżer, Artur Rojek, Maria Sadowska oraz James Morton. Na ekranie pokazywano wspomnienia Romana Polańskiego, Andrzeja Wajdy, Andrzeja Wojciechowskiego, Zofii Komodowej, wizualizacje w 3D, zdjęcia i materiały z koncertów. Wcześniej na scenie zagrali Marcin Januszkiewicz oraz częstochowianka Ana Andrzejewska. Tego dnia w OPK Gaude Mater odbyło się także spotkanie z Andrzejem Krakowskim, reżyserem i scenarzystą, który opowiadał o swojej przyjaźni z Komedą, a OKF Iluzja już we wtorek zaprosił na filmy z muzyką Komedy, m.in. *Nóż w wodzie* w ramach cyklu *Aleje – tu się dzieje!* Krzysztof Trzciniński przyjechał do Częstochowy wraz z rodzicami we wrześniu 1939 roku z Poznania do babci Władysławy Natęcz-Gembickiej. Tu pobierał lekcje muzyki u Wandy Kopeckiej, córki Maurycyego Neufelda, uczęszczał do szkoły Powszechnej Braci Szkolnych, a wiosną 1945 do Gimnazjum im. Romualda Traugutta. Wakacje spędzał w okolicach Olsztyna.



Martyna Czech, *Ex 1*, 2014

Poswingować czas

CZĘSTOCHOWA. XIII Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego „Hot Jazz Spring” w tym roku trwał od 31 maja do 4 czerwca. Zaczęło się od filmów – *Był jazz* Feliksa Falka oraz *Excentrycy* Janusza Majewskiego, potem były koncerty, Parada Nowoorleańska, wystawa dokumentująca kolejne festiwale, kurs tańca swingowego oraz premiera teledysku *The Harpiano Show*.

W alejach oraz w filharmonii wystąpiło 11 zespołów m.in. Dixie Company, Vano Bamberger Quartet & Siergiej Wowkotrub, Andrzej Jagodziński Trio, Breckenridge – Karolak – Connection oraz Agnieszka Wilczyńska. Honorowego Swingującego Kruka otrzymał Dymitr Markiewicz, grający w Warszawskich Stompersach, The Ragtime Jazz Bandzie i Five O’Clock. Laureat wystąpił m. in. z Clausem Jacobi. W Jazz Klubie Five O’Clock odbywały się jam session. Festiwal zorganizowali Polskie Stowarzyszenie Jazzu Tradycyjnego oraz Filharmonia Częstochowska.

Pięćdziesięciolecie w znakomitej formie

ŁĄŻY. Tegoroczne Dni Łaż (1–2 lipca) nad zalewem Mitręga były wyjątkowe, świętowano bowiem 50-lecie nadania praw miejskich. Nie zabrakło atrakcji zarówno dla dzieci, jak i dorosłych. Pogoda dopisała, mieszkańcy przybyli więc tłumnie. Imprezę rozpoczął występ Zespołu Tańca Ludowego „Niezapominajka”, który uraczył publiczność tańcami i śpiewami ludowymi. Wiele radości sprawił Dziecięcy Zespół Wokalny „Śpiewoludki” a także laureatki wielu przeglądów i festiwali: Wiktoria Pyrdół i Patrycja Gotfryd. Młodzież bawiła się na koncertach formacji rockowej Hit the crown, Antka Smykiewicza, zespołu Sweet Voices, Katar, formacji Rootzmans. Doskonale rozpalili publiczność Piotr Kupicha i formacja Feel. Dni Łaż 2017 zakończył prawie dwugodzinny koncert zespołu Pectus i pokaz sztucznych ogni.

Człowiek – orkiestra rodem z Czeladzi

CZELADŹ. Pianista, kompozytor, dyrygent, aranżer, twórca i dyrektor artystyczny pierwszego big-bandu Telewizji Katowice – wszystkie te talenty posiadał Ireneusz Wikarek, czeladzianin z urodzenia, syn słynnego fotografa. Portret zmarłego przed 33 laty artysty, wybitnej postaci polskiej kultury, a dokładnie muzyki rozrywkowej, zaprezentowało Muzeum Saturn, organizując 9 czerwca spotkanie z rodziną Wikarków. Postać Ireneusza Wikarka przedstawiła dyrektor Muzeum Iwona Szaleniec i Grażyna Wikarek-Meus, natomiast Wojciech Wikarek – syn Ireneusza, znany filmowiec, zdobywający dziesiątki laurów w obszarze tzw. kina niezależnego, zaprezentował autorski film pt. „Irek”. O bohaterze tej krótkometrażowej produkcji opowiadają nie tylko najbliżsi, ale także gwiazdy estrady, z którymi w tamtych latach współpracował, między innymi: Zbigniew Wodecki, Andrzej Zubek, Jerzy Jarosik, Ewa Wojnowska i wielu innych. Autor filmu przedstawił także sporo materiałów dokumentalnych, m.in. nagrań z programów Telewizji Katowice, Festiwali Piosenki w Sopocie czy Festiwalu Piosenki Cze-



Laureaci XX Międzynarodowego Konkursu Cyfrowej Fotokreacji „Cyberfoto” w Częstochowie



Wojciech Wikarek – twórca filmu „Irek” wśród zdjęć archiwalnych znajdujących się na wystawie w Muzeum Saturn

skiej i Słowackiej w Ustroniu. Muzeum przygotowało również wystawę zdjęć archiwalnych pokazujących życie zawodowe i rodzinne Ireneusza Wikarka, a także – we współpracy ze Szkołą Muzyczną w Będzinie – krótki popis młodych instrumentalistów.

W SKRÓCIE

■ 13 wystawa kolekcji Małopolskiej Fundacji Kultury Muzeum Sztuki Współczesnej otwarta została w Galerii Bielskiej BWA. Pokazano prace wielu wybitnych współczesnych artystów, takich jak: Paweł Althamer, Mirosław Bałka, Teresa Bujnowska, Marek Chlanda, Oskar Dawicki, Zbigniew Libera, Piotr Lutyński, Jarosław Modzelewski, Zbigniew Sałaj, Wilhelm Sasnal, Grzegorz Sztwiertnia, Leon Tarasewicz, Jan Jakub Ziółkowski.

■ Choredokument (projekt multimedialny z pogranicza filmu, koncertu i tańca) w reżyserii Rafała Urbackiego pt. „Jaram się” został zrealizowany przez Teatr Śląski w Katowicach. Spektakl jest krytycznym komentarzem do polityki względem dziedzictwa przemysłowego w regionie. Został przygotowany z okazji Industriady – Święta Szlaku Zabytków Techniki w ubiegłym roku. W tym roku prezentowany był w Pszczyńskim Centrum Kultury, GSW „Elektrownia” w Czeladzi, Centrum Kultury „Karolinka” w Radzionkowie i Rydułtowskim Centrum Kultury „Feniks”. Spektakl powstał w ramach programu „Scena dla tańca” prowadzonego przez Instytut Muzyki i Tańca.

■ Na kolejną edycję „Nocy bibliotek” zaprasza Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Będzinie.

■ Uroczysty finał X edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Władysława Sebyły odbył się w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Będzinie, która była organizatorem tego wydarzenia.

■ Premiera jednoaktówki Krystiana Gałuszki pt. „Banhof” w wykonaniu uczniów X Liceum Ogólnokształcącego w Katowicach odbyła się w Teatrze Śląskim – Scenie w Galerii Katowickiej.

■ Od 9 czerwca do 18 sierpnia trwa X Art. Naif Festival – Międzynarodowy Festiwal Sztuki Naiwnej, którego organizatorem jest Galeria Szyb Wilson i Fundacja „Eko-Art.-Silesia”. Uczestniczy w nim ponad 300 artystów z całego świata. Festiwalowi towarzyszą pokazy filmowe, ArtJaarmark, warsztaty plastyczne.

■ W Częstochowie zagrali: w Alejach – Tador Four; w Filharmonii Częstochowskiej – Di Galitzyaner Klezmorim; w Five O’Clock – Czarny Pies; w Teatrze im. Adama Mickiewicza – Jaromir Nohavica; w Pubie Stacherczak – K.K. Blues Band Band; na placu Biegańskiego – Natalia Nykiel; w Muzeum Monet i Medali Jana Pawła II – Antonina Krzyszoń.

■ Częstochowskie wystawy: Wejściówka – Mateusz Zakłada, Arkadiusz Zając, Danuta Króliszewska; Galeria Art-Foto – Zatrzymać chwilę Małgorzaty Domańskiej; Konduktorownia – Akwarele Redi. Bo.

■ 23 czerwca na Bulwarze nad Wartą można było obejrzeć *Noc Świętojańską*, widowisko plenerowo-obrzędowe przygotowane przez Zespół Pieśni i Tańca „Częstochowa”.

■ w częstochowskim Odwachu w ramach cyklu *Aleje – tu się dzieje!* zorganizowano spotkania m.in. z Igorem Karpowiczem oraz Chrisem Niedenthalem, fotoreporterem.

■ 14 czerwca w cyklu *Nieśmiertelni* Jan Chojnacki wspominał B.B. Kinga.

■ 23 czerwca Sosnowieckim Centrum Sztuki-Zamek Sielecki odbył się wernisaż twórczości Rafała Olbińskiego.

■ 25 czerwca w sali widowiskowo-koncertowej Muza w Sosnowcu odbyło się rodzinne spotkanie „Sosnowiec dzieciom” z okazji 115. rocznicy nadania praw miejskich.

10 CZERWCA
01 PAŹDZIERNIKA | 2017

MROKI PODŚWIADOMOŚCI

Beksinski

MUZEUM HISTORII KATOWIC
GMACH GŁÓWNY
ul. KS. J. SZAFRANKA 9

ŚLĄSKI

MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca
poprzedzającego
zamknięcie
numeru

ZARDZEWIAŁY tramwaj ma szansę stać się nieoficjalnym symbolem Rudy Śląskiej. Ekspонат z 1959 roku pojawił się 6 czerwca na rondzie w Rudzie Śląskiej-Chebziu, niedaleko pętli tramwajowej. Jest to wagon typu 5ND i został zakupiony po cenie złomu od Tramwajów Elbląskich. Dawniej podobny model obsługiwał linię nr 9 w Rudzie Śląskiej. Wagon o wadze ok. 8 ton został odrestaurowany z zewnątrz. Wyczyszczono go z korozji, a następnie pomalowano farbą kortenową. Podświetlony wagon będzie sąsiadował z napisem „Ruda Śląska”.

TEGOROCZNA Industriady, czyli wielka wędrownka Szlakiem Zabytków Techniki, ponownie okazała się sukcesem. W imprezach wzięło udział ponad 84 tysiące osób. Wszyscy ciepło przyjęli powrót bytomskiej Elektrociepłowni do programu Industriady, którą w Chorzowie hucznie zainaugurowała wieża wyciągowa Szybu Prezydent zmieniona w instrument muzyczny. W Muzeum Śląskim w Katowicach na odwiedzających czekały wystawy, projekcja filmu, prelekcje, warsztaty i koncerty. Przy Parku Tradycji w Siemianowicach Śląskich nie zabrakło także gier i zabaw. Po roku przerwy Industriady powróciła do Huty Szkła w Zawierciu, gdzie można było zobaczyć m.in. proces wytwarzania kryształów oraz zwiedzić muzeum z najstarszymi eksponatami.

PRZEDSTAWIONY publicznie w Warszawie 12 czerwca został raport Najwyższej Izby Kontroli, dotyczący restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego można podsumować krótko – stracone szanse. Jak uzasadniał to prezes NIK Krzysztof Kwiatkowski, w latach 2007-2015 nie wykorzystano szans, jakie górnictwu węgla kamiennego dały zarówno efekty wcześniejszych reform tego sektora, jak i dobra koniunktura na węgiel kamienny. Okresu dobrej koniunktury nie wykorzystano m.in. na dostosowanie wielkości zatrudnienia do faktycznych potrzeb spółek i poprawy wydajności wydobywania.

PRZEBUDOWA Stadionu Śląskiego wreszcie się finalizuje. W czerwcu trwało rozkładanie murawy, którą do Chorzowa przywieziono z plantacji pod Budapesztem, a następnie modernizowano bieżnię. Obiekt, który kosztował około 700 mln zł, jeszcze nie ma planu wydarzeń. Na razie pewne jest to, że 1 października na Stadionie Śląskim będzie finiszował PKO Silesia Marathon, a w październiku obiekt gościł będzie miasteczko samochodowe śląskiej rundy Rajdowych Mistrzostw Polski. Ze względu na zbyt duże kary związane z ewentu-

alnym odwołaniem koncertu, duże wydarzenia muzyczne planowane są w Chorzowie dopiero wiosną 2018 roku.

REWOLUCJI w samorządach zapowiadaanej przez PiS nie będzie. W przyszlusorocznych wyborach nie będzie działać zasada wstecznej dwukadencyjności. Większość wieloletnich prezydentów w naszych miastach nie straci stanowisk. Jednak są też tacy, którym wcześniejsze zamiary PiS ułatwiły podjęcie decyzji o rezygnacji z ubiegania się o kolejną kadencję, np. Andrzejowi Dziubie w Tychach, Zygmuntowi Frankiewiczowi w Gliwicach, Zbigniewowi Podrazie w Dąbrowie Górniczej czy Grażynie Dziedzic w Rudzie Śląskiej. Rewolucji nie będzie, przeciwnie PiS rozważa wydłużenie kadencyjności wójtów, burmistrzów i prezydentów do pięciu lat.

NIEMAL trzynaście tysięcy mieszkańców Sosnowca wzięło udział w zakończonych konsultacjach społecznych dotyczących upamiętnienia w mieście byłego I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka. Za jego upamiętnieniem było 12408 osób, co stanowi ponad 97 procent osób głosujących, przeciw – 357. W Sosnowcu dotąd nie przygotowano projektu uchwały dotyczącego zmiany nazwy ronda Edwarda Gierka, któremu pośmiertnie przyznano też honorowe obywatelstwo miasta. Wyniki konsultacji przekazane zostaną wojewodzie śląskiemu. To chyba on podejmie decyzję co do przyszłości tej nazwy, której zmianę wymusza ustawa dekomunizacyjna.

PAMIĘCI powstańców śląskich oraz działaczy narodowościowych, którzy swą pracą i ofiarą krwi przyczynili się do powrotu Górnego Śląska do Macierzy oraz śląskich rodzin, które przez pokolenia – pomimo germanizacji – zachowały polską kulturę, tradycję, język i miłość do ojczyzny – Polski; z nich wyszli dzielni patrioci i bohaterowie, którzy wywalczyli przez wieki oczekiwane połączenie z Ojczyzną – te słowa znalazły się na tablicy upamiętniającej 95. rocznicę przyłączenia Śląska do Polski, która została odsłonięta 20 czerwca w gmachu Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach.

ŚLĄSKA Partia Regionalna to nazwa nowego regionalnego ugrupowania będącego porozumieniem Ruchu Autonomii Śląska i Związku Górnośląskiego. Utworzenie SPR zapowiedzieli: wiceszef RAŚ Henryk Mercik i prezes ZG Grzegorz Franki. Pierwszym testem będą wybory samorządowe w 2018 roku. Henryk Mercik, wicemarszałek woj. śląskiego, stwierdził, że jest to szansa, na którą mieszkańcy województwa śląskiego liczyli od dawna. Chodzi o to, by na poziomie regionu musi być obecna formacja polityczna, która nie jest lokalnym oddziałem dużej ogólnopolskiej partii.

PONAD 6 milionów 835 tysięcy złotych kosztowało śląską policję zabezpieczenie wszystkich imprez masowych w regionie od 1 lipca ubiegłego roku. Większość tej sumy – ponad 4 miliony 568 tysięcy zł – wydano na działania związane z piłkarskimi meczami. Tylko zabezpieczenie spotkania Górniki Zabrze – Zagłębie Sosnowiec kosztowało niemal 100 tysięcy złotych. Jak podkreśla policja potrzebna jest współpraca województwa zarówno orga-

nizatorów meczów, czyli klubów, jak i właścicieli obiektów, a więc samorządów, by te koszty nie rosły, a ochrona była skuteczniejsza.

PRZEJEŻDŻAJĄC przez Katowice łatwo zauważyć można jak szybko przy Spodku i katowickim rondzie rośnie jeden z największych kompleksów biurowych w regionie. Łącznie w dwóch budynkach. KTW będzie ponad 60 tys. mkw. Aktualnie trwa budowa pierwszego z nich – biurowca. KTW I. Wieżowiec będzie miał 66 m wysokości i 14 kondygnacji. Aktualnie gotowych jest już 11 poziomów nadziemnych.

POŻAR, jaki wybuchł w nocy z 26 na 27 czerwca w jednym z mieszkań Domu Księży Emerytów w Bielsku-Białej, zauważyli przechodnie wychodzący ze znajdującego się tuż obok dworca PKS i natychmiast zaalarmowali strażaków. W pożarze zginął 74-letni ks. Franciszek Janczy, były proboszcz m.in. parafii w podbielskiej Godziszce i parafii Matki Bożej Bolesnej w Brzeszczach-Jawiszowicach Osiedlu.

ZAMIAST dworca autobusowego w Cieszynie powstanie galeria handlowa. Rozpoczęły się prace związane z budową pierwszej w mieście galerii handlowej „Stela” na terenie byłego dworca PKS w Cieszynie. Po długich latach przepychanek na linii inwestor – samorząd, budowa obiektu wreszcie stała się faktem. Działkę po byłym dworcu PKS w Cieszynie kupiła od syndyka masy upadłościowej PKS Cieszyn firma Inbap. Choć do transakcji doszło w 2012 roku długo nie było wiadomo, czy inwestycja, którą firma zapowiadała zostanie w Cieszynie zrealizowana. Inwestor potrzebował bowiem nowego planu zagospodarowania przestrzennego dla tego miejsca. Z kolei władze Cieszyna chciały, żeby firma partycypowała w kosztach przebudowy drogi w sąsiedztwie powstającej galerii. Pytanie jednak, czy Cieszynowi zamiast galerii nie przydałby się bardziej dworzec autobusowy?

PREMIER Beata Szydło podpisała 29 czerwca rozporządzenia w sprawie utworzenia w województwie śląskim związku metropolitalnego. „To rozporządzenie będzie ostatecznym momentem tworzenia metropolii dla obszarów Górnego Śląska i Zagłębia” – powiedziała podczas uroczystości. Przypomnijmy, że ustawa o związku metropolitalnym w województwie śląskim z 9 marca br. została podpisana przez prezydenta 4 kwietnia br. Po spełnieniu wszystkich przewidzianych ustawą wymogów metropolia powstanie na podstawie rozporządzenia Rady Ministrów z dniem 1 lipca 2017 roku, i zacznie działać od 1 stycznia 2018 r. To szansa dla naszego regionu, aby została wykorzystana. **ODSZĘDŁ** nasz założyciel, pierwszy redaktor naczelny „Śląska”, twórca i prezes Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, nasz Przyjaciół i Powiernik – Tadeusz Kijonka. W ostatni dzień czerwca, nad ranem. Poeta, publicysta, autor utworów scenicznych, społecznik, Ślązak. W listopadzie skończyłby 81 lat. Zostały po nim wiersze, teksty i wspomnienia. Nic już nie będzie takie samo...

XI FESTIWAL TWÓRCZOŚCI RELIGIJNEJ

Fide et Amore



4, 11, 18, 25 sierpnia

1, 7-10, 15, 18, 22, 26, 29 września

6, 13, 22, 29 października

www.fideetamore.zory.pl

spotkania ze sztuką

Panienka z dobrego domu

JAROSŁAW STARZYK

Na „moim” przystanku tramwajowym stała samotna dziewczynka. Mogła mieć ze dwadzieścia lat (coraz mniej znam się na wieku młodych panienek, a może po prostu wzrok mam już taki sobie). Była drobna, ubrana w prostą białą sukienkę w poprzeczne czarne paski, które jej w ogóle nie pogrubiały. Miała okulary w ciemnej, dość okazałej oprawce, co jest ostatnio – tak mi się wydaje – wśród panienek modne. Przy uchu oczywiście smartfon.

– ... wyznaczać sobie cele cząstkowe i je realizować jako etapy do tych najważniejszych dla samorealizacji i spełnienia. Nie porywać się od razu na wielkie, bo w przypadku porażki łatwo o demotywację – mówiła mądrze jak z książki. – Trzeba ambitnie i aktywnie inwestować w siebie. Ale przedtem sporządź listę swoich kompetencji miękkich.

Ktoś po drugiej stronie musiał dojść do głosu, ponieważ dziewczynka zamilkła na chwilę. Tylko na chwilę.

– No to co, że przeniosłeś się do pracy w lepszym hotelu z całkiem dobrego? – podniosła głos. – To ci nie zapewni osobistego rozwoju!

Kilkanaście sekund ciszy przerywanej przez panienkę gwałtownie:

– Na jakieś studia się zapisz! Rozwój osobisty!

Doznałem olśnienia: panienka zdobyła niedawno licencjat, może nawet magisterium z coachingu. Za moich czasów coach to był taki facet, co siedział za bandą i wysyłał na lód hokeistów amerykańskich albo kanadyjskich. Teraz jest inaczej, coaching wkraść się do różnych (a może już wszystkich) zakamarków ludzkiego życia. Dziewczynka na pewno była coachem (albo zgodnie z obowiązującym trendem „coacherką”, „coachinią” czy „coacha” – nie wiem, które określenie jest prawidłowe). Nadjechał tramwaj i w wagonie rozdzielił nas tłum pasażerów. Od razu przypomniał mi się fragment wiersza mojej ulubionej młodej poetki: *...piekło jest płaskie/ ma jeden krąg/ znajomych z widzenia.*

A potem moje myśli rozbiegły się jak zwykle. Najpierw pomyślałem o tym, że panienka z przystanku opanowała bardzo dobrze język coachingu i przez chwilę zastanawiałem się, w czym się właściwie specjalizuje. Jest psycholożką? Może nawet terapeutką? Doradczynią w dziale kadr jakiejś korporacji?

Nowy wątek: jest doradczynią albo (a może jednocześnie) trenerką. Czego – nie wiem, ale dlaczego, mając takie słowa zadomowione w naszym języku, silimy się na tego „coacha”?

Następnie doszedłem do wniosku, że panienka może wcale nie jest dobrą coacherką. Gardziła pracą swojego chłopaka „w lepszym hotelu”, co by świadczyło o tym, że obcy jest jej hochsztapler z powieści Tomasza Manna. On to „rozwój osobisty” i karierę zapewnił sobie właśnie dzięki pracy w hotelu.

Nie byłem też pewien, czy zapisanie się na „jakieś studia” jest najlepszym sposobem na „samorealizację i spełnienie” w życiu. A właściwie byłem przekonany, że nie. Natomiast wydaje mi się, że praca w hotelu może wzbogacić wiedzę młodego człowieka o świecie i ludziach. Ale może nie znam się na „rozwoju osobistym”.

Dziewczynka-coacherka początkowo rozmawiała spokojnie. Potem się na swojego chłopaka zaczęła wydzierać. Kulturalnie, ani jednego brzydkiego słowa, co jest nietypowe dla akademickiego środowiska, które również podróżuje „moim” tramwajem. Była „z dobrego domu”. Ale jednak się darła. Myślę, że służbowo z pacjentem? klientem? petentem? podopiecznym? w taki sposób by nie rozmawiała.

Przed przystankiem, na którym musiałem wysiąść wyłoniła się z tych rozmyślań konkluzja: ci młodzi po prostu bardzo się kochają. ■

ŚLĄSK

Mistrzowie fotografii



Krzysztof
Lisiak

Z zawodu – informatyk, z powołania – fotograf. Członek Związku Polskich Artystów Fotografików. Szczególną pasją darzy teatr i muzykę filharmoniczną, obserwując obiektywnie to, co dzieje się na scenie, w kuluarach i na widowni. Obsługę fotograficzną powierzały mu Teatr Śląski, Filharmonia Śląska, Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga, Opera Śląska, Teatr Nowy w Zabrzu, Orkiestra Miasta Tychy Aukso, Festiwal im. Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego, Kwintet Śląskich Kameralistów i Teatr Bez Sceny Andrzeja Dopierały.

W latach 2008-2013 pełnił funkcję rzecznika prasowego Teatru Śląskiego. Jest autorem dokumentacji fotograficznej 110 premier Teatru Śląskiego w latach 2006-2017. Jego zdjęcia publikowały m.in. „Polityka”, „Przekrój”, miesięcznik „Teatr”, miesięcznik „Śląsk”. Dziennik Zachodni.

Był autorem animacji i projekcji filmowych do scenografii spektakli: *Makbet* w reż. Henryka Baranowskiego (Teatr Śląski), *Manekin*, *czyli kochanek Hitlera* w reż. Andrzeja Rozhina (Teatr Śląski), *Ożenek* Mikołaja Gogola, reż. Linas Marijus Zaikauskas (Teatr Nowy, Zabrze), *Piękna i Bestia* Františka Hrubina, reż. Petr Nosálek (Teatr Nowy, Zabrze), *Mleczarnia* Jacka Rykały (Teatr Śląski). W spektrum jego zainteresowań czołowe miejsce zajmuje również fotografia społeczna, a natchnieniem są prace jej twórców: Augusta Sander i Johna Thomsona.

Jego pogląd na fotografię najlepiej wyraża słynna definicja Rolanda Barthes’a: *Fotografia to obraz, o który otarła się rzeczywistość.*



Wiesław Kańtoch w roli Micka Dowda. Premiera: Martin McDonagh „Czaszka z Connemary”, reżyseria: K. Deszcz, scenografia: A. Sadowski, 2007.



Muzeum
Śląskie

**14 lipca –
17 września 2017**

**PERFORMATYWNY
MAGAZYN – PRZESTRZEŃ
DO DZIAŁAŃ MŁODYCH
TWÓRCÓW**

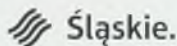
Pozdrowienia z Katowic

**Instalacja inspirowana
dziedzictwem przemysłowym**

Autorzy: Aleksandra Czapkiewicz,
Maria Wawer, Jakub Lech
Budynek Centrum Scenografii
Polskiej

Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowskiego 1
40-205 Katowice
www.muzeumslaskie.pl

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Śląskie.

Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją kultury
Samorządu Województwa Śląskiego współprowadzoną
przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

